



PENELOPE LIVELY

DROGA DO LICHFIELD



PRZEŁOŻYŁA KRYSZYNA RABINSKA
TYTUŁ ORYGINAŁU «THE ROAD TO LICHFIELD»

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rankiem Anna jechała na północ, do Lichfield. Berkshire zostało w tyle, nazwy mijanych po drodze hrabstw zmieniały się, Oxfordshire ustąpiło Warwickshire, Warwickszire przeszło w Staffordshire. Małe muszki rozbiły się o przednią szybę samochodu pokrywając jej brzegi mętym nalotem. Z obu stron rozciągał się krajobraz spowity mgiełką i nierzeczywisty, szosa przecinająca pola i miasteczka należała jak gdyby do innego wymiaru, innego porządku świata. Od czasu do czasu miasta drogowskazami sygnalizowały swoją obecność - Daventry 12 mil, Stratford 8, Birmingham 17. Były jak aktorzy czekający w kulisach, a sam krajobraz, jak palimpsest, przywodził na myśl inne czasy, inne miejsca. Edgehill kojarzyło się z Wojną Domową, Tamwort, przyczajone po prawej stronie, miało - Anna nie była całkiem pewna - coś wspólnego z Saksonami. Wspomnienia z jej własnej przeszłości czekały na horyzoncie, za rozjazdem autostrady. W Stratford, dokąd pojechali kiedyś z Donem w rocznicę ślubu na przedstawienie Wiele hałasu o nic, rozmawiali nad brzegiem Avonu, czy chcą mieć jeszcze jedno dziecko. W Oksfordzie, cóż, w Oksfordzie, zdarzyło się oczywiście o wiele więcej. Myślała o tym wczoraj wieczorem planując podróż. Na kartach atlasu samochodowego jej osobiste przeżycia spletały się z dziedzictwem pokoleń.

- Pojadę chyba przez Oksford.

- Tam będzie straszny ruch - powiedział mąż. - Lepiej nie.

Tak więc, gdy jej zaplanowana trasa prowadziła obwodnicą w lewo, Anna, ujrzawszy miasto błyszczące w słońcu jak miraż, pod wpływem nagłego impulsu zjechała w bok, szukając drogi do centrum. Chwilę potem, gdzieś w pobliżu stacji, utknęła w korku ulicznym i przypominając sobie rady Dona zastanawiała się, dlaczego przyjechawszy tutaj nie odczuwa głębszego wzruszenia. Tutaj zakochała się, tutaj podjęła nieodwołalne decyzje, a jednak to miejsce było jej obojętne. Mieszkając niewiele ponad trzydzieści kilometrów stąd rzadko odwiedzali Oksford, nie mieli zwyczaju bywać tam na zjazdach absolwentów ani wciąż opowiadać dzieciom o uniwersytecie jak o własnym folwarku. Straciwszy orientację w nieznanym labiryncie jednokierunkowych ulic pomyślała, czyby nie wstąpić gdzieś na kawę, lecz jechała dalej przez miasto w stronę Leckford Road. Zobaczymy, co z tego wyniknie, pomyślała.

Rzeczywiście, kiedy dotarła tam i w oddali ukazało się tamto okno, poczuła cień wzruszenia, wspomnienie dawnej radości. Tutaj, przy tej właśnie latarni, zwalniała kiedyś kroku, opóźniając spotkanie, bo chociaż

moment ujrzenia go był najwspanialszym przeżyciem, zawsze chciała się w pełni rozkoszować czekaniem na ową chwilę, odwlekaniem jej, szła więc bez pośpiechu tą zaczarowaną ulicą między rzędami domów ze zmurszałej cegły, oddzielonych od chodnika rachitycznymi żywopłotami z ligustru. Zdarzało się, że tu, na tym rogu, mogła go już zobaczyć, jak ubrany w budrysówkę podąża ku niej prowadząc rower, którego obluźowana szprycha stuka przy każdym obrocie koła wygrywając im melodię szczęścia. Które to okno, z trudem usiłowała sobie przypomnieć - to? tamto? Firanka była odsłonięta i Anna uświadomiła sobie, że patrzy w oczy nieznanemu młodemu mężczyźnie. Za nią jakiś zniecierpliwiony kierowca nacisnął klakson (w pobliżu ani jednego wolnego miejsca, gdzie można by zaparkować, lśniące samochody stały ciasno przy krawężniku niemal dotykając się zderzakami, o, tak, Don miał rację, co też oni zrobili z tym miastem?). Anna przyspieszyła. Do Lichfield jeszcze szmat drogi, a już prawie dwunasta. Dość tego, nie będę się roztkliwiać.

Godzinę później zatrzymała się ponownie, tym razem w bardziej sprecyzowanym celu: kupiła benzynę, sprawdziła trasę. Wyruszyła stąd, z tego punktu, a dotarła już tutaj, na mapie odległość nie większa niż szerokość dłoni. Z Cuxing do Lichfield jest ponad sto sześćdziesiąt kilometrów, odmierzonych wczoraj wieczorem palcami, niedbale, na mapie rozłożonej na kuchennym stole.

- W ten sposób mylisz się o jakieś trzydzieści kilometrów, w przybliżeniu, daj ja to zrobić.

Okazało się, oczywiście, że do tego rodzaju obliczeń istnieje specjalny aparacik z kółeczkiem, którym wodzi się po mapie, a potem wystarczy już odczytać gotowy wynik.

- Przygotuję ci trasę - powiedział Don. - Daj kartkę i przysuń mapę. - Raz-dwa wszystko było gotowe, zaplanowane krok po kroku, a odległość dokładnie wypisana pod spodem.

- Dziękuję, kochanie.

Dziwnym jednak trafem kartka została w domu, na stole w kuchni, razem z drugą, na której Anna napisała instrukcje dotyczące posiłków (kolacja na dziś w lodówce, bułki na podwieczorek w pojemniku) i inne uwagi dla pamięci (pieniądze na obiad na półce, zadzwonieć wieczorem). Za dwa dni gdzieś się zawieruszy albo o niej zapomną, a zresztą niewielu mężczyzn, nawet tak rozsądnych i dobrze zorganizowanych jak Don, robiłoby wyrzuty żonie wracającej od umierającego ojca, że nie pojechała trasą, którą jej podyktowali.

Właśnie w Lichfield osobiste wspomnienia Anny łączą się chyba najściślej z wydarzeniami utrwalonymi w pamięci zbiorowej. Miasto po wsze czasy będzie się każdemu kojarzyło z Samuelem Johnsonem, a jednocześnie tutaj, dokładnie tuż za Lichfield, przez ostatnie dwadzieścia lat mieszkał ojciec Anny. Samuel Johnson, myślała płacąc za benzynę (nie widziała mężczyzny z obsługi ani nie słyszała, co mówi, dopiero stukanie w szybę przywołało ją do rzeczywistości na tyle, że wzięła podawaną resztę), Samuel Johnson czuwał kiedyś, jak to było w zwyczaju, przy umierającej kobiecie. Siedział u jej łóżka, modlił się razem z nią, a potem pożegnał na zawsze. Dzisiaj już się tego nie robi. Nie mam najmniejszego pojęcia, myślała, co powiedzieć ojcu, ani co on powie, jeśli w ogóle zdoła się odezwać. Ta jakaś siostra przełożona mówiła, że ojciec nie zdaje sobie sprawy, co się wokół niego dzieje, i że, jej zdaniem, to się pogłębia. Anna chciała wtedy odpowiedzieć: ale to ja nie wiem, co się dzieje, kim pani jest i co pani robi przy moim ojcu?

Po tej rozmowie powiedziała do Dona: „To w jego stylu. Zachorować, nikomu o tym nie powiedzieć, a potem szast-prast przenieść się do jakiegoś domu opieki, gdzie wszystko jest urządzone i wszystkim się zajmą. Niecałe trzy miesiące temu go widzieliśmy. Wyglądał doskonale.”

- „Pamiętaj, że ojciec ma osiemdziesiąt lat.”

- „Wiem.”

- „Mówisz tak, jakby zrobił ci coś złego. Najprawdopodobniej chciał ci oszczędzić kłopotów. I zachować niezależność.”

Przezań, pomyślała, nic nie rozumiesz. A kiedy Don powiedział: „Może lepiej skontaktuj się z Grahamem?”, ucięła: „Słuchaj, zostaw to mnie, dobrze?” Mogłoby dojść do awantury, tylko że rozsądni ludzie nie kłócą się w takich chwilach. Zresztą w ogóle rzadko się kłócą.

Anna znajdowała się już na obrzeżach Lichfield i musiała skupić całą uwagę na szukaniu owego nieznanego sobie domu gdzieś na jakimś przedmieściu. Kiedy ojciec go wyszukał? W jakim momencie chłodnej rozwagi stwierdził: Ten mi odpowiada, tutaj się sprowadzę? Może, myślała, znalazłszy w końcu solidny, ponury dziewiętnastowieczny budynek otoczony własnym ogrodem ze zwirowanymi podjazdami, może przypominał mu szkołę? Mogła tu być kiedyś szkoła. Ojciec z pewnością często wizytował wiele podobnych miejsc, by jako przedstawiciel ministerstwa pochwalić lub zganić pracę wzbudzających zastrzeżenia prywatnych instytucji tego typu.

Podjechawszy bliżej doszła jednak do wniosku, że się pomyliła. Zaparkowała samochód tam, gdzie w trosce o porządek wyznaczono osobne

miejsca dla gości, a osobne dla personelu, i kiedy przez otwarte drzwi weszła do wyłożonego białymi i czarnymi kafelkami hallu, stwierdziła, że w przeszłości budynek miał bardziej prywatny charakter. Musiał to być pierwotnie zasobny wiktoriański dom. Marmurowy fryz nad kominkiem zdradzał czyjeś osobiste upodobania (a w sposób bardziej dyskretny świadczył o gustach epoki). Półkoliste okno nad drzwiami wypełniał witraż z czerwonych i zielonych szkiełek mający przedstawiać tutejszą katedrę - manifestacja prawdziwej obywatelskiej dumy. Możliwe, że była to kiedyś rezydencja któregoś z miejscowych przemysłowców pnącego się po szczeblach kariery.

- Proszę tędy, pani Linton.

Pielęgniarka szła przodem rytmicznie stukając obcasami po wyłożonej linoleum podłodze. Weszło zagadywała Annę o pogodę i jazdę samochodem.

- Jak on się czuje?

- Raz lepiej, raz gorzej. Wszystko mu się miesza. Ale wie, że pani przyjedzie. Czeka na panią.

Kiedy weszły, ojciec zaciekawiony odwrócił głowę, starając się dostrzec, kto przyszedł. Leżał wsparty wysoko na poduszkach, zdawało się, że ich miękkie wypukłości wchłaniają jego wychudzoną twarz i ramiona.

- Kto to?

- To ja, tatusiu - pochyliła się, by go pocałować. Wtedy zapytał z powątpiewaniem:

- Anna?

- Tak, ja. - Dlaczego chory człowiek wygląda, jak gdyby zmałał? Czy miał zamglone, czy coś widział?

- Zostawię panią z ojcem - powiedziała pielęgniarka. - Zaraz przyniosą lunch. A pani nie chciałaby czegoś zjeść?

- Chętnie napiłabym się kawy.

- Powiem w kuchni.

Anna przysunęła sobie krzesło bliżej łóżka. Teraz mów normalnie, jakby nigdy nic. Ostatnia rzecz, której ojciec by sobie życzył, to nerwowe zamieszanie, przedstawienie (Anna słyszy szorstki głos, wspomnienie odległego dzieciństwa: „No już, Anno, nie będziemy robili przedstawienia...”).

- Wszyscy cię pozdrawiają - Anna uświadamia sobie, że mówi zbyt głośno i radośnie. - Don przeprasza, że nie mógł się teraz wyrwać z biura, ale mają mnóstwo pracy. Paul przygotowuje się do tegorocznych egzaminów, trzeba przyznać, że naprawdę dużo się uczy. Judy bierze lekcje

konnej jazdy. Nie chciałam, żeby zanadto przyzwyczajała się do takiego stylu życia, ale nic na to nie poradzę, tam gdzie mieszkamy...

Zobaczyła, że do ojca nie dociera ani jedno słowo. Uśmiechał się tylko i mrugał oczami z charakterystycznym dla osób słabo słyszących jak gdyby pytającym wyrazem twarzy (no tak, bardzo pogorszył mu się słuch, zauważyłam to już ostatnim razem). Zaczni od nowa, wolniej, wyraźniej, czy dla starego, chorego człowieka może być coś bardziej męczącego, niż kiedy ktoś, nawet osoba bliska, obrzuca go potokiem słów, których on nie może zrozumieć. Tak, teraz już lepiej, przypomniał sobie, kto to jest Judy, w ten sposób ruszyliśmy z miejsca.

Ojciec mówił z trudem, jego słowom towarzyszył suchy, świszczący oddech. Anna słuchała z napiętą uwagą:

- Jak długo... słucham?... zostaję? Och, tym razem kilka dni, ale wkrótce znowu przyjadę.

Pielęgniarka przyniosła tacę i postawiła na stoliku przy łóżku.

- Lunch, kochaniutki. Spróbujmy się trochę podnieść. - A zwracając się do Anny dodała: - Całkiem dobrze daje sobie radę sam, ale z herbatą trzeba mu będzie pomóc.

Lunch składał się z papek w różnych miseczkach. Ojciec jadł powoli, z trudem przełykając łyżka po łyżce, czynność ta całkowicie go pochłaniała. Kiedy zadrżała mu ręka i odrobina jedzenia pociekła mu po twarzy, Anna pochyliła się, wzięła od niego łyżkę i znanym ruchem, ze zręcznością nabytą przy karmieniu własnych dzieci, zgarnęła z brody strużkę kleiku. Ojciec wydawał się nieświadomy jej obecności. Siedziała pijąc kawę, w uszach huczały jej wciąż odgłosy ruchu na autostradzie. Czowała się przygnębiona, a zarazem naładowana energią. Muszę pojechać do jego domu, zobaczyć, co tam jest do zrobienia. Pewnie trzeba wywietrzyć, może posprzątać. Ciekawe, czy pani Ransome wciąż przychodzi. Mogłabym przynieść mu kwiaty z ogródka.

- Tato, w tym roku na wakacje chcemy pojechać do Szkocji, ale tylko z Judy. Paul już sobie coś zorganizował razem z kolegami ze szkoły.

- Do Southwold - powiedział ojciec zaskakująco wyraźnie.

- Nie do Southwold. Do Szkocji.

- Zabieraliśmy cię z matką do Southwold, kiedy byłaś mała.

- Do Southwold w Suffolk? Tak, przypominam sobie.

- Pamiętasz? - sprawiło mu to chyba przyjemność.

- Kupiłeś mi wtedy czerwoną łopatkę. I były tam ptaki, które przy odplywie latały tuż nad wodą to opadając, to wzbijając się w powietrze.

Widzę je jeszcze teraz, jak długimi wrzecionowatymi nóżkami rozpryskują wodę.

- To było zaraz po tamtej wojnie.

- Nie, nie, tato - zaśmiała się. - Wtedy nie było mnie jeszcze na świecie. Nie postarżaj mnie. To musiało być około trzydziestego dziewiątego roku, przed drugą wojną, a nie zaraz po pierwszej.

- Co? - patrzył na nią bezmyślnie. - A więc pamiętasz Southwold?

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Można? - zapytał ktoś i wszedł do pokoju, a zobaczywszy Annę zawahał się. - Przepraszam, nie wiedziałem, że ma pan już gościa. Przyjdę później.

Ojciec wyteżając wzrok powiedział coś, czego nie dosłyszeli, próbował się uśmiechnąć.

- Proszę, niech pan nie odchodzi - powiedziała Anna. - Ja i tak zaraz będę musiała iść.

Skrepowani odwrócili się od siebie i spojrzeli na ojca. Jedyne on mógłby każdemu z nich wytłumaczyć obecność tej drugiej osoby, lecz tylko zamrugał oczami i coś mamrotał. Anna przedstawiła się.

- Jestem jego córką.

- Ach, tak, oczywiście. Powinienem być od razu zgadnąć. Nazywam się Fielding. Dawid Fielding. Byłem sąsiadem pani ojca w Starbridge i przez ostatni rok czy dwa utrzymywaliśmy bliskie stosunki.

- Pan Fielding prowadzi szkołę - nagle odezwał się ojciec. - Jest dyrektorem. Wiesz, w tamtej szkole... - umilkł i patrzył to na jedno, to na drugie, jak gdyby oczekując od nich pomocy.

- W szkole dla chłopców - wyjaśnił Dawid Fielding. - Pani ojciec swojego czasu bardzo się nią interesował.

- Tak, wiem - powiedziała Anna. - Ojciec nie chciał iść na emeryturę, nie mógł żyć bez szkół. - Oboje znów spojrzeli z uśmiechem w kierunku łóżka.

Dobrotliwe uśmiechy, pomyślała Anna, przynajmniej mój. Dobrotliwe, wyrozumiałe uśmiechy, jak do dziecka. Nie powinniśmy tak mówić o ojcu, jakby go tu nie było, albo jakby był zbyt głupi, by rozumieć, o czym rozmawiamy. Dawid Fielding zdawał się podzielać uczucia Anny, wziął krzesło i usiadł przy łóżku. Rozmawiał z ojcem, cierpliwie słuchając jego z takim trudem wypowiedzanych zdań. Sam mówił jasno, głośno i wyraźnie. Co za miły człowiek, pomyślała Anna, ciekawe, dlaczego ojciec nigdy o nim nie wspominał. Co prawda zawsze był skryty, z pewnymi rzeczami nie zdradzał się nawet wtedy, kiedy jeszcze żyła matka. Zawsze skarżyła się, że nie zna jego przyjaciół.

Odczekała chwilę i przerwała im.

- Pójdę już, tato. Chcę porozmawiać z przełożoną. Zajrzę wieczorem.

Dawid Fielding wstał.

- Nie chciałbym państwu przeszkadzać.

- Absolutnie pan nie przeszkadza. Mam dziś jeszcze dużo spraw do załatwienia. Do widzenia. Cieszę się, że pana poznałam.

- Do widzenia.

W pretensjonalnie urządzonej gabinecie siostry przełożonej, patrząc przez okno na wypielęgnowany trawnik z olbrzymim cedrem pośrodku, gdzie na ławkach i wózkach, w równym szyku siedzieli pensjonariusze, wygrzewając się w wiosennym słońcu, Anna spytała:

- Co właściwie jest mojemu ojcu?

Siostra przełożona wyglądziła leżącą przed nią kartę choroby, wahała się przez chwilę i powiedziała:

- To oczywiście choroba Parkinsona, lecz z tym w obecnych czasach umiemy sobie radzić, jest nowy lek. Pan Stanway ma słabe serce, nie panuje nad czynnościami fizjologicznymi. - Spojrzała na siedzącą po drugiej stronie biurka Annę i dodała: - Starość. Ciało odmawia posłuszeństwa.

Przez moment Anna pomyślała znowu o Southwold, wspomnienie odżyło właśnie teraz, po tylu latach. Zobaczyła to samo ciało, wyprostowaną postać w morzu koloru ołowiu, i przynaglający ruch wyciągniętych w jej stronę ramion.

- Tak, chyba rozumiem - powiedziała. - Wydaje mi się, że niczego mu tutaj nie brakuje.

- Ma wszystko, czego mu potrzeba. Dbamy o to. Ale obawiam się, że stan będzie się pogarszał. - Przełożona urwała i po chwili dodała taktownie:

- Gdyby pani uznała, że... gdyby pani chciała na przykład zająć się sprawą domu, byłoby to ze wszech miar rozsądne.

- Czy nigdy już nie będzie mógł tam wrócić? Nawet gdyby miał zapewnioną opiekę? A jeśli stan się poprawi?

- Obawiam się, że nie poprawi się na tyle, by to było możliwe.

- Przypuszczam, że był tego świadom - powiedziała Anna.

- Na to wyglądało. Kiedy zamieszkał u nas, jego umysł był dużo sprawniejszy.

Krzesło siostry przełożonej cichutko zaskrzypiało, nieznacznie się poruszyła, może chciała w ten sposób zaznaczyć, że ma mało czasu, innych pacjentów, inne sprawy, którymi musi się zająć...

- Tak, rozumiem. Na razie sama będę korzystała z tego domu odwiedzając ojca - powiedziała Anna. Wstając dodała: - Proszę informować mnie, jak on się czuje, dobrze?

Przełożona ponownie wygładziła notatki.

- Oczywiście - powiedziała - musimy być przygotowani, że to kwestia miesięcy, może tygodni. Trudno jednak przewidzieć. Może nastąpić raptowna poprawa, chociaż to, moim zdaniem, mało prawdopodobne. Pani odwiedziny będą nieocenioną pomocą. Niektórych naszych pacjentów nikt nie odwiedza, nikt do nich nie dzwoni, to bardzo smutne. - Uśmiechnęła się z nieoczekiwaną serdecznością, a Anna pomyślała: to miła, uprzejma, dobra kobieta. A może to ja jestem w tej chwili tak skłonna do rozczuleń, że każda nowo poznana osoba wydaje mi się sympatyczna?

Odnalazła wyjście i skierowała się w stronę parkingu. Pojawiła się pielęgniarka, obeszła ławki i wózki, poprawiała pledy, komuś pomogła przesunąć się na słońce. Przez otwarte drzwi jednego z pokoi widać było dwóch starsuszków drzemiących przed telewizorem, podczas gdy na ekranie jakaś kobieta energicznie demonstrowała, jak lukrować ciasto. Pobyt tutaj musi sporo kosztować. Ile? Czy ojciec miał na tyle jasny umysł, by obliczyć, czy go na to stać? Powinnam była zapytać przełożonej, myślała Anna, głupio wyszło, teraz już nie mogę tam wrócić. Głowa ją rozbolała od tych nowych trosk. Może w domu znajdzie się jakaś wskazówka. Nie, chyba lepiej pójść do banku, porozmawiać z dyrektorem. Psiakrew, ale w którym banku ma konto?

- Midland! - wykrzyknęła właśnie w chwili, kiedy ktoś przechodził obok. Zobaczyła, że to Dawid Fielding i zmieszana powiedziała: - Pewnie robię wrażenie trochę pomyłonej, bo mówię do siebie. Coś mi umknęło i właśnie to sobie przypomniałam.

Razem poszli w stronę samochodów.

- Pani z daleka? - zapytał Dawid.

- Z Berkshire. To niedaleko, ale nie jestem przyzwyczajona prowadzić tak długo. Zazwyczaj mąż prowadzi.

Zatrzymali się. Nagle Anna pod wpływem nie tylko zmęczenia, lecz może i szoku, poczuła się otepiała, zobojętniała, obrazy i dźwięki dochodziły do niej spotęgowane, ale nie budziły żadnej reakcji. Stała wpatrując się w tego człowieka, który nie wiadomo dlaczego, mówił o łowieniu ryb. Spostrzegła, że ma szczupłą twarz, lekko posiwiałe skronie, wyjątkowo długie jak na mężczyznę rzęsy, a na nosie ślady od okularów (pewnie używa ich do czytania).

- Tak, tak, rozumiem - bąknęła.

Koszono trawę, maszyna posuwała się po trawniku tam i z powrotem, stado gawronów wirowało nad kępą kasztanów - owe szczególne dźwięki tworzyły akompaniament już na zawsze nieodłącznie związany z tą chwilą. Słońce błysnęło w przedniej szybie samochodu i wtedy Dawid zapytał:

- Dobrze się pani czuje?

- Słucham? Nic mi nie jest. Przepraszam, chyba rzeczywiście jestem trochę zmęczona.

Milczeli chwilę. Kosiarka zbliżyła się, zawróciła i z powrotem popęzła wzdłuż trawnika. Gawrony szybowały unoszone prądami powietrza. Anna sięgnęła do kieszeni po kluczyki, znalazła je, a potem przyglądając się im powiedziała do tego obcego sobie człowieka:

- Mój ojciec umrze.

- Tak. Obawiam się, że tak - odpowiedział Dawid Fielding i na ułamek sekundy położył rękę na jej ramieniu. Cofnął ją tak szybko, że Anna poczuła ten dotyk dopiero później, w innym momencie, w ów szczególny sposób, w jaki wspomnienie może być bardziej rzeczywiste niż samo przeżycie.

- Czy pani na pewno nic nie jest? Nie chciałaby pani napić się gdzieś kawy albo czegoś innego?

- Nie, dziękuję. Już w porządku. - Uśmiechnęła się, by to pokazać, i w tej samej chwili rzeczywiście poczuła przypływ energii. Bank, zakupy, w domu nie będzie nic do jedzenia - a potem do porządków. - Nic mi nie jest. To tylko podróż i wszystko razem. Do widzenia. Dziękuję, że jest pan taki miły i odwiedza ojca.

- To on na różne sposoby okazywał mi wiele sympatii. Był bardzo dobrym sąsiadem. Przy okazji wpadnę, żeby oddać wędkę.

- Słucham? - ale on już wsiadał do samochodu (niezbyt nowego, raczej niechlujnego, tylna półeczka zarzucona była drobiazgami świadczącymi, że ma rodzinę: paczka chusteczek higienicznych, termos, sterta ześlizgujących się zeszytów szkolnych). Wędka? Musiał pomyśleć, że jestem źle wychowana. I wtedy nagle ożyło wspomnienie dotyku jego ręki na ramieniu. Siedziała chwilę nieruchomo, potem włączyła silnik.

Pan Stanway, ojciec Anny, leżał wsparty na poduszkach i zastanawiał się, jaka może być teraz pora dnia. Wiedział, że całkiem niedawno w pokoju znajdowali się jacyś ludzie, rozmawiali. Na pewno jedną z tych osób była jego córka Anna. Drugą był jakiś mężczyzna, ale teraz nie wiedział już kto, może to był jej mąż? W rogu okna dostrzegł trudny do określenia kształt. Zmrużył oczy, wyteżył wzrok i pomyślał, że to jakby samolot albo olbrzymi ptak. Kiedy się nad tym zastanawiał, silne, wprawne ręce ujęły go pod pachy, usadziły wyżej na poduszkach i podały kubek herbaty. Picie herbaty

wymagało całkowitego skupienia, porzucił więc kwestię samolotu czy ptaka, pomyślał, że skoro okno jest jasne, musi jednak być teraz dzień. Uśmiechnął się z cichym zadowoleniem, a nie znana mu osoba przebywająca razem z nim w pokoju powiedziała: - Miło, że jest pan w pogodnym nastroju. Herbata była gorąca, ale za mało słodka.

- Ojciec pani nie należy do BUPA ani innego zakładu ubezpieczeń? - spytał dyrektor banku.

- Chyba nie.

- Możemy to oczywiście sprawdzić. Potrzebne będzie - w jego głosie brzmiała teraz nuta zażenowania - zaświadczenie lekarskie potwierdzające... ograniczenie władz umysłowych u pana Stanwaya. Dopiero wtedy mogę z panią omawiać stan konta ojca.

- Czy mam...

- Sam tam zadzwonię. Pani ma z pewnością jeszcze mnóstwo spraw do załatwienia w ciągu dzisiejszego popołudnia. Przejrzę potem jeszcze raz liczby i sprawdzę pewne akcje. Może jutro zawiadomiłbym panią telefonicznie, jak dokładnie przedstawia się sytuacja.

Anna podziękowała mu. Patrzyła, jak różnym czarnym kółkiem obrysował sumę zanotowaną na kartce, i pomyślała: nie wie, przez ile ją podzielić. Powiedziała: - To kwestia miesięcy, może tygodni.

- Nie wydaje mi się, żeby trzeba się było niepokoić, proszę pani. Emerytura i papiery wartościowe powinny w zupełności wystarczyć, ale jeszcze wszystko przejrzę.

Anna jechała do Starbridge spokojną wiejską drogą niepodobną do zatłoczonych dwupasmowych szos i odcinków autostrady, którymi podróżowała z Cuxing. Po raz pierwszy dzisiejszego dnia zobaczyła krajobraz roziskrzony wiosną, mleczne przy drodze, połyskliwą trawę na łąkach, drzewa zaokrąglające swe kształty. Słabe promienie słońca barwiły nagą ziemię na czerwono. Chmury małych ptaszków spłoszonych przez nadjeżdżający samochód wyfruwały z żywopłotów. Przed nią ciągnęła się pusta droga, ciemnoszara pomiędzy pasmami zieleni. Na każdym zakręcie biała linia, starannie wymalowana pośrodku jezdni, podkreślała jej szerokość. Możliwe, że Anna była tu sama, jakby droga istniała tylko dla niej. W lusterku widziała ją biegnącą wstecz, wyraźną, choć dziwnie pomniejszoną. Patrzyła przed siebie zerkając także w lusterko, nie chcąc tracić tego podwójnego wrażenia posuwania się naprzód i oddalania. Minęła rowerzystę, w lusterku ta anonimowa, ni to męska, ni kobieca postać zmieniła się w chłopaka ze strzechą włosów, czerwonego z wysiłku, pochylonego nad kierownicą, zostającego coraz bardziej w tyle, aż znikł za

zakretem. Mógł to być Graham z czasów ich wspólnego dzieciństwa, na jednej ze swoich samotnych, już nie tak bezgrzesznych męskich wypraw, które trzymał w sekrecie. Razem przeżyte lata i garść banalnych wspomnień to wszystko, co łączy braci i siostry, pomyślała. Kiedyś spędzała czas z rodzicami i bratem, potem zaczęła go dzielić z mężem i dziećmi. Rodzina wypełniła jej życie usuwając w niepamięć obrazy miejsc, w których wyrosła. Samotność przedzielająca te etapy jej życia trwała krótko.

Rzadko, myślała Anna, wybieram się gdzieś sama. Na przykład podróże. W niektóre dni, pewne pory dnia, nawet noce, jestem sama, ale nieczęsto podróżuję na własną rękę. Od dawna już tego nie robię, od czasów jeszcze przed ślubem. Jadąc tą drogą czuła, jak gdyby zakłócono bieg jej życia, jakby znowu była młodą dziewczyną odwiedzającą rodziców. Widoczne przez moment w lusterku: kawałek czoła, oko, pasmo włosów nie różniły się tak bardzo od jej twarzy sprzed dwudziestu lat. W 1955 roku jednak to oko nie wiedziało nic o istnieniu Dona, Paula czy Judy ani o tej kolonii domków na skraju miasteczka, ani o supermarkecie bezceremonialnie wciśniętym między pub i kościół. Zniszczyli to miasteczko. Dawniej, kiedy matka i ojciec tu zamieszkali, był to uroczy zakątek, same stare domy z cegły i pruski mur.

Z jednym, oczywiście, wyjątkiem. Dom rodziców, zbudowany w latach dwudziestych, zupełnie tu nie pasował. Dlaczego ten, tato, czemu nie któryś z tych ładnych, starych, wiejskich domków? Ojciec drwiąco nazwał ją wtedy romantyczką - wszystko świetnie, ale ja chcę mieć nad głową dach, którego nie trzeba co kilka lat podpieierać.

Paskudny, myślała Anna przyglądając się przez chwilę domowi, zanim wysiadła z samochodu. Ojciec oczywiście sprowadził się tutaj z powodu rzeki, w której mógł łowić ryby, sam dom był nieważny. A zdanie mamy się nie liczyło, zresztą ona zawsze wydawała się całkiem zadowolona.

Wniosła rzeczy do środka. Kiedy stanęła w nieprzyjemnie pachnącej wilgocią kuchni, przytłoczyła ją ołowiana cisza spotęgowana brakiem dwóch bliskich osób. Matka jednak nie żyła już od dziesięciu lat. Czas nie tylko zatarł obraz stojącej przy zlewie, zmywającej naczynia kobiety w fartuszkach, ale też sprawił, że matka nie odchodziła z życia powoli, stopniowo, po trochu, tydzień po tygodniu, miesiąc po miesiącu, lecz jak gdyby zastygła w bezruchu i na zawsze pozostanie w pamięci młodsza od męża, wyprostowana, z nie przytępionym słuchem.

Anna obeszła cały dom otwierając okna na oścież. W wolnym pokoju, gdzie miała spać, odnalazła namacalne ślady własnego przeszłego życia: rząd starych książek na półce nad kominkiem, na parapecie wazon -

wzgardzony prezent ślubny - i parę butów w szafie. Zajęła się szukaniem koców i prześcieradeł, w saloniku napaliła w kominku. Wyszła do ogrodu, zerwała ostatnie żonkile, ścięła kilka kwitnących gałązek porzeczek. Teraz siedząc przy ogniu, popijając herbatę czuła odrobinę zadowolenia, że ocalała to miejsce od zagrażającej mu anonimowości. Wchodząc miała wrażenie, że ojca tu nigdy nie było, w wilgoci i zimnie znikł nawet tak swojski zapach jego tytoniu. W ogrodzie trawa wyrosła wysoko, a na grządkach rozpleniły się chwasty. Może będzie czas i tym się zająć.

Pani Ransome najwyraźniej nie przestała przychodzić do sprzątanania. Kuchnia lśniła, usunięto resztki łatwo psujących się produktów, lodówka była wyłączona. Anna otworzyła szafkę i zdumiała się: coś takiego! Nigdy nie myślała, że ojciec lubi takie rzeczy. Kolekcja puszek i pudełek przypominała skarb małego chłopca, egzotyczne zupy, zapas biszkoptów godny chomika, pasztety, słoiki drogich dżemów. Pomyślała o oszczędnej, niewyszukanej kuchni matki. Zawartość tych szafek była jakby spóźnionym buntem. Myszkowała dalej, teraz już powodowana ciekawością. W innej szafce znalazła głęboko wetknięte, pokryte grubą warstwą kurzu dziewiętnastowieczne talerze ze Staffordshire, które matka latami kolekcjonowała i które dawniej ustawiano szeregiem w kredensie. Na ich miejscu stał obecnie komplet nowych, funkcjonalnych naczyń stołowych. Czy ojciec nigdy nie lubił tych talerzy? Zaczęła je kolejno wyjmować, ale nagle, czując zamęt w głowie, gdyż sugerowały, że między rodzicami istniały chyba jakieś nieporozumienia, zamknęła szafkę i wzięła się do dalszego przeszukiwania kuchni. Zapomniała kupić dla siebie jedzenie, ale nie ma problemu, może jeść te rozmaite puszki.

Gabinet ojca był również czysty i wysprzątnany. Liczne papiery, którymi zawsze zarzucone było jego biurko, ułożono w porządne, lecz przypadkowo dobrane stosy. Leżało tam też kilka nie otwartych listów. Nie bez pewnego wewnętrznego oporu (jakie to głęboko zakorzenione tabu zabrania ci wkroczyć w prywatne życie ojca?) Anna przejrzała korespondencję. Było tam kilka okólników (wyrzucić), rachunek za światło (zapłacić), lakoniczny monit z urzędu telekomunikacyjnego grożące wyłączeniem telefonu (zapłacić natychmiast) i prywatny list pisany nieznaną ręką. Ten trzeba zanieść ojcu i może przeczytać mu na głos. Była też widokówka od Grahama przysłana kilka tygodni temu z jakiegoś uzdrowiska we Włoszech („Kilka dni laby po zakończeniu zdjęć do filmu. Mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy...”). Spojrzała na inną kupkę papierów ułożonych przez panią Ransome. Na wierzchu leżało kolejne już upomnienie z towarzystwa ubezpieczeniowego z datą sprzed kilku miesięcy, dotyczące ubezpieczenia

domu. Pod nim list od agenta giełdowego, proszącego, najwidoczniej już drugi raz, o instrukcje. Przeglądając ten stos korespondencji zorientowała się, że ojciec po prostu zignorował te listy. Czerwone ptaszki u dołu strony, które zawsze systematycznie stawiał, oznaczające załatwioną sprawę, - przestały się pojawiać już kilka miesięcy temu. Anna siedziała przy biurku przygnębiona tymi widocznymi dowodami starzenia się w samotności i myślała: muszę się tym wszystkim zająć, może są jeszcze inne pilne sprawy, takie jak ubezpieczenie. Znowu poczuła się tu intruzem. To jednak bez sensu, przecież ktoś musi: ja albo Graham, równie dobrze on mógłby tu przyjechać i coś zrobić. Psiakrew, będę musiała do niego zadzwonić i wysłuchiwać, że właśnie teraz ma masę roboty, ale postara się przyjechać. Będzie usiłował sobie przypomnieć, w jakim wieku są dzieci i jak Paul ma na imię. W tle będzie słycać rozmowy i dzwonienie kieliszków. Ale koniec końców, z tym wszystkim trzeba się będzie uporać, można równie dobrze zacząć teraz, to nonsens mieć takie skrupuły.

Zjadła coś i pojechała z powrotem do domu opieki. Porozumienie z ojcem było trudniejsze niż przed południem, prawie nie reagował na to, co do niego mówiła. Przeczytała mu list - były kolega szkolny, unikając, co dziwne, tematów osobistych, pisał o sytuacji ekonomicznej i o Irlandii, tak jakby fakt przejścia na emeryturę oraz podeszły wiek odbierały prawo do poruszania spraw prywatnych. A może odwrotnie, może list świadczył o determinacji, chęci uczestniczenia w życiu publicznym? Zanim skończyła czytać, ojciec zasnął. Zostawiła list na nocnym stoliku.

Nie było jeszcze późno, kiedy dotarła do Starbridge. Z kąpielni wyrwał ją dzwonek telefonu. Poszła odebrać spodziewając się, że usłyszy głos Dona.

- Anna?

- Graham!

- Jak to wygląda? - jego głos przytłumiony odległością brzmiał cienko i trzęźwo.

- Nie najlepiej - odpowiedziała. Po jej słowach zapadła cisza. - Halo? Jesteś tam jeszcze?

- Tak. Słuchaj, spróbuję przyjechać pod koniec tego tygodnia albo na początku przyszłego. Rozumiesz, będę musiał coś wykombinować.

- Chyba powinieneś.

- Dobra. Coś załatwię. Jak Don?

- W porządku.

- A dzieci? Strasznie dawno ich nie widziałem, Judy i...

- Paul.

- Rosną?

- Mają już trzynaście i piętnaście lat - wyjaśniła Anna. - Rosną, jak to dzieci.

- Prawda. Co jesteś taka cięta? Stało się coś?

- Po prostu jestem zmęczona.

- Ta chwila musiała prędzej czy później nadejść.

- Tak, wiem.

- Jak z forszą? Wszystko w porządku?

- Sądzę, że tak. Dyrektor banku okazał się bardzo chętny do pomocy.

- Gdyby było potrzeba, daj znać. Zawsze mogę coś dorzucić.

- Będę pamiętać.

Położyła słuchawkę i prawie natychmiast podniosła ją znowu. Wykreśliła swój własny numer. Czekała, aż Don się odezwie, wyobraziła sobie pusty hall, w którym dzwoni telefon. Zdawało jej się, że dzieli ją od tamtego domu coś więcej niż przebyta droga. Przez jedno mgnienie wydał jej się nieosiągalny, jakby znajdował się w innym wymiarze nie przestrzeni, ale czasu. Dla odzyskania równowagi obeszła w myśli hall od drzwi do okna, następnie do ryciny nad kaloryferem przedstawiającej katedrę w Yorku. Z tej wędrówki wyrwał ją głos Dona. Rozmawiali o ojcu, o jeździe do Lichfield, ustalali plany na weekend.

- Nie miałaś kłopotów z samochodem? Kazałaś sprawdzić licznik?

- Tak, to znaczy, nie. Chciałam, ale... Zajmę się tym. Idę spać, kochanie. Padam ze zmęczenia. Ach! przed chwilą dzwonił Graham.

- Patrzcie państwo!

Leżała czytając Znowu w Brideshead. Na książce widniało jej panieńskie nazwisko wypisane kanciastym pismem uczennicy. Było jej zimno. W pojedynczym łóżku czuła pustkę, do której nie była przyzwyczajona, brakowało drugiego ciepłego ciała obok. Kiedyś, dawno temu, kiedy ich sam na sam przestało się ograniczać do ukradkiem spędzonych razem godzin, przyszło oszałamiające upojenie poczuciem bezpieczeństwa, które z czasem przerodziło się w przyzwyczajenie. Odwykłam i od sypiania sama, i od podróżowania sama, myślała Anna. Mimo zmęczenia poczuła pożądanie, drzemiące w jej ciele, jak teraz to sobie uświadomiła, przez cały dzień i w dziwny sposób podsycone ręką tego nauczyciela, kiedy dotknął jej ramienia w przelotnym geście współczucia i pociechy. Zgasiła światło, a układając się do snu ponownie usłyszała gawrony i warkot maszyny do koszenia trawy.

Graham Stanway dzwonił do pewnej rozwódki, z którą zazwyczaj spędzał dwie, trzy noce w tygodniu. - Słuchaj - powiedział - nie mogę przyjść w piątek. Strasznie mi przykro, kotku, ale coś mi wypadło. -

Rozwódka, która, przygotowana na taką ewentalność, miała inną randkę w odwodzie, na głos protestując i wyrażając żal, w myśli robiła już nowe plany.

- Dlaczego? - spytała.

- Ojciec nie czuje się dobrze. Wiesz, w Lichfield. Prawdę mówiąc, obawiam się, że już długo nie pociągnie.

- Och, kochanie, jakiś ty biedny! Tak mi przykro, bardzo jesteś do niego przywiązany?

Graham bąknął, że zawsze byli w dobrych stosunkach. Rozwódka ponownie uzalila się nad nim, a potem zaczęła opowiadać jakąś pikantną historyjkę o ich wspólnej starszej znajomej i Graham szczerze się uśmieł. W trakcie opowiadania wtręciła, że ostatnio spędziła wieczór z innym ich wspólnym znajomym, trochę młodszym. Na koniec, wymieniwszy serdeczności i wyraziwszy nadzieję na rychłe spotkanie, odłożyli słuchawki. W swoim mieszkaniu rozwódka prawie natychmiast wykręciła inny numer, a Graham w swoim, nalał sobie szklaneczkę whisky i poszedł do okna. Pięć pięter pod nim migotały tylne światła samochodów unieruchomionych w ulicznym korku, które nie wiadomo dlaczego przypominały mu wesołe miasteczko. Dawno temu jechał elektrycznym samochodzikiem czy innym takim pojazdem w wesołym miasteczku, a czerwone światełka odbijały się w wodzie zupełnie jak teraz w Tamizie, która połyskiwała czernią przy nadbrzeżnym bulwarze (widok z okna Grahama był niezwykle imponujący i kosztowny). Dręczyło go to mgliste wspomnienie, aż nagle wszystko stało się jasne. Kiedyś jako dzieci, na wakacjach w Southwold, poszli z Anną do takiego wesołego miasteczka przy promenadzie. Światła, morze. Chryste, myślał Graham, dlaczego właśnie teraz mi się to przypomniało? Rozpamiętywanie przeszłości nie leżało w jego charakterze. Dopił whisky i poszedł spać, samotnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Jest jeszcze comiesięczny przekaz dla pani Barron - powiedział dyrektor banku i spytał: - Czy mamy nadal wypłacać?

- Pani Barron? - zdziwiła się Anna. W słuchawce słychać było stukot maszyny do pisania.

- Pani S. Barron z Gloucester, 16, Ellesmere Road. Pieniądze przekazujemy do oddziału banku Midland w Gloucester.

- Przepraszam. W tej chwili nie bardzo wiem, o co chodzi...

- To stara sprawa - powiedział dyrektor. Szelest papierów nałożył się na stukot maszyny do pisania. - Pieniądze wysyłamy od... och, od czasu kiedy pan Stanway otworzył u nas konto. Dziesięć funtów miesięcznie. Dwa lata temu ojciec pani podwyższył sumę do piętnastu funtów.

- Rozumiem - powiedziała Anna. - Będę musiała sprawdzić. Proszę tę sprawę na razie nie ruszać. Ale myślę, że można przestać płacić składki w klubie.

Oszołomiona położyła słuchawkę. Dziesięć funtów miesięcznie, piętnaście? Ze skromnej emerytury ojca? Przez chwilę wydawało jej się, że to jakaś gigantyczna, trwająca wiele lat, omyłka w banku, doszła jednak do wniosku, że ojciec nie przeoczyłby takiego błędu. Jeśli dziesięć funtów, to na pewno tak miało być. Sama nie wiem. Co za przedziwna historia. Może kiedyś pożyczył pieniądze? Nie, wykluczone, to do niego niepodobne. Może chodzi o kogoś, kto u nas pracował? Ale nigdy nikogo takiego nie było. Muszę zapytać Grahama, pomyślała, albo nawet samego ojca, jeśli będzie przytomniejszy, zanim wyjadę.

Anna postanowiła iść do domu opieki po południu, a rano poświęcić na porządkowanie spraw domowych. Wyruszyła więc do miasteczka odwiedzić panią Ransome i podziękować jej za wszystko, co zrobiła. Możliwe też, że winni są jej pieniądze.

Dzień był bezchmurny. Zimny wiosenny wiatr targał gałęziami rzadko rosnących drzew. Ostatnie zeszłoroczne liście wirowały wokół jej nóg. Tutaj, na polach i żywopłotach wiosna wykwiatała dopiero delikatną, zieloną mgiełką: na południu, w Berkshire, widać już było postrzępione kształty listków. Podróż w górę mapy oznaczała cofanie się w czasie o mniej więcej tydzień, jakby i klimat, strzegący swoich odwiecznych praw, ostatecznie zaznaczał lokalne odrębności. Wszędzie można dostać tę samą gazetę, ale żeby jeszcze raz rzucić okiem na rozkwitłe tydzień temu kwiaty, trzeba podróżować. Powinnam częściej wyjeżdżać, przemknęło jej przez myśl, sama, jak teraz, wtedy inaczej patrzy się na świat.

Pani Ransome mieszkała w jednym z bliźniaczych ceglanych domków za pocztą. Poczęstowała Annę herbatą, zgasiła skrzeczące radio i nieśmiało spytała, czy pan Stanway wróci jeszcze do domu.

- Obawiam się, że nie.

- Tak też myślałam. Stało się z nim to, co z moją mamą pod koniec. Wie pani, to, co się dzieje z człowiekiem, który ma już odejść. Dobrze mu tam?

- Sądzę, że tak - odpowiedziała Anna i przypomniała sobie twarz ojca na poduszce, zapatrzoną w inny wymiar, dziwnie nieprzeniknioną, pozbawioną zmieniającej się jak w kalejdoskopie mimiki, z której odczytujemy reakcje innych ludzi. Pani Ransome jak gdyby odgadując jej myśl ciągnęła:

- Trudno wyczuć, prawda, kiedy stary człowiek już sam nie potrafi powiedzieć. To tak jak z dzieckiem.

Siedziały przez chwilę w milczeniu patrząc przez okno na rojne i gwarne boisko szkolne.

- Przyjemnie było u niego pracować. Nie wchodziliśmy sobie w drogę. - Nagle pani Ransome zaśmiała się - Może jeszcze herbaty... - zaproponowała. - Mówiąc szczerze, chyba nie bardzo zależało mu na tym, żeby dom porządnie wyglądał. Mężczyźni robią się tacy, kiedy mieszkają sami, prawda?

- Chyba tak.

- Dziwne, ale jakoś nie wyobrażałam go sobie otoczonego rodziną. Zaskoczyło mnie bardzo, kiedy wspomniał o pani i pani bracie. Zawsze myślałam, że to typ starego kawalera. - Spojrzała uważnie na Annę. - Nie ma mi pani za złe, że mówię tak o pani ojcu? To dlatego że w domu nie było żadnych fotografii, niczego takiego.

- Pewnie są w szufladach, ale rozumiem, co pani ma na myśli.

Zdumiało ją, że ojciec, tak mocno wrośnięty w jej własną przeszłość, mógł tej obcej kobiecie wydać się kimś zupełnie innym, mężczyzną wolnym od więzów i obowiązków rodzinnych. Przypomniała sobie, że któreś z jej małych jeszcze wówczas dzieci, wracając z przedszkola spojrzało na nią z ciekawością i spytało: A kiedy mnie tu cały dzień nie ma, to gdzie ty jesteś, co się z tobą dzieje, siedzisz w domu?" Pod wpływem uwagi pani Ransome uświadomiła sobie, że i w niej drzemie ten sam egocentryzm, że tak samo zakłada, że najbliżsi są przedłużeniem jej własnego ja.

- Znosił samotność całkiem dobrze. Nie tak, jak niektórzy.

- Tak. Może ma pani rację.

Natomiast matka przeciwnie. Nie cierpiała, kiedy ojciec przebywał długo poza domem. Później nie lubiła też, jak my wyjeżdżaliśmy. Trzymała nasze rzeczy niczym kotwice, i to ona zawsze odbierała telefony, pisała co

tydzień, starała się, może nawet za bardzo, dorównać naszym znajomym. Anna pamiętała, ile zamieszania matka robiła wokół koleżanek Grahama z Cambridge, tych zgrabnych wysztafirowanych lał, które uważały jego rodziców za pospolitych ludzi. A mnie, myślała, przejętą młodszą siostrę, traktowały z góry.

- Chciałabym uregulować rachunki, proszę tylko powiedzieć, ile jesteśmy pani winni - zwróciła się do pani Ransome.

Pieniądze położone między filiżankami wydawały się tu nie na miejscu. Odprawiając Annę do drzwi pani Ransome powiedziała:

- Poszłabym odwiedzić pana Stanwaya, ale nieczęsto bywam w Lichfield, a poza tym... nie chciałabym się narzucać.

- To bardzo miło z pani strony, ale do ojca nie wszystko dociera, mógłby pani nie poznać. Za to wczoraj miał gościa, przyszedł pan... pan Fielding. Mieszkał kiedyś tutaj.

- Tak - powiedziała pani Ransome. - W starym domu przy tej samej uliczce co pani ojciec. Często wpadał na pogawędkę. Chodzili też razem na ryby. - Przez chwilę wydawało się, że chce jeszcze coś dodać, ale powiedziała tylko: - Pan Fielding lubił towarzystwo pani ojca.

W Berkshire samochodowe radio ostrzegło Donalda Lintona, że na A 329 wystąpią zakłócenia ruchu spowodowane osunięciem się ładunku z ciężarówki. Po czym wznowiono nadawanie programu muzycznego (tego samego, który w Starbridge pani Ransome teraz na nowo włączyła), a Donald, i tak już o pięć minut spóźniony, wykonał zalecany skręt w prawo, potem w lewo, mijając tym samym szosę A 329. Program muzyczny, dyplomatycznie oscylując między muzyką lekką i klasyczną, zabawiał go melodiami z amerykańskiego musicalu sprzed prawie ćwierćwiecza, na który, jak sobie mgliście przypominał, zabrał kiedyś Annę przed ślubem. Za trzy lata, myślał Don, skończą czterdzieści pięć lat. Do tego czasu Thwaites przejdzie na emeryturę i zostanie starszym wspólnikiem z pensją rządu dziewięciu, dziesięciu tysięcy. Może dobrze by było sprzedać wtedy dom, zastanawiał się, i kupić coś, w co bardziej opłaca się inwestować, jak na przykład ten. Stojąc w korku ulicznym (nie zapowiedzianym przez radio, które nadawało teraz uwerturę do Czarodziejskiego fletu) podziwiał wymuskaną georgiańską willę z ogrodem schodzącym aż do Tamizy. Podobny, może tylko z większym placem. Anna, ze swoim przywiązaniem do rzeczy, będzie się oczywiście opierać, mieszkamy przecież w tym samym miejscu już kawał czasu, ale na pewno zwycięży jednak rozsądek. Światła zmieniły się i Don ruszył. Ciekaw jestem, myślał, czy dała samochód do naprawy, to tylko kwestia sprawdzenia kilku przewodów,

zajmie najwyżej minutę. W myślach przeniósł się do Starbridge, zrobił przegląd tamtejszych stacji obsługi i zlokalizował jedną chyba gdzieś koło pubu. Całkiem niespodzianie ujrzał teścia podającego mu drinka, w tym właśnie pubie, jakże dawno temu. „Wszystkiego najlepszego dla was obojga, Donaldzie. To dobra dziewczyna, choć to zdanie ojca. Czasami reaguje trochę zbyt emocjonalnie, ale chyba nie będziesz się tym przejmował. Opiekuj się nią.” Biedny staruszek, pomyślał Don, miejmy nadzieję, że to nie potrwa zbyt długo.

Podnieśli go z łóżka i usadzili w fotelu. Anna weszła w momencie, gdy pielęgniarka obkładała ojca poduszkami i okrywała pledem.

- Czuje się dziś nie najgorzej, więc posadziłyśmy go w fotelu, ale obawiam się, że niewiele do niego dociera. - Pochyliła się nad nim i powiedziała: - Córka przyszła w odwiedziny, złociutki.

Anna usiadła z gazetą. Ojciec nie odzywał się, kiwał głową, rękami ustawicznie skubał i miętosił koc na kolanach. W pewnej chwili coś niezrozumiale powiedział do siebie i zachichotał, a kiedy Anna spróbowała go zagadnąć, spojrzął na nią pustymi oczyma. Przez większość czasu wydawał się nieświadomy jej obecności. Zdziwiło ją więc, kiedy nagle zapytał:

- Już zaraz przyniosą obiad?

- Nie, tato, jeszcze nie. - Przynęła krzesło bliżej i dłonią nakryła jego rękę. - Jak się czujesz?

- Kim jest ta kobieta? - wymamrotał. Spojrzała w kąt pokoju, tam gdzie się wpatrywał.

- Nikogo tu nie ma oprócz mnie, tato. Tam nikogo nie ma.

- Co? - Jego oczy zdawały się śledzić czyjeś ruchy. - Powiedz jej, że teraz nie mogę z nią rozmawiać. Nie może tu wejść, to na nic.

- Tato, przysięgam, tu nikogo nie ma. - Ale ojciec zamknął się na powrót w sobie, zapadł najwyraźniej w półsen, oddychając głośno, ze świstem.

Kiedy przyszła pielęgniarka, Anna wspomniała jej o tym przywidzeniu.

- Wielu z nich miewa halucynacje. Och, widzą różne rzeczy: kwiaty, statki, ludzi. Nigdy nie są sami. To bywa zupełnie przedziwne, nie wiadomo, jak taki umysł pracuje. Pomoże mi pani przenieść go z powrotem? No, panie Stanway, jest pan gotów? Wracamy do łóżka. Zrobimy krzeselko, spleciemy ręce pod jego kolanami, a drugą proszę mi podać z tyłu, za plecy. Potem, jak powiem, podniesiemy go i kiedy nogi będą już na łóżku, obrócimy.

Była to dziewczyna może dwudziestoletnia, szczupła i krzepka, włosy pod czepkiem uczesała gładko w koński ogon, do fartucha miała przypięty tani krzyżyk.

Rozchylona pidżama odsłoniła skórę przezroczystą i delikatną jak u niemowlęcia. Podnosząc go z fotela Anna poczuła cuchnącą woń moczu, a pielęgniarka powiedziała:

- Chwileczkę, wezmę tylko parę czystych spodni, a pani niech przytrzyma go tak na boku.

Oszczędnie gospodarując siłami, bez żadnego zbędnego ruchu, wprawnie unosząc i opuszczając ciało starca zmieniała mu bieliznę. Anna, jedną ręką podtrzymując mu plecy, zażenowana odwróciła wzrok od nagich zwiotczałych ud i genitaliów. Ojciec bezradnie wiszący między nimi dwiema z twarzą wciśniętą w poduszki, mamrotał coś niezadowolony.

- Rozczarowała się pani - odezwała się dziewczyna - widząc go w takim stanie. A przecież specjalnie pani przyjechała.

- Wczoraj mnie poznał - powiedziała Anna.

- Są momenty lepsze i gorsze. To właśnie jest ciekawe w chorobach wieku starczego.

- I nie wydaje się to pani... przygnębiające?

- Nie - odpowiedziała dziewczyna wymijająco. Poprawiała pościel z taką samą łagodną obojętnością, z jaką dziewczynka otula lalkę, a ojciec posłusznie leżał oparty o poduszki z dłońmi splecionymi na odwiniętym u góry na koc prześcieradle. Anna pomyślała: och, nie zniósłby tego, gdyby był świadomy, co z nim robią.

- Tak naprawdę - powiedziała pielęgniarka - chciałabym zajmować się chorymi psychicznie. Jeśli mi się powiedzie, w przyszłym roku pójdę na kurs. No, teraz może już jeść obiad. Zostaje pani?

- Nie, zajrzę później.

- Musisz odejść. Betty, już ci kiedyś tłumaczyłem, nie możesz tu przychodzić, to na nic - mówił James Stanway.

Ale ona wciąż siedziała, uśmiechnięta, milcząca, ubrana w niebieską sukienkę w groszki, tę samą, którą nosiła tamtego lata w Lyme. Uśmiechała się wygładzając jedwab na kolanach.

- Nie chodzi o to, że ja nie chcę ciebie widzieć - mówił - wiesz przecież, ale musisz zrozumieć, że to się na nic nie zda, od początku tak ustaliliśmy.

I teraz rzeczywiście sobie poszła, chociaż nie zauważył, jak wychodziła. Gdzieś w tłoku jacyś ludzie poszturchiwali go i poniewierali nim. - Zostawcie mnie - mówił - zostawcie - ale oni byli o wiele silniejsi i po

chwili leżał wyczerpany. Głowę wypełniał mu szum rzeki płynącej po kamienistym dnie.

Przy stole w kuchni Anna zjadła kilka krakersów z serem. Dziś po południu muszę wziąć się do roboty i jutro z samego rana będę mogła wyjechać, myślała. Trzeba przejrzeć biurko, zobaczyć, co jest do załatwienia, i jeszcze raz zadzwonić do banku. A jak zostanie mi czasu, popracuję trochę w ogrodzie. Włożyła brudne naczynia do zlewu i poszła do gabinetu ojca.

Szybko uporała się z papierami na biurku. Było tam jeszcze kilka dodatkowych rachunków do zapłacenia, list od kuzyna, pozostawiony bez odpowiedzi, i utrzymana w zjadliwym tonie wymiana korespondencji z wydziałem do spraw gospodarki wodnej (a teraz oni będą mieli ostatnie słowo, i nie zastanowią się nawet dlaczego). Ułożyła papiery i zrobiła listę spraw do załatwienia. Otwierając szuflady biurka, czuła jednak, że wkracza w chaos przeszłości, cofa się trzy, pięć, dziesięć lat wstecz. Listy, pokwitowania za zapłacone rachunki, legitymacje. Świszki papieru wyznaczające bieg życia. A gdybym, zastanawiała się, gdybym była kimś obcym, gdybym ojca nie знаła, co by mi to wszystko mówiło? Oto członek Związku Automobilowego, właściciel domu, który piętnaście lat temu spłacił dług hipoteczny, mąż, ojciec dwojga dzieci, prenumerator dodatku oświatowego „Timesa”, korzystający niekiedy z hoteli sieci Trust House. Mężczyzna kupujący wyszukane potrawy za zaliczeniem pocztowym, popierający ruch na rzecz ochrony angielskiego pejzażu, mężczyzna, który kiedyś, o wiele młodszy, sfotografował się u boku kobiety z twarzą niewidoczną za zasłoną rozwianych wiatrem włosów.

To pewnie mama, pomyślała Anna, kładąc zdjęcie na bibularzu przed sobą, około czterdziestego roku, ciekawe, gdzie my wtedy byliśmy, Graham i ja? Widocznie wyskoczyli gdzieś bez nas. Odwróciła fotografię i w rogu dostrzegła napisane przez ojca ołówkiem „Dorset”.

Dzięki zawartości ojcowskich szuflad i teczek przez całe popołudnie wędrowała po latach swojego dzieciństwa i młodości. Były tam zdjęcia, dziecinne listy, dyplomy pływackie. Była książka kucharska mamy, jej własne nagrodzone wypracowanie z ostatniej klasy, świadectwa szkolne Grahama (Stanway robi użytek ze swojej inteligencji, kiedy uzna za stosowne lub kiedy służy to jego celom). Wychodząc z założenia, że kiedyś w końcu trzeba to przecież zrobić, więc równie dobrze można zacząć teraz, wzięła się do segregowania papierów. Odkrywanie na nowo zapomnianych - miejsc i zdarzeń wciągnęło ją do tego stopnia, że tekturowe pudła przyniesione ze spiżarni, które oznaczyła „A.S.”, „G.S.” „Ojciec”, „Do

wyrzucenia”, zapełniały się bardzo powoli. Promienie słońca wpadały do pokoju oświetlając wpierr biurko, potem oszklone drzwi biblioteczki, potem wytarty wzór perskiego dywanu. Anna podróżowała w czasie - z przypadającego na okres wojny dzieciństwa przeniosła się do Oksfordu, żeby znowu wrócić w nie kończące się lata szkolne. Tu ona i Don jako młoda para uśmiechają się sztucznym, upozowanym uśmiechem, z innej koperty wyslizgnęło się znów kilka zdjęć ukazujących buzie Paula i Judy z bezpowrotnie minionego dzieciństwa.

Kiedyś, jeszcze przed ślubem, pracowała krótko w muzeum, w dziale manuskryptów. Teraz, kiedy siedziała na podłodze w gabinecie ojca, wydawało jej się, że to przypadkowe archiwum zgromadzone w jego biurku było takim samym wyrwykowym świadectwem ludzkiego życia jak tamte cudem ocalałe fragmenty anglosaskich dokumentów albo średniowieczne rejestry podatkowe. Podawały fakty, lecz fakty nie mówiące całej prawdy. Anna oglądała swoje ślubne zdjęcia i myślała: mama wygląda ponuro, a przecież chyba tylko ona jedna cieszyła się naprawdę, a to Graham obejmuje ramieniem dziewczynę, której wcale nie zapraszałam, to tamten dzień w Poppet Sands, kiedy Paul skaleczył sobie stopę kawałkiem szkła, a zaraz potem Don dostał nową pracę i przeprowadziliśmy się do Cuxing.

Najłatwiej było wybierać to, co dotyczyło jej, to, co Grahama, i to, co prawdopodobnie nadawało się do wyrzucenia. Resztę, osobiste rzeczy ojca, oglądała z namysłem i zdecydowała: to wszystko musi poczekać, z czasem i tym się zajmę. Pamiętając o zagadkowym stałym zleceniu bankowym otworzyła tylko jedną teczkę, tę, która zawierała wyciągi z konta. Stwierdziła, że zgodnie z informacją dyrektora owe comiesięczne przekazy powtarzały się wśród innych kwitów w regularnych odstępach całymi latami wstecz. Z pomieszanych papierów trudno było wywnioskować, kiedy się to zaczęło, odłożyła więc teczkę na bok. Nie mogę sprawy zostawić, myślała, muszę dowiedzieć się, o co tu chodzi.

Był już prawie wieczór i w ogrodzie gwizdał kos. Z szopy wzięła łopatę i widły, porządnie zawieszane na swoich miejscach razem z innymi wytartymi do czysta narzędziami. Na grządkach róż rozplenili się krzyżownik i mlecze. Wzięła się do roboty, przekopując widłami wilgotną, miękką ziemię i oddzielając chwasty. Pracowała z zapałem, od czasu do czasu przerywając, żeby obejrzeć się za siebie na oczyszczoną już grządkę i podziwiać róże puszczające delikatne młode pędy. Krzaki były przycięte. Ojciec musiał to zrobić jesienią albo zimą, zdając sobie może sprawę, że latem nie zobaczy już kwiatów.

Ogród schodził w dół ku łące - wiejskiemu pastwisku z widocznymi tu i ówdzie krowami. Jego skraj wyznaczały wierzby i olchy rosnące rzędem nad rzeką. Ojciec należał do klubu, który miał pozwolenie odłowu na tym odcinku rzeki, a dom kupił właśnie ze względu na położenie. Zbliżając się z wolna do płotu na końcu trawnika, w wieczornej ciszy Anna słyszała słaby szum wody opływającej jakąś przeszkodę. Niewidoczny stąd traktor zakrzuszył się, zapalił i odjechał, a po chwili nie było go już słychać. Z prawej strony, w oddali zobaczyła idącego powoli wzdłuż brzegu mężczyznę, który nagle skręcił i ruszył przez pastwisko.

Wróciła do pracy przy grządce róż i zabrała się do wykopywania bardzo starego, zdrewniałego krzaka mającego zaledwie kilka nowych pędów. Jego korzenie, rozgałęzione głęboko jak kłącza mandragory, nie dawały się jednak ruszyć. Odłożyła łopatę, gołymi rękami chwyciła pień i zmagiła się z nim, aż świadomość, że ktoś jest w pobliżu, zmusiła ją do podniesienia głowy. Mężczyzna, którego widziała na pastwisku, dotarł do ogrodzenia na końcu ogrodu, przeszedł pod nim, a kiedy się wyprostował, zobaczyła, że to Dawid Fielding. Niósł wędkę i parę długich gumowych butów.

- Nie chciałym przeszkadzać, ale pomyślałem, że korzystając z pani obecności odniosę wędkę.

- Ten krzak i tak nie chce się poddać - powiedziała Anna prostując się. Tak, mówił coś wczoraj o wędce, myślała, ojciec musiał mu ją pożyczyć. Głośno powiedziała: - Jestem pewna, że ojciec chciałby, żeby ją pan zatrzymał.

- A pani mąż albo brat nie będą jej używali?

- Na Boga, nie. Oni nie łowią ryb.

- To obłąkane zajęcie - przyznał Dawid. - Rzadko udaje mi się coś złapać. Pani ojciec zawsze mógł liczyć, że będzie miał coś na kolację. Był dobrym wędkarzem.

- Ale rzeki są piękne...

- Właśnie. Są piękne. - Uśmiechnęli się do siebie nad grządką rozkopanej przez Annę, brunatnej, czystej, świeżej jak okruszki ciasta, ziemi.

- Niech pan z niej korzysta. Nam nie jest potrzebna.

- W takim razie zatrzymam ją przez lato... cieszę się. Wie pani, to bardzo dobra wędka i obecnie sporo warta. - Spojrzał na poszarpany krzak róży. - Może teraz ja spróbuję - zaproponował.

- Będę panu wdzięczna.

Krzak ani drgnął. Anna roześmiała się.

- Jest stary jak świat, korzeniami sięga chyba samego wnętrza ziemi. Będę musiała poszukać piły.

- Nie trzeba. Mam nóż. Odrąbię go tak głęboko, jak tylko się da. Nie sądzę, żeby puścił nowe pędy pod ziemią.

Dawid pochylił się i sięgnął daleko między korzenie, drugą ręką przytrzymując pień.

- Obawiam się, że wczoraj musiał pan sobie pomyśleć, że jestem źle wychowana, ale naprawdę... - zaczęła Anna.

- Cholera! Przepraszam! - Wyszarpnął rękę. Z oblepionego ziemią kciuka trysnęła krew. Drugą ręką szukał czegoś w kieszeni i nagle, bezradnie jak mały chłopiec, wyznał: - Nie mam chusteczki.

- Wygląda na to, że nieźle się pan skaleczył. Chodźmy lepiej do domu, tam włoży pan rękę pod kran - powiedziała Anna.

Poszedł za nią do kuchni, usiadł przy stole. Anna puściła wodę do zlewu i zaczęła szukać w szafkach Dettolu i waty. Kiedy ze słowami: - Proszę dać mi... - podeszła do Dawida, zobaczyła, że odwrócił pobladałą i pokrytą kroplami potu twarz, żeby nie patrzeć na skaleczony palec, z którego kapały na podłogę krople krwi zmieszanej z ziemią.

- Słabo się pan czuje? Niech pan opuści głowę między kolana. O, tak.

Pochylił się posłusznie w przód, a Anna trzymała przez chwilę dłoń na jego ramieniu. Cofnęła rękę, dopiero kiedy się wyprostował.

- Śmieszne - uśmiechnął się do niej słabo. - Wydaje się, że ciągle tylko pytamy się nawzajem o samopoczucie.

- Przypomina mi pan Paula - powiedziała Anna. - Mojego syna. Kiedyś, na plaży, skaleczył się w stopę, dzisiaj to sobie przypominałam. Musiał wejść na kawałek szkła. Jeszcze przez wiele godzin później nie chciał spojrzeć na skaleczenie, bo był pewien, że obciął sobie palce. Miał wtedy sześć, może siedem lat. Pan zawsze tak reaguje na widok krwi? Teraz proszę włożyć rękę pod kran i nie patrzeć.

- Prawie zawsze. Dla nauczyciela to niezbyt wygodna dolegliwość. Czy pani wie, jaka jest średnia tygodniowa rozlewu krwi w męskiej szkole przeciętnej wielkości?

- Pewnie całe litry. Przepraszam, zamoczyłam panu rękaw. - Dotknęła jego ręki, była zimna. To od łowienia ryb. W letnie wieczory ojciec, wracając z rzeki, przykładął dłonie do jej policzków, żeby, jak żartował, rozgrzać sobie palce.

- A w wojsku... przez cały czas drzałem na widok szabel rozwieszonych na ścianach w mesie oficerskiej.

- To okropne. A co pan robi z rybami? Daje pan w łeb i po wszystkim?

- Dziwne, ale przed tym nie mam oporów. Rybia krew to coś innego.

- Dla mnie jest w tym pewien brak konsekwencji. No, już prawie przestało krwawić. Niech pan przyciśnie drugim palcem i potrzyma tak kilka minut.

- Nie mogę. Nie mam siły.

- Już dobrze - powiedziała Anna - sama potrzymam.

Chromowany kran, z dwiema gałkami do ciepłej i zimnej wody, jeśli intensywnie się weń wpatrywać, robi złudne wrażenie jakiegoś prehistorycznego stwora, w którego garbatym karku odbija się wydłużona twarz patrzącego. Jeśli dwoje ludzi stoi obok siebie, ich wizerunki zlewają się w jednolitą różowo brązowo zieloną plamę. Na szczęście, może, obraz jest do tego stopnia zniekształcony, że nie oddaje takich szczegółów, jak wyraz twarzy, kształt oczu, ust czy nosa.

- Myślę, że teraz już wszystko w porządku - powiedziała Anna.

- Wierzę pani na słowo.

- Jeszcze tylko plaster i będziemy mogli napić się herbaty.

- Z przyjemnością.

Usiedli naprzeciw siebie przy kuchennym stole, z początku milczeli, a potem nagle odezwali się jednocześnie:

- Od dawna uczy pan w Lichfield?

- Wspomniała pani, że mieszka w Berkshire.

- Tak - odpowiedziała Anna. - W niewielkim miasteczku koło Reading.

- Aha, w takiej sypialni. Niezbyt dobrze znam podobne okolice, urodziłem się i wychowałem na prowincji. Przywykłem do miejsc, gdzie ludzie żyją, a nie do takich, skąd dojeżdżają do pracy, chociaż obecnie i nasze miasteczko nabrało podobnego charakteru. Birmingham daleko wysuwa swe macki. Ja pochodzę z Nottingham.

- Nigdy chyba tam nie byłam.

- Nie poznaję teraz swojego miasta. Gdzie tylko spojrzeć, nowe domy towarowe, obwodnice i bezkolizyjne skrzyżowania. Nottingham jest już od pięćdziesięciu lat systematycznie niszczone. Wie pani, był tam siedemnastowieczny ratusz, zburzono go w latach dwudziestych.

- Zdawało mi się, że Nottingham zawdzięcza rozgłos slumsom.

- No tak, i to też. Naszą dzielnicę zamieszkiwało biedniejsze mieszczaństwo. Były tam spokojne uliczki, a teraz burzą to wszystko psychaczami. Ojciec miał sklep spożywczy. Po skończeniu Cambridge wróciłem tam i uczyłem przez około dziesięć lat, potem jakiś czas pracowałem w Manchesterze, a teraz tutaj.

- Ja też uczę - powiedziała Anna nieśmiało.

- Pani ojciec wcale mi o tym nie wspominał. Choć przyznam, że nigdy wiele o pani nie mówił.

- Uczę tylko w niewielkim zakresie... w naszej szkole średniej, historii w młodszych klasach. Ale kiedyś chciałabym robić coś więcej.

- Jeszcze jeden historyk - skomentował Dawid Fielding. - Nie jesteśmy teraz w modzie.

- Nie bardzo rozumiem.

- Nie zauważyła pani, że wiatr wieje nam w oczy? Obecnie ludzie nie mają tak dużo czasu, żeby studiować przeszłość. Wolą zdobywać konkretny zawód.

- Co znowu - zaproponowała Anna. - Nie mogę się z panem zgodzić. Wydaje mi się, że historia nigdy nie była bardziej popularna, tak, popularna. Reklamy subskrypcji tanich serii książek historycznych zajmują cały tył okładki „Radio Timesa”, w każdy weekend miliony ludzi włączą się po rezydencjach arystokracji, a w telewizji wciąż, na wszystkie sposoby, walczy się wydarzenia ostatnich stu lat, wystarczy tylko nacisnąć guzik, żeby się o tym przekonać.

- Przeszłość jako rozrywka.

- Aha - powiedziała Anna. - Tak to pan ujmuję. Można na sprawę spojrzeć i w ten sposób. Ja jednak...

- Jeżeli traktować historię jako nauczycielkę życia, sprawa przedstawia się inaczej.

- A jest nauczycielką życia? - spytała Anna. - Czy powinna nią być? Nigdy nie byłam o tym przekonana. Lekcje wyciągnięte z przeszłości i tak dalej... Dlaczego mamy brać przykład z historii? Dlaczego po prostu się jej nie uczyć?

- Kiedy tak pani przemawia, przypomina pani swojego ojca.

- Naprawdę?

- Podobnie jak on draży pani do końca raz obrany temat.

- Przykro mi - powiedziała Anna urażona. - Nie chciałam pana nudzić. Problem mnie zaciekał.

- Ależ wcale mnie pani nie nudzi. Nie pamiętam, kiedy nudziłem się mniej.

- Aha, to dobrze.

- Proszę mówić dalej.

- Skończyłam już. Nie pamiętam, co miałam zamiar powiedzieć. Herbaty?

- Poproszę. Co jeszcze robi pani tam w Berkshire poza dbaniem, żeby z historii nie wyciągano zbyt wielu nauk? Ma pani dzieci?

- Dwoje. Chłopca i dziewczynkę. Piętnaście i trzynaście lat. A pan?
 - Dwóch chłopców, mniej więcej w tym samym wieku. Nie zaczynajmy tylko rozmów o dzieciach! Mam tego dosyć w szkole. Wymiana rodzicielskich doświadczeń to niezbyt przyjemny sposób spędzania wolnego czasu. Najlepiej zostawić ten temat pedagogom i psychologom. Pani ojciec znał umiar, rzadko mówił o pani albo pani bracie. Co, moim zdaniem, nie świadczy wcale o braku uczuć.

- Zgadzam się. Choć w życiu rodzinnym ojciec zawsze trzymał się trochę na uboczu. To dziwne, ale teraz, przeglądając jego papiery, odnoszę wrażenie, że znałam tylko część jego osobowości.

- Przypuszczam, że zawsze znamy, widzimy rodziców z jednej tylko strony, prawda?

- Tak, chyba ma pan rację. - Anna zwierzyła mu się ze swoich dzisiejszych porannych rozważań o kłamliwym obrazie życia wyłaniającym się ze skrawków papieru.

- To kolekcja staranniej dobrana niż archiwum w muzeum - powiedział Dawid. - Na pewno zastanawiał się, co zatrzymać.

- Ale u niego też dominują sprawy materialne.

- Z pominięciem uczuć?

- Chyba tak.

- A pani dzieci odkryją szufladę pełną listów miłosnych?

- Nie sądzę.

- Widzi pani - powiedział Dawid. - Ale za to znajdą stare paszporty i dziesiątki polis ubezpieczeniowych. - Umilkł na chwilę przyglądając się zaklejonemu plastrem kciukowi na pokrytym żółtym laminatem stole. - Właściwie dlaczego teraz się tym pani zajmuje? - spytał ni stąd, ni zowąd. - Można z tym przecież poczekać.

- Aż ojciec umrze? Dawid skinął głową.

- Nie jestem taka pewna. Po pierwsze musiałam, rozumie pan, trzeba było uporządkować pewne sprawy finansowe. A częściowo dlatego, że w jakiś przedziwny sposób mam na to ochotę. - To do mnie nie pasuje - dodała. - Nie znoszę porządków. Mój mąż ciągle narzeka, że ze mnie bałaganiara.

Zignorował tę uwagę.

- Śmierć jednego z rodziców - mówił - to pod każdym względem przełomowe doświadczenie. Czujemy się wtedy starsi i równocześnie młodszy. - Wziął dzbanek, dolał do obu filiżanek i osłodził swoją herbatę. - Mogę? - zapytał. - Mój ojciec zmarł mniej więcej piętnaście lat temu. Był sklepikarzem, jakich teraz już nie ma. Prowadził taki typowy staroświecki

sklep na rogu ulicy. Cieszę się, że nie doczekał czasów, kiedy przegrałby w konkurencji z supermarketem. Po jego śmierci musiałem zlikwidować wszystkie księgi rachunkowe. Żałośnie drobne sumy, zapiski sięgające lat dwudziestych - kredyt na trzy szylingi sześć pensów do piątku - wszystko w tym stylu. A te skrawki papieru składają się na obraz człowieka, o tym właśnie pani sama przed chwilą mówiła. Moje świadectwa szkolne, ani jednego nie brakowało. Obawiam się, że obca mu była powściągliwość pani ojca w sprawach dotyczących dzieci. Kiedy chodziło o mnie, był jak Sędziwy marynarz Coleridge'a. Sąsiedzi musieli dostawać wysypki na dźwięk mojego imienia - zaśmiał się.

- Przypuszczam, że był z pana dumny. To nie zbrodnia.

- I tak, i nie. Uważał, że to wspaniałe mieć syna na uniwersytecie, na naszej ulicy to był ewenement. Był typowym dla środkowej Anglii człowiekiem interesu, chociaż na tak znikomą skalę. Uważał, że zarobki nauczyciela są niewspółmierne do sum wyłożonych na jego wykształcenie.

- Miał rację.

- Jeżeli spojrzeć na to z tej strony - w głosie Dawida nagle zabrzmiała ostra nuta.

- Ja tak nie uważam - Anna zmieszała się. - Ale rozumiem go. Jeśli ktoś wydał...

- Wiem, że pani tak nie myśli. Przepraszam, zbyt mocno zareagowałem. Co robi pani mąż?

- Jest prawnikiem.

W Berkshire, pomyślała, w czymś salonie lub na trawniku w ogrodzie, skomentowano by to żywo, z aprobatą w głosie, słowem: „Doprawdy!”, co znaczyłoby: aa, wiem już, z kim mam do czynienia, ile macie na koncie, do której szkoły chodzą dzieci, jakie wyznajecie poglądy.

- Rozsądny facet - zauważył Dawid Fielding. Zapadł zmierzch. Mgła skryła wierzby na łąkach nad rzeką. Na środku różanej grządki, tam gdzie je Anna zostawiła, sterczały wbite w ziemię widły. Warkot przejeżdżającego uliczką motoroweru przerwał ciszę i wtedy Dawid powiedział:

- Lepiej już pójść. - A w drzwiach dodał: - Będę oczywiście odwiedzać pani ojca. Kiedy pani znów przyjedzie?

- Prawdopodobnie za dwa tygodnie. Chyba że wezwą mnie wcześniej.

- Może zajrzą wtedy do pani.

- Mam nadzieję - odpowiedziała Anna.

Po jego odejściu siedziała beczynnienie w kuchni wpatrując się w filiżanki po herbacie. Poderwał ją dzwonek telefonu.

Dzwonił Graham.

- Anna? Przyjadę w piątek. Wszystko już sobie ułożyłem.

- To dobrze.

- Jak tam, w porządku?

- Mniej więcej. Aha, jest taka jedna sprawa... Czy był ktoś, komu ojciec wypłacałby coś w rodzaju pensji? Renty albo czegoś podobnego? Ta pielęgniarka, która była u nas w czasie wojny, kiedy mama pracowała, jak się nazywała?

- Zabij mnie. Nie mam pojęcia.

- Nie Barron?

Nastąpiła trwająca ułamek sekundy cisza. Potem Graham powiedział:

- Nie wydaje mi się. A o co chodzi?

- To nic wielkiego, ale ojciec zlecił w banku, by co miesiąc wysyłano piętnaście funtów niejakiej pani Barron.

W słuchawce zapanowała dłuższa cisza. Słysząc było odgłosy rozmowy na innej linii. - Wiesz - powiedział Graham - nie przejmowałbym się tym. Zapomnij po prostu o całej sprawie.

- Na miłość boską, przecież musimy dowiedzieć się, kim jest ta osoba?

- Niekoniecznie.

Czy tak właśnie Graham się wyraził? Doszedł jej uszu przeciągły dźwięk, jakby ziewnięcie, może westchnienie, gdzieś tam w Londynie.

- W każdym razie nie trzeba się tym przejmować.

- Nie przejmuję się - powiedziała lekko obrażona.

- A więc świetnie. No to... będziemy w kontakcie.

- Jasne. Cześć.

- Cześć.

Spała źle. Budziła się często i długo leżała z otwartymi oczami, by ponownie zapaść w nierówną, pełną niespokojnych snów i wizji drzemkę. Wstała wcześniej, z bólem głowy. Myślą wybiegała naprzód, ku własnemu domowi i sprawom, które tam na nią czekały. Było to tak, jak gdyby odległości nie istniały, a przejście z jednego miejsca w drugie następowało jak kolejne ujęcia w filmie. Krzątała się po domu, zamykając okna, pakując do torby swoje rzeczy, planując obiad na wieczór, układając listę spraw do załatwienia na jutro. Lecz kiedy przy kuchennym stole piła kawę, przypomniała sobie rękę Dawida Fieldinga z zaklejonym kciukiem opartą na laminacie w szaro-żółte cętki. Cofając się myślą do tamtej chwili, z wyostrozonym, jak bywa we wspomnieniach, spojrzeniem, zobaczyła jego włosy siwiejące nad uszami, wystrzępione rękawy swetra, popękana główkę fajki. Na odwrocie jakiejś koperty zapisała: mięso mielone, cebula, marchew, pikle - zakupy na obiad trzeba będzie zrobić po drodze, a

jednocześnie pomyślała: musi zatrzymać wędkę ojca, chciałabym tego, to najrozsądniejsze rozwiązanie, porozmawiam z nim o tym jeszcze. Kiedyś.

RS

ROZDZIAŁ TRZECI

- Do pełna - powiedział Graham, a obsługujący go chłopak pożądlawie gładząc kosztowny zad samochodu pomyślał: ale stary nadziany, na cholere mu taki wóz, nie ma, kurwa, sprawiedliwości. Byle jak, choć z hałasem, zamknął wlew benzyny - nakrętka na pewno już po kilku kilometrach odleci, i podszedł do okna od strony kierowcy.

- Cztery pięćdziesiąt, proszę pana.

- Tak to już dzisiaj jest - rzucił Graham, a chłopak pomyślał, że kpi sobie z niego, i już chciał mu coś odpysknąć, ale kiedy zrozumiał, że tamten ma na myśli pieniądze, więc odpowiedział: - Rozbój w biały dzień - i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Dobranoc panu.

Z okna kantoru obserwował tylne światła auta wślizgującego się w wieczorny ruch.

Graham, mając przed sobą dwie i pół godziny jazdy autostradą M 1, włączył radio, pokręcił gałkami i nastawił wiadomości. W gęstniejącym zmierzchu, informowany o tym i owym, płynął przez kolejne hrabstwa, przesuwając się z pasa na pas, w niezłym humorze, w miarę zadowolony, umiarkowanie zmęczony. Ostatnimi czasy, zawsze pod koniec tygodnia, czuł się z lekka wyczerpany, co oczywiście nie oznacza nic poważnego, nic, czego nie załatwiłby krótki urlop, jak tylko nadejdzie lato. Dojeżdżając do Luton pomyślał przez chwilę o rozwódce, z którą, o ile nic innego nie wypadło, zazwyczaj spędzał piątkowe noce. Pomyślał, że z jakiegoś powodu może nie będzie już wiele takich okazji i właściwie mało go to obeszło. Niewielka strata, zdecydował, jakkolwiek by na to nie spojrzeć. Przyda mi się trochę odpoczynku, mała przerwa w tych sprawach. Na przyszły weekend pojedę odwiedzić Annę i dzieci, powinienem ich częściej widywać, wieki całe już tam nie byłem. Northampton, całkiem nieźle, dotrę na miejsce przed ósmą.

Wszystko płynie, budynki też nie stoją w miejscu. Wchodząc do domu, Anna poczuła się natychmiast przezeń wchłonięta, a jej uwagę zwróciły wszystkie te nieznaczące, ale od razu rzucające się w oczy zmiany poczynione przez czas. Był wtorek, a już jest czwartek, na stole w hallu leżą dwa listy, druk i jakiś rachunek, w kuchni zlew pełen naczyń, stos ubrań wepchniętych w kąt, na lodówce talerzyk z psującymi się resztkami jedzenia. A dzieci, jak tylko pod wieczór wpadły z hałasem do domu, zasypały ją lawiną spraw.

- W sobotę? Aha, chyba tak, jeśli będę miała czas. - A do Judy, zgarbionej nad kuchennym stołem, opychającej się chlebem z powidłami: - Nawet nie zapytasz, jak się dziadek czuje?

- Przepraszam. Jak się czuje dziadek?

- Chyba niezbyt dobrze. - Nagle spojrzała na córkę z boku: już nie dziecko, a jeszcze nie kobieta. Ogarnięta współczuciem zapomniała o złości.

- Nie jedz, kochanie, tyle chleba, to takie tuczące.

- Już i tak jestem gruba. Co za różnica?

- Możesz przecież schudnąć. Ja też ostatnio przytyłam. Razem zaczniemy się odchudzać, chcesz?

- A ja i tak będę miała krosty.

- Spróbujemy znaleźć jakieś inne lekarstwo.

Dziewczynka nic nie odpowiedziała, pogrążona w ponurym nastroju. Anna pomyślała: biedactwa, same jeszcze nie wiedzą, kim są, czego się od nich oczekuje, to koszarne lata, co za bzdury ludzie wygadują o dzieciństwie, o tym okresie dzieciństwa.

- Tam, u dziadka, przeglądałam mnóstwo różnych starych zdjęć, twoich i Paula, kiedy byliście mali. Chciałam je tu przywieźć, mogłyby być dla was zabawne - powiedziała.

- Mmm...

- A Poppet Sands. Pamiętasz wakacje w Poppet Sands?

- Nie bardzo. Mamo?

- Słucham.

- Daj mi dwadzieścia pięć pensów na prezent urodzinowy dla Susie.

- Dobrze - obiecała.

Oni jeszcze nie żyją wspomnieniami, nie szukają oparcia w przeszłości. Podeszła do okna w kuchni i stała chwilę spoglądając na ogród, na świeże zielone liście łubinu, które w czasie jej nieobecności wyraźnie urosły o dwa, trzy centymetry, na jaskrawe kolorowe prymule, na listki krokusów gdzieniegdzie strzelające w górę wokół przekwitłych kwiatów. Róże miały już wszystkie liście, na kasztanach ukazały się proste jak świeczki zalążki kwiatostanów, trawę można by przyciąć. Za dwa tygodnie zaczną się ferie szkolne.

Paul wetknął głowę przez drzwi i powiedział:

- Nadchodzi Sandra Butterfield. Zostałaś w porę ostrzeżona.

Zapominając o ogrodzie Anna oparła się o zlew, przybierając pozycję obronną. Nie poczęstuj jej herbatą, myślała, bo będzie mi tutaj siedzieć godzinami, a ja mam mnóstwo roboty. Widziała, jak Sandra, z głową pochyloną nad plikiem papierów, które po drodze przerzucała, szybkim

krokiem przeszła obok okna. Ciekawe, o co tym razem chodzi? Partia liberalna, Oxfam, Chrześcijański Tydzień Pomocy Bliźniemu? Poszła otworzyć drzwi.

- Kochana, nie mogę ani na chwilę zostać, mam na głowie cały ten kram z Towarzystwem Ochrony Angielskiego Pejzażu, ale koniecznie chciałam z tobą albo z Donem zamienić kilka słów o naszej grupie operacyjnej. Chodzi o ruch na drogach. Widzisz...

- Wejdzmy do kuchni.

Sandra Butterfield wyszukiwała sprawy, o które trzeba walczyć z żarliwością średniowiecznego klechy tropiącego herezje. Z jej niewielkiej, okrągławej postaci biła energia i oburzenie. Na przestrzeni lat ich małe, schludne miasteczko w Berkshire, pobudzane do czynu przez nią i grono popleczników, przyjęło zasady liberalizmu, pokochało przyrodę, przeciwstawiło się planom budowy autostrady, zrekonstruowało wieżę kościelną. Dzięki wysokim dochodom męża nie musiała podejmować pracy zawodowej, więc nieustannie szukała dla siebie zajęcia. Wyglądem przypominała jedną z owych krępych niez mordowanych wieśniaczek pochylonych nad łanem zboża na dziewiętnastowiecznym obrazie, a przyszło jej żyć w dużym nowoczesnym domu w spokojnym miasteczku-sypialni i miotała się tu i tam z nieukierunkowaną, z trudem powstrzymywaną energią mechanicznej zabawki. Ładniejsza kobieta zajęłaby się romansami. Sandra, spowita w dżerseje i tweedy, siedziała teraz przy kuchennym stole Anny, wokół rozłożyła papiery i koperty, a na liście spraw do załatwienia czerwonym pisakiem wyraźnie odfajkowała kolejny punkt, który, jak podpatrzyła Anna, brzmiał: rekrutować Lintonów do akcji „Ruch drogowy”.

- Chodzi o to - zaczęła Sandra - że w ciągu ostatniego roku natężenie ruchu na drogach wzrosło o 120 procent. - Co? - Oczywiście, nasze dane nie są tak absolutnie ścisłe, ale trzy razy prowadziliśmy wrywkowe obliczenia koło szkoły i nie ulega wątpliwości, że ruch jest teraz większy. Ciężarówki z żużlem walą po prostu przez miasto, zdarza się, że dobrze ponad sześćdziesiąt kilometrów na godzinę, a młode matki z wózkami muszą uskakiwać na chodnik, jeśli tylko chcą ująć cało i z życiem. Doszliśmy do wniosku, że po pierwsze: trzeba zorganizować wiec protestacyjny, żeby przyciągnąć uwagę opinii publicznej, rozpalić emocje, no, wiesz, dać wzmiankę do naszej gazety i tak dalej, a potem...

Postarzała się, myślała Anna. Zabawne, widuje się ludzi całymi latami, czasami z miesięczną, może dwumiesięczną, ale rzadko dłuższą przerwą i nie zauważa się tego. Kiedy się tu sprowadziliśmy, Sandra była młodą

matką, jak ja. Wtedy miała nawet w sobie odrobinę seksu. Graham upił ją trochę po jakimś kinderbalu, do diabła, latami się o niego dopytywała, musiał ją poklepać po pupie albo coś takiego. Teraz już by tego nie zrobił. Wybiera sobie dziewczyny coraz młodsze, a nie coraz starsze.

- A druga sprawa, o której chciałam z tobą porozmawiać, to dom Splatta. Co z nim?

- Dom Splatta?

- Kochana, nie słyszałaś? Jakiś przedsiębiorca budowlany od siedmiu boleści chce go zburzyć.

- Ależ to straszne - wykrzyknęła Anna.

Kiedy dziesięć lat temu zamieszkali tutaj, starała się zdobyć jakieś informacje o początkach miasteczka. Sprawdziła nazwę w Słowniku angielskich nazw geograficznych (Cuxing Brk zamieszkane przez plemię Cuc albo Cuca. Cuc albo Cuca - to forma skrócona nazw w Cwic...). Ze swojego edwardiańskiego domu z cegły urządzała długie spacerów w poszukiwaniu czegoś, co pozwoliłoby umiejscowić osadę w czasie i świadczyłoby o jej przynależności do regionu w sposób bardziej przekonujący niż domy ciągnące się za kościołem albo te przy głównej ulicy. Sam kościół (pochodzenia normańskiego, z gotycką wieżą zachodnią w stylu perpendykularnym, pozostałe części dobudowane w 1880 roku przez W. Younga...) został wpisany na listę zabytków. Pomnik ku czci ofiar wojny przypominał o ingerencji wielkich wydarzeń w życie małego miasteczka. Gdzieniedzie nazwy ulic i placów zdradzały ich pradawne funkcje - Stawki, plac Ceglany. Widocznych śladów przeszłości zachowało się jednak niewiele. Młode małżeństwa dojeżdżające co rano do pracy w Londynie lub w Reading odnowiły georgiańskie domki z cegły, które stały rzędem wzdłuż ulicy, lampy z kutego żelaza dyskretnie oświetlały drzwi frontowe pomalowane na przemian to na różowo, to na rdzawo lub seledynowo.

Przy głównej ulicy kilka budynków ze ścianami z pruskiego muru kryło w swoich wykuszowych fasadach okna wystawowe Bootsa i Mac Fisheries. Kamienny, pokryty ospowatym nalotem, krzyż na rynku, którego ornament trudno już było dostrzec, zamknięto między żelazne sztachety, a obok wybudowano szalet. Na końcu Łabędziego Zaułka, tuż za pełnym wolnej przestrzeni osiedlem bliźniaczych willi, smętnie przycupnął jeszcze nie całkiem obumarły dom Splatta - okna bez szyb zabite deskami, ze strzechy sterczą wypadające źdźbła słomy, ściany upstrzone napisami wymalowanymi przez kibiców piłki nożnej. Był to dom farmerski,

zbudowany na szkielecie ryglowym, pochodzący, jak mówiono, z piętnastego wieku.

- Ależ oni nie mogą tego zrobić!

- Mogą i zrobią - oświadczyła Sandra. - Tak się rzeczy mają. Najwidoczniej nie był dotąd w planie, a teraz Pym, wiesz, z tej firmy budowlanej, odkupił go od pana Tylora razem z przyległymi gruntami. Dostał już pozwolenie na budowę pięciu bungalowów. Wszystkich to zaskoczyło. Powinniśmy byli dawno się zorientować, co w trawie piszczy, ale przecież nie jesteśmy w stanie wszystkiego dopilnować. - Westchnęła teatralnie.

- Dziwne, że dotąd nikt nie kupił tego domu do przeróbki.

- Jasna sprawa, że jakkolwiek remont kosztowałby majątek. Ale nie możemy stać z boku i przyglądać się, jak równają go z ziemią. Do Pickeringów przyjechał na weekend ktoś, kto się zna na takich rzeczach, i powiedział, że dom ma co najmniej osiemset lat.

- Nie wydaje mi się, żeby był aż tak stary - powiedziała Anna. - Zawsze sądziłam, że pochodzi z piętnastego wieku.

- Mniejsza z tym. Jest okropnie stary i o to właśnie chodzi. Za wszelką cenę musi być zachowany. Trzeba więc zorganizować jeszcze jedną grupę operacyjną, i pomyślałam sobie, ja tkwię po uszy w ruchu drogowym, pomyślałam więc sobie, że może ty byś się tym zajęła.

Siedząca po drugiej stronie stołu Sandra posłała Annie spojrzenie niemal oskarżycielskie. - Doszłam do wniosku, że ty właśnie jesteś odpowiednią osobą, uczysz historii i w ogóle. Przeszłość nie jest ci obojętna. Masz samochód, możesz tu i tam podskoczyć, porozmawiać z ludźmi i pozyskać ich dla sprawy.

- Sądzę, że mogłabym się tym zająć.

- W szkole masz tylko pół etatu, prawda?

- Tak.

- Zazdroszczę ci. Marzyłam o karierze zawodowej, ale nigdy nie mogłam dać sobie rady z egzaminami i w ogóle. Tobie się poszczęściło, miałaś czas na studia. No, zostawiam dom Splatta w twoich rękach. - Zabrała swoje koperty ze stołu. - I dobrze by było się dowiedzieć, co ci z przedsiębiorstwa budowlanego knują.

Anna myślała: po co dałam się w to wciągnąć? Poszła na górę wziąć kąpiel i z okna łazienki widziała przysadzistą sylwetkę Sandry rozmawiającej z kimś na ulicy nie opodal, strumień dzieci idących ze szkoły i dorosłych z torbami zakupów rozdzielał się, żeby ich ominąć. Przed sklepem z warzywami stały wiadra pełne żonkili i tulipanów w

oszałamiających barwach, Marinami i Cortinami zjeżdżali do domów wracający z pracy mężowie. Rozbierając się Anna myślała o domu Splatta i przypominała sobie związany z nim rytuał. Kiedy Judy była mała, zawsze domagała się, by ją podsadzić i przez zakurzone szyby zaglądała do pustych, odwiedzanych przez wandali i bezdomne koty pomieszczeń, wypatrując, Bóg wie jakich, wymyślonych przez siebie stworów. Sandra chyba ma rację, myślała Anna, tak, będą musiała zająć się tą sprawą, ale wolałabym, żeby akurat teraz, tej wiosny, kiedy na dodatek ojciec zachorował, nie stawiała mnie w przymusowej sytuacji. Przez całe lato będą musiała jeździć tam i z powrotem, i nie powinnam brać na siebie dodatkowych obowiązków.

Lichfield odżyło w jej wyobraźni: zobaczyła ojca w obramowaniu białych szpitalnych poduszek, pusty dom, plamę słońca wędrującą po gabinecie, uparty korzeń róży, który z upływem lat coraz głębiej wraстал w ziemię. Jednocześnie, bez żadnej przyczyny, na przekór wszystkiemu, ogarnęło ją świetne samopoczucie, podobne jak gdyby do owej nieokreślonej nadziei, z jaką dziecko wypatruje gwiazdki, urodzin, przyjemności.

- Jak było w Harlow?

- Jeszcze stoi.

Raz w miesiącu Don jeździł do Harlow, gdzie sprawował funkcję radcy prawnego w pewnym przedsiębiorstwie.

- To wszystko?

- Praktycznie tak. - Co miało głównie znaczyć: nie zawracaj mi głowy rozmowami na ten temat, a częściowo też: to ciebie nie zaciekaWi. Uśmiechnął się do niej pojednawczo znad gazety.

- We wtorek pojechałam przez Oksford - przyznała się Anna.

- Niepotrzebnie. Mówiłem ci. Jest tam obwodnica.

- Wiem, ale nagle poczułam ochotę. Przejechałam przez Leckford Road, gdzie wynajmowałeś pokój.

- To była parszywa nora.

- Pewnie myślisz - powiedziała Anna - że to bardzo sentymentalne, wracać tam.

- Prościej by było trzymać się obwodnicy. Ruch na ulicach w Oksfordzie to dzisiaj obłęd.

- Nie mówię o ruchu. Nie chcesz wiedzieć, jak obecnie wygląda Leckford Road?

- No, jak teraz wygląda Leckford Road?

- Prawie tak samo. Obojętnie.

- Czy nie tego oczekujemy od miejsc? - zapytał Don.

- Zapewne.

Z sąsiedniego pokoju dzieci słyhać było trajkotanie telewizora przerywane wybuchami śmiechu. W hallu zegar zafurkotał przed wybiciem kolejnej godziny.

- Rzucę okiem na dziennik - powiedział Don.

- Zdaje się, że przez następnych kilka miesięcy będę musiała regularnie jeździć do Lichfield.

- Na to wygląda.

- W domu jest dużo do zrobienia, mnóstwo spraw trzeba uporządkować, poza odwiedzaniem ojca.

- Oczywiście - powiedział Don i przeszedł do drugiego pokoju.

Później, w łóżku, położył rękę na jej udzie - Annie?

- Tak - odpowiedziała przymilnie. - Tak.

Wybrała się do domu Splatta. Sąsiadujące z nim osiedle zdobyło nagrodę architektoniczną. Domki poustawiano tarasowo zrećnie wykorzystując ukształtowanie terenu: rosnący tam już przedtem kasztan i kępę srebrnych brzoź wkomponowano tak, że teraz, górując nad strzyżonymi trawnikami i wybrukowanymi ścieżkami, wyglądały na bardziej wypielęgnowane i okazałe niż zwykłe drzewa. Dziecinne rowerki stały oparte o ściany i drzwi, jakieś niemowlę kwiliło w czarnym lakierowanym wózku. Było to osiedle zamieszkane przez młode rodziny, owe mamy, które, jak twierdziła Sandra, trzeba było bronić przed chulikańskimi wybrykami kierowców ciężarówek. Przed jednym z domków na wysepce z darni stała stara wiejska pompa, gustownie wyeksponowana, całkowicie bezużyteczna, wyglądała raczej jak rzeźba na wystawie w plenerze. Znajdujący się tuż za osiedlem dom Splatta, ukryty za żywopłotem z krzaków głogu, okalającym przyległy do niego ogród, w porównaniu z tamtymi domami sprawiał wrażenie rudery pozbawionej uroku i stylu, może nawet trochę odpychającej. Zapadnięty, z obwisłą strzechą przypominał dawne flamandzkie albo niemieckie drzeworyty emanujące nieuchwytną atmosferą złych praktyk i tajemniczych średniowiecznych perwersji. I, jakby na dowód tego, w rowie tuż koło furtki wały się zmięte kawałki papieru toaletowego i rozciągnięta biała prezerwatywa. Anna pchnęła furtkę (wiszącą na jednym zawiasie) i wyłożoną cegłami ścieżką podeszła do drzwi domu.

Był zamknięty, ale przez wybitą szybę w oknie obok wejścia zobaczyła ślady czyjejś bytności: po podłodze wały się gazety i puszka po piwie. Obeszła dom badając jego konstrukcję. Zauważyła wypukłe belki pionowe i

bale poprzeczne, przestrzeń między nimi wypełniono ceglami układanymi w jodelkę i przykrytymi tynkiem, lecz teraz widocznymi tam, gdzie tynk odpadł wielkimi płatami. Będę musiała postudiować to sobie, pomyślała, zdobyć jakąś książkę o budownictwie drewnianym, spróbować dowiedzieć się czegoś o tym domu, ile ma lat i tak dalej. Nie można skutecznie bronić czegoś, nie wiedząc, o co się właściwie walczy.

Drzwi z tyłu stały otworem. W kuchni pozostały dowody niedawnego przelotnego pobytu jakichś ludzi - w rogu legowisko z gazet i złożonych tekturowych pudeł, puste opakowanie po papierosach i kolejne puszki po piwie. Na jednej ze ścian widniał nabazgrany w poprzek napis: „Leeds górą, OK?“, w miejscach, gdzie wyrwano kontakty, sterczały białe przewody elektryczne.

Ile czasu minęło, odkąd ktoś tu mieszkał na stałe? Przeszła przez pokoiki starając się z napotkanych przedmiotów odczytać odpowiedź. W kuchni zachowały się kwadratowy kamienny zlew, drewniana żłobiona deska do suszenia naczyń i żelazny piec. W domu nie było łazienki, ubikacja i pralnia znajdowały się na zewnątrz. W sypialnianych kominkach zobaczyła małe, ozdobne wiktoriańskie kraty, a w jednym z pokoi na piętrze klosz z rżniętego szkła z lat dwudziestych, jakimś cudem ocalały przed wandalami. O stare przedmioty troszczono się tu z biedy, a nie dlatego że mieszkańcy mieli dobry gust.

A gdyby tak głębiej sięgnąć w przeszłość? Nie znam się na tym, myślała Anna, te belki mogą pochodzić z różnych okresów. Postukała w ścianę nad ceglany kominkiem w dużym pokoju i wydało jej się, że słyszy w odpowiedzi głuchy odgłos. Czyżby otwarte palenisko? Zapiecek? Ta wypukłość obok drzwi to na pewno piec chlebowy, obecnie zamurowany. A parter, czy zawsze był podzielony na takie małe pokoiki, w których się można pogubić? Z pewnością kiedyś musiało to być jedno duże pomieszczenie, czyż nie tak wtedy budowano? Zdziwiałe - z przerąbanego wzdłuż na pół pnia drzewa powstaje dom, a potem setki lat później wprowadzają się jacyś obcy z żelaznymi piecykami rodem z Birmingham i tanimi szklanymi kloszami od Woolwortha. Na dodatek w pewnym momencie stosunek ludzi do przeszłości dziwnie się zmienia, co powoduje, że zburzenie domu takiego jak ten staje się czynem niemoralnym.

Ściany wewnątrz pokryte były liszajami wilgoci. Pachniało kotami. Zamykając za sobą drzwi, zasuważąc kiepską zasuwę (jakby to miało kogokolwiek powstrzymać od wtargnięcia do środka) Anna na próżno starała się wskrzesić w sobie uczucia, które kiedyś żywiła do tego miejsca.

Dziesięć lat temu, kiedy sprowadzili się do Cuxing, lubiła przychodzić tutaj na popołudniowy spacer z dziećmi, liczącymi sobie wtedy trzy i pięć lat. Dzisiaj, idąc dróżką, znowu poczuła ich małe rączki uczipione jej dłoni, kiedy biegiem wracali z samodzielnych wypraw nad rów, do skleconej z pięciu prętów furtki prowadzącej na pastwiska, do artretycznie pokrzywionej wierzby w rogu podwórza. Przyłapała się na tym, że mijając willowe osiedle automatycznie rzuca okiem na rów, żeby sprawdzić, czy nie ma w nim wody mogącej stanowić niebezpieczeństwo dla dzieci. Ale wtedy osiedla jeszcze nie zbudowano, a na jego miejscu rozciągała się łąka i pasły się krowy. Teraz rów osuszono i uregulowano, był tylko ponurym mącznikiem pokrzyw i szczawiu. Dom Splatta wydawał się wtedy zupełnie innym, trochę tajemniczym miejscem, wabił ich do siebie stanowiąc główną atrakcję spaceru (letniego spaceru, lecz z pewnością były też i zimowe dni, przejmujące i mokre, i dlatego we wspomnieniach dzieci nie są ani marudne, ani krnąbrne?), leśna chatka Jasia i Małgosi. Tak, z pewnością to właśnie pociągało Judy, kiedy trzymana na rękach zaglądała w głąb tych mrocznych pokoi i puszczała wodze dziecięcej fantazji, domek z piernika, miejsce ze snu.

Mnie też się podobał, myślała Anna, miał wtedy dla mnie specjalne znaczenie, chociaż był tak samo zrujnowany, tak samo zniszczony jak teraz. Dziś już nie wiem, na czym to polegało, chociaż przyznaję, że Sandra ma całkowitą rację, nie można stać z boku i pozwolić, by go zburzono. To niewątpliwie najstarszy budynek w miasteczku.

Kiedy mijają osiedle (teraz młode mamy, ubrane w spodnie albo luźne sukienki, przyprowadzały dzieci ze szkoły), doszła do wniosku, że to właśnie owe nowe domy z cegły i betonowych płyt sprawiły, że dom Splatta stał się intruzem w miejscu, gdzie kiedyś razem z łąką i krową, rowem melioracyjnym i wierzwą tworzył harmonijny pejzaż. Taka jest, oczywiście, kolej rzeczy, myślała Anna, terażniejszość zmienia przeszłość, to prawda. Lecz nie jest to argument przemawiający za zburzeniem domu Splatta. W kieszeni znalazła kopertę i na jej odwrocie zapisała nazwiska osób, do których wrażliwości chciała apelować: panna Standish, osoba w podeszłym już wieku, małżeństwo Pickeringów i emerytowany profesor.

Powiedziała Donowi o swojej wyprawie, a dotknięta subtelną ironią jego odpowiedzi, automatycznie powtórzyła słowa Sandry - „troska o przeszłość”. Zabrzmiało to tak śmiesznie i pretensjonalnie, że jeszcze bardziej ją rozdrażniło. - Słuchaj - powiedziała - nie można przecież siedzieć z założonymi rękami, nie? - I jednocześnie pomyślała, że Don wzrusza ramionami i okazuje obojętność (lenistwo, jak to po cichu

nazwała), a w duchu podejrzewa, że ona sama staje się jedną z działaczek tego samego pokroju, co Sandra. Brnąć dalej, pogorszyła tylko sprawę.

- Nigdy w nic się nie angażujesz. W nic, co by cię odrobinę kosztowało.

- Kosztowało?

- Kosztowało w sensie emocjonalnym. Och, nie uważam wcale, że każdy ma walczyć o wszystko, jak Sandra. Ale czasami trzeba się z czymś identyfikować.

- A ty identyfikujesz się z domem Splatta?

- Nie, oczywiście, że nie. To znaczy, tak, w jakiś głupi sposób tak. Zgadza się, „troska o przeszłość” to głupie wyrażenie, ale chyba dobrze oddaje istotę zagadnienia. Miejsce nie jest specjalnie piękne, wczoraj było w nim nawet coś odrażającego, ale koniec końców, jest to jednak bardzo stary dom, a takich w Cuxing mamy niewiele. Coś symbolizuje.

- Nie ulega wątpliwości, że dużo wymagasz od nieożywionej materii - powiedział Don i uśmiechnął się swoim kocim, pojednawczym uśmiechem. Dyskusja skończona. Z tym, że dyskusji jako takiej wcale nie było. Nigdy nie było między nimi, pomyślała Anna, żadnej zaciekłej kłótni. Don jest ponad to. Kiedyś, kiedy była bardzo młoda, jeszcze zanim poznała Dona, miała kochanka, z którym kłócili się zażarcie. Mieli osiemnaście i dziewiętnaście lat, a ich namiętny związek był jednym pasmem rozstań i pojednań. Kiedy poślubiła Dona, tamto wydało jej się bardzo dziecinne. Tak oto, mówiła do siebie pełna samozadowolenia, zachowują się ludzie dojrzały, z opanowaniem i rozwagą.

- Miałą treść ubierasz w błyskotliwą formę. Ja, po prostu, poświęcam trochę swojego czasu sprawie, którą może warto się zająć.

Zadzwoił Graham. Był w Lichfield i pytał, czy nie popsuje im planów, jeśli wpadnie do Cuxing podczas weekendu.

- Czas, żebym rzucił okiem na wasze dzieciaki. Obędzie się bez czerwonego dywanu.

- Wcale nie miałam zamiaru go rozwijać - powiedziała Anna - ale w takim razie w sobotę wieczorem będziesz musiał pójść z nami na koszmarne nudne przyjęcie miejscowej socjety. - A w nagłym przypływie uczuć dodała: - Przepraszam, nie chciałam, żeby to tak ostro zabrzmiało, cieszę się, że cię zobaczę.

- Czym właściwie zajmuje się ten wujek Graham? - spytał Paul. - Jest prawnikiem, jak tata, czy jakimś tam inżynierem?

- Dobre pytanie - odparł Don.

- Zawsze wydawał mi się nadziany.

- Twój wujek - powiedział Don - obraca się w kręgach artystyczno-telewizyjnych.

- Wiem, że robi coś dla telewizji, ale co? Jego nazwisko pojawia się na ekranie i znika, zanim można się zorientować, co właściwie zrobił.

- Jest kierownikiem produkcji - wtrąciła Anna. - Zajmuje się przygotowaniem i organizacją programów. Najpierw je opracowuje, potem angażuje aktorów i dobiera ekipę, a potem wszystko nadzoruje.

- A zna Goodies?

- Nie mam pojęcia. On nie robi tego rodzaju programów, ale seriale i poważniejsze sztuki.

- Aha, takie audycje kulturalne, jakie ty oglądasz.

- No raczej luźno związane z kulturą - powiedziała Anna.

- Szkoda. Gdybym miał wujka, który zna Goodies, to by było naprawdę coś.

W sobotę oczywiście spóźnił się na lunch. Zajechał sportowym wozem, który wydał się Annie śmieszny, poczuła to samo chwilowe rozdrażnienie co dawniej, kiedy widziała, jak przyjeżdżał do domu, zawsze nie w porę, i zawsze miał coś nowego (ubranie, samochód, dziewczynę) na co, oczywiście, nie było go stać.

- Rany, masz brzuszek!

- Gdyby nie było w pobliżu twojego męża, wspomniałbym coś o twoich siwych włosach. Jak się masz Don?

Był w świetnej formie, przyjechał, żeby być duszą towarzystwa, zagadywał dzieci, opowiadał dowcipy, pod wpływem których tajała nawet odwieczna niechęć Dona do szwagra. Należał do tego rodzaju ludzi, którzy u innych mogą wywołać schizofreniczne rozdarcie, zawsze tak było. W dzieciństwie Anna obdarzała go na zmianę to gorzką nienawiścią, to najgorętszym oddaniem. Teraz, doznając tej samej dychotomii uczuć, w złagodzonej jednak formie, patrzyła, jak Graham zmywa naczynia, błaznując przy tym, jakby odprawiał jakiś nie znany sobie, wprawiający go w zakłopotanie, rytuał. Namawiał przy tym Paula do niewybrednych, sztubackich kawałów, a Anna spojrzała przez okno na podjazd na jego, przypominający żabę, samochód:

- Co za upiorny wóz!

- Dobrze, dobrze. Haczyk na dziewczyny, jak mawiano, kiedy byliśmy młodzi - i puścił oko do Paula.

- Już nie jesteśmy, prawda? - powiedziała Anna. - Nie jesteśmy już młodzi.

- Och, daj spokój. Co z nią? Zawsze odgrywa taką staruszkę?

Dzieci były nim zafascynowane. Judy podniecona jego męskim urokiem robiła się purpurowa za każdym razem, kiedy się do niej zbliżył.

Po lunchu wybrał się z Anną po zakupy.

- Ojciec cię poznał? - zapytała.

- Trudno powiedzieć. Może momentami.

- Zaczęłam tam w domu porządkować rzeczy, papiery i tak dalej. Wszystko, co dotyczy ciebie, wkładałam do osobnego kartonu.

- Widziałem. Na pewno można się z tym jeszcze wstrzymać.

- Musiałam zająć się kilkoma rachunkami i listami, a potem... och, sama nie wiem, po prostu czułam, że powinnam. I wciąż natrafiałam na ślad czegoś, o czym całkiem już zapomniałam, takie szpargały sprzed lat. Nie mam pojęcia, co z tym wszystkim zrobić.

- Wyrzucić. W każdym razie ten dom opieki nie wydaje się taki zły, pomijając te nadasane pielęgniarki, ale ojciec, biedak, i tak nie zwraca na nie uwagi. Drogo to kosztuje?

- Stosunkowo, ale porozumiałam się z bankiem, nie powinno być kłopotów. Aha, właśnie sobie przypomniałam, jak myślisz, kim, do licha, może być ta pani Barron? Wiesz, ta, o której mówiłam ci przez telefon.

Znajdowali się na rogu High Street. Anna odwróciła się do brata, a on spytał: - Gdzie teraz? Tam? W porządku. - Ujawszy ją pod rękę, ochraniając i pilotując między ciężarówkami przeprowadził przez jezdnię. Jakie to dziwne, myślała Anna, Don nigdy tego nie robi i nigdy nie robił. Musi to być jedna z tych podstawowych różnic między mężczyznami, jedni mają taki sposób bycia, inni nie. Kiedy znaleźli się po drugiej stronie, powiedziała prawie chichocząc:

- Co ty? Mógłby ktoś pomyśleć, że jestem jedną z twoich przyjaciółek.

- Uszczypliwa, jak zawsze. Ale poważnie, Annie, dobrze cię znowu zobaczyć.

- Wobec tego przyjeżdżaj częściej.

- Wiesz, jak to jest. Bywa, że nie mogę się ruszyć ani na krok.

- Hmm... Wracając do pani Barron. Graham...?

- Ach tak, Annie. Nie zaprzataj sobie tym głowy. Sam sprawdzę przy następnej wizycie u ojca.

- Nie ma sensu, żebyśmy oboje się tym zajmowali.

- Może masz rację. Co to za przyjęcie dziś wieczorem? Da się kogoś poderwać?

- Towarzystwo nie w twoim guście, chyba że upatrzysz sobie którąś z tutejszych gospodyń domowych.

- Już jedna podoba mi się tak bardzo, że chyba wszystko zniosę.

- Dziękuję za komplement. Zachowuj się przyzwoicie.
- Dobrze, ciotuniu.

Później, wciśnięta w kąć cudzego salonu (na ścianach stare mapy regionu Speeda i Mordena, w serwantce kolekcja wiktoriańskich kubeczków - pamiątek z różnych miejscowości), przyglądała się bratu, stojącemu gdzieś w drugim końcu pokoju, odwróconemu do niej tyłem. Spostrzegła, że ma lekko, leciutko pochylone plecy, a na ciemieniu, przez prawie niedostrzegalnie rzadniejące włosy, widać różową skórę. Ogarnęło ją współczucie. I on także. Nawet Graham.

- Tak - powiedziała do swojego rozmówcy (pana, który, jak mgliście zapamiętała, związany był w jakiś sposób z miejscową administracją) - tak, wybieramy się do Szkocji w tym roku.

Kiedy Graham miał dwadzieścia cztery lata, a ja o dwa mniej, zdarzyła się tamta historia, tamta koszmarna historia z dziewczyną w ciąży. Nigdy nie dowiedziałam się jej nazwiska. To, jak twierdził, nie miało nic do rzeczy, nie o to przecież chodziło. Chodziło o szmal, o forszę, o środki. I teraz nie jest mi już nawet winien tych dwudziestu pięciu funtów (wszystkie moje oszczędności, sobie zostawiłam tylko pięć), ponieważ je oddał. Skąd wziął pozostałe siedemdziesiąt pięć funtów, nie dowiem się nigdy, ani też, czy je zwrócił.

- ... proszę spytać żonę o nazwę tego pensjonatu w Trossachs.

Więcej o tym nie mówiliśmy, chociaż oczywiście cała ta sprawa do dnia dzisiejszego tkwi w nas jak szlam na dnie stawu. Nigdy też, z tego czy innego powodu, nie powiedziałam nic Donowi. Dlaczego? Nie byłby przecież przeciwny przerywaniu ciąży, tak naprawdę nie potępia niczego z wyjątkiem zamieszania, komplikacji, pretensji. A gdybym, myślała, gdybym ja zaszła w ciążę podczas tamtego weekendu w Broadway, jeszcze zanim się zaręczyliśmy? Byłby to olbrzymi kłopot, nawet Don nie mógłby się po cichu wycofać i umyć rąk. Ale nie zaszłam w ciążę, mieliśmy więcej szczęścia.

- Przepraszam - powiedziała. - Taki tu gwar... Gieneg, powiedział pan?

Albo byliśmy ostrożniejsi. Don zawsze był śmiertelnie ostrożny. Wiedział więcej o moich miesiączkach ode mnie. Nigdy nie wplątałby się w takie tarapaty. Graham oczywiście nie uważał tego za kłopot, raczej za przejściowe trudności. Mnie żal było dziewczyny, której imienia nigdy nie poznałam. Zastanawiałam się, czy go kochała. Wtedy dużo myślałam o miłości.

- ... przestrzegam przed jazdą wzdłuż zachodniego wybrzeża.
- Przepraszam - przerwała mu Anna - brat daje mi jakieś znaki.

Tak naprawdę bardzo dyskretne znaki: skierowany w jej stronę wzrok, uniesiona brew. Utknął u boku emerytowanego generała, nie odpowiada mu ta rola. A tam Sandra krąży wśród gości. Ciekawe, czy już zauważyła Grahama.

- Anno, kochana, pozwól na słóweczko... Dowiedziałam się, że ten facet z Wydziału Planowania Przestrzennego, do którego trzeba się zwrócić w sprawie domu Splatta, nazywa się Jewkes. Podobno głowę ma otwartą i chętnie nas wysłucha, więc jeśli zręcznie przedstawimy sprawę, może uda nam się przeciągnąć go na naszą stronę.

- Rozumiem. Byłam tam wczoraj, no, w tym domu. To ruina, zgodzisz się ze mną, prawda?

- Przeszłabym się tam sama, ale teraz nie mam ani jednej wolnej chwili. To nie twój brat tam stoi?

- Tak. Sandro, czy naprawdę uważasz, że za wszelką cenę trzeba chronić każdy bez wyjątku stary dom?

- Na miłość boską, mamy przecież jakieś obowiązki wobec przyszłych pokoleń.

- Jasne, ale nie popadajmy w skrajności. Możemy znaleźć się w sytuacji, kiedy...

- Sądziłam - powiedziała Sandra - że popierasz ochronę zabytków.

- Do pewnego stopnia. Naturalnie, że tak. Jeśli jednak przyjmować wiek za wartość samą w sobie, jeśli uświęca się przeszłość dla niej samej...

- Pańska siostra - powiedziała Sandra - wyraża się w bardzo skomplikowany sposób. To, jak sędzę, wynika z wykształcenia, a nam, zaściankowym gospodyniom domowym, trudno to wszystko zrozumieć.

- Zaściankowym? - zdziwił się Graham. - Cóż za nonsens! Czy mogę przynieść paniom coś do picia? Dla ciebie, Annie?

- Spotkaliśmy się kiedyś na jakimś okropnym kinder-balu. Pan zapewne nie pamięta.

- Jakżebym mógł zapomnieć. Białe wino czy czerwone?

Łgarz. A ten jego wyraz twarzy można by już teraz, a za dziesięć lat na pewno, określić jako lubieżny. Sandra natomiast zasługuje na miano afektowanej głupiej gęsi.

- Opowiedzieć ci kawał?

Przecisnęła się do okna i wyjrzała na trawnik ciągnący się ku uregulowanemu brzegowi Tamizy. Taki dom z dostępem do rzeki musi sporo kosztować. Tu i tam przycumowano wymuskane łodzie, kolorowe jak zabawki, małe motorówki z zamontowanymi na zewnątrz silnikami, a gdzieś tam kołysały się wąskie barki, jakich kiedyś używano na

kanalach, starannie odrestaurowane z zachowaniem tradycyjnych barw i wzorów. Na burtach miały wymalowane róże i zamki. Anna przypomniała sobie, jak wybrała się z dziećmi do muzeum rzeczno-górnego, gdzie z pietyzmem, jak świętości, przechowywano relikty tego nie istniejącego już świata: garnki, patelnie, talerze i wyblakłe fotografie koloru sepia przedstawiające szerniające od pyłu węglowego barki. Nagle, tam w dole, na rzece służącej teraz już tylko relaksowi, z kabiny na jednej z łodzi wyszła dziewczyna ubrana w dżinsy i sweter i stanęła w wiosennym popołudniowym słońcu. W jednej ręce trzymała blaszankę pomalowaną w jaskrawe róże, w drugiej tranzystorowe radio.

- Myślisz o wakacjach na barce? - zapytał Don, który zjawił się u jej boku.

- Za żadne skarby. Idziemy? Gdzie Graham? - Lekko wstawiona wsunęła mu rękę pod ramię.

- Gdzieś tutaj. Piękny dom.

- Tak - nie mogła sobie przypomnieć, kto jest gospodarzem. Ktoś, kogo ledwo знаła, a z kim Don zetknął się w pracy.

- Można by pomyśleć o zamieszkanu w podobnym miejscu, kiedy już obejmę stanowisko Thwaitesa.

- Po co? - zdumiona wpatrywała się w męża.

- Większy ogród. Cisza. Dobra lokata kapitału.

- Och - powiedziała - ale ja lubię nasz dom. Mieszkamy tam już tak długo, po co się przeprowadzać? I kłopot - dodała przemyślnie.

- W porządku - powiedział. - Taki sobie luźny pomysł. - Gdyby nie była odrobinę pijana (ani zajęta rozglądaniem się po salonie w poszukiwaniu Grahama), dostrzegłaby hipokryzję ukrytą w jego odpowiedzi, nie tyle ustępstwo, ile odkładanie sprawy na później.

- To dobrze - powiedziała, wciąż trzymając Dona pod rękę.

Graham odebrał sygnały wzrokowe, dostrzegła też gospodarza, stał koło drzwi.

- W porządku, możemy więc już iść.

Jechali do domu unoszeni falą dobrego humoru wywołanego trunkami i zjednoczeni w niechęci do ludzi, z którymi rozmawiali na przyjęciu.

- Co za zgraja! Przepraszam, Graham, że cię tam zaciągnęliśmy.

- Nie ma sprawy. Szczerzyłem zęby, do kogo trzeba, zapewniam cię. Najbardziej przypadł mi do gustu ten wojak.

- Ach - powiedział Don. - Generał. Bardzo go lubię, ale wtedy, kiedy nie muszę mu dotrzymać towarzystwa.

- Annie, zatrzymaj się tu na moment, proszę. Patrzyli, jak zniknął w drzwiach pubu „Biały Jeleń”.

Anna powiedziała wtedy: - Na miłość boską, nie mógł poczekać, aż dojedziemy do domu? Musi już tutaj się wysusiać? - Była zniecierpliwiona i rozdrażniona, gdyby znalazła najmniejsze wytłumaczenie, pobiegłaby za nim, jak żona za włączającym się mężem. Nagle położyła rękę na udzie Dona. - Co w ciebie wstąpiło? - zdziwił się. - Już idzie Graham.

- Och - powiedziała - patrz, niesie butelkę, dzięki Bogu. W dodatku szampan, proszę, proszę.

Zerknęła na Dona, żeby sprawdzić jego reakcję. Dawniej zeżłościliby go to, jak zresztą wszystko. Kiedy byli młodszy, drażniła go rozrzutność Grahama, jego pozorne w gruncie rzeczy bogactwo, szastanie na pokaz pieniędzmi, których tak naprawdę nie miał.

- „Ten twój absztyfikant to w głębi duszy Szkot” - oświadczył Graham, gdy Anna i Don się zaręczyli. - „Nigdy nie postawi drinka poza kolejką. Lepiej uważaj, Anno, wiesz, jak o takich mówią?” - Anna naiwnie przyznała, że nie wie, a wtedy Graham zacytował zasłyszana w barze opinię, że ci, którzy mają węża w kieszeni, są jednocześnie dość powściągliwi w sprawach seksu. Rzuciła się na niego (i miałam rację, myślała teraz, oburzona) i tak samo gwałtownie zareagowała, kiedy brat wyśmiał oszczędności Dona, jego kawalerskie oszczędności, na zakup domu. - „To bardzo rozsądne - mówiła - a poza tym, nie twój interes.” - „Jasne - odpowiedział Graham - to bardzo rozsądne, cholernie rozsądne. Chryste!” - I dalej się śmiał. On i Don nigdy, oczywiście, nie byli w dobrych stosunkach, chociaż też nigdy otwarcie się nie kłócili (ponieważ, uświadomiła to sobie ze zdumieniem, koniec końców, nie można się kłócić z Grahamem, tak jak nie można się kłócić z Donem, on też wycofuje się rakiem, usiłuje cichcem wymknąć się z pokoju, zmienia temat, z tym że Graham nie przestaje przy tym szydzić z przeciwnika), lecz nawzajem się unikali lub ograniczali do wymieniania komunałów. Ilu szwagrow, zastanawiała się, lepiej zgadzałyby się ze sobą? Zażyłość między szwagrami jest w każdym razie niemożliwa. Żadna ze stron jej nie pragnie, nie zależy im na rywalizacji w miłości do osoby bliskiej im obu, owej rywalizacji, która sprawia, że zabiegamy jakoś o utrzymanie dobrych stosunków z teściami. Między bratem i siostrą nie ma właściwie miłości. Istnieje natomiast przywiązanie.

Graham nalegał, by dzieci też poczęstować szampanem. Trochę się rozszalały, Paul się mądrzył, popisывał się, Judy, rozpalona, w końcu jednak senna, popijała trunek małymi łykami jak bojaźliwy ptaszek. Graham

zabawiał towarzystwo (zawodowiec, myślała Anna, wędrowny śpiewak zarabiający na kolację, musi to często robić). Opowiadał coraz to bardziej pikantne historyjki, w popłochu wysłała dzieci na górę, lecz kiedy wróciła, w pokoju dawało się wyczuć napięcie.

- Don uważa, że deprawuję wam młodzież - poskarżył się Graham.

- Nie ujmowałbym tego aż tak ostro - powiedział Don.

- Nie zapominaj, że Judy ma dopiero trzynaście lat, taka dorosła rozmowa może jej zamącić w głowie.

Anna wzięła poduszkę, usiadła na podłodze przy kominku i zastanawiając się, jak zmienić temat, pomyślała: nie chcę kłótni, spędziliśmy przecież taki miły wieczór. A Graham, jak gdyby zgadując jej myśli, zaczął dyskutować z Donem o inflacji. Dobry, bezpieczny temat, myślała, jak rozmowa o pogodzie, wobec deszczu wszyscy jesteśmy równi, nie ma co do tego dwóch zdań. Dzięki Bogu za bieg historii. Jeszcze w Starbridge, ile razy dawało się uratować delikatną atmosferę uroczystości rodzinnych robiąc zręczny zwrot ku takim właśnie sprawom. Wszyscy oburzamy się - oburzaliśmy - z powodu zimnej wojny, bomby wodorowej, braku mieszkań, zanieczyszczenia powietrza, chleba sprzedawanego już w kromkach albo muzyki nadawanej ciągle i wszędzie. Byle tylko, za wszelką cenę, odsunąć od siebie tematy wymagające samookreślenia. Kiedyś jedna z koleżanek zwierzyła jej się, że rozbieżność zdań pomiędzy nią a rodzicami objęła tyle już kwestii, że musieli spędzić całe Boże Narodzenie rozprawiając o nowych gatunkach róż. Dlaczego tak się dzieje? Dla przyjaciół dyskusje stanowią treść życia, dlaczego więc miałyby zagrażać stosunkom rodzinnym? Harmonijne współżycie krewnych, myślała, polega na unikach, niemym odwołaniu od tych gwałtownych sporów, które mogłyby zburzyć spokojny przebieg posiłku, spaceru lub trzech dni świąt. Dla zachowania pozorów, odwołując się do tematów neutralnych, wspólnym wysiłkiem, jak gdyby wszyscy się zmówili, tłumi się w zarodku narastające przy takich okazjach napięcie (lub, kiedy sytuacja staje się już dla wszystkich nie do zniesienia, szuka się w nich ratunku, by każdy mógł zachować szacunek dla siebie). W Starbridge listę takich tematów można było równie dobrze napisać na ścianie w kuchni: sztuka współczesna (z wyjątkiem Lowry'ego i Augustusa Johna), nawozy sztuczne, kontrola urodzeń (ale nie w obecności mamy), pisownia fonetyczna, Aneurin Bevan, D.H. Lawrence, zarząd rzek okręgu Trent, katedra w Coventry.

- Pamiętacie - powiedziała nagle na głos - tamtą wyprawę do Coventry? W któreś Boże Narodzenie, niedługo po odbudowaniu katedry?

- Ty i ojciec sprzeczałeś się o witraże i coś jeszcze. Nie bardzo wiedziałem, o co robicie tyle hałasu.

- Odmienne gusta.

- O sprawach gustu nie warto dyskutować - oświadczył Graham ziewając. Don bąknął, że czas zająć się bojlerem, i wyszedł z pokoju.

- Nie zgadzam się, ale nie warto się teraz o to spierać. - Anna i Graham uśmiechnęli się do siebie. Z kuchni słychać było, jak Don pobrzękuje wiadrem na węgiel.

- Powinieneś się ożenić - powiedziała Anna.

- Na miłość boską, po co?

- Nie wiem. Istnieje wiele powodów.

- Zapewnić sobie opiekę na starość?

- Choćby i po to.

- Chryste - powiedział Graham - nie jestem jeszcze na tym etapie. - Ze szklaneczką w ręku, obserwując przez okno Dona idącego do składziku po węgiel, ciężko opadł na fotel. - A tobie jak się udało?

- Co się udało?

- Dwadzieścia lat życia z kochanym Donem.

- Tak się składa, że dopiero siedemnaście. Całkiem niezłe. Nie narzekam.

- Dobrze. Nie mów, jak nie chcesz. Wiedz jedno, byłem wtedy zdania, że dużo zyskuje żeniąc się z tobą.

- Idiota. Przecież nie byłam wcale podobna do dziewczyn w twoim typie.

- To prawda. Studia cię zepsuły. Ja lubię kobiety czyste i niezepsute. Ale i tak uważam, że Don zrobił świetną partię.

- Hmm. Nie wiem, jak dziś, kiedy od dwudziestu już lat wykształcenie jest ogólnie dostępne, znajdujesz te niezepsute, jak je nazywasz, dziewczyny. Nawet w tej waszej dżungli.

- Jest coraz trudniej, przyznaję. One, rzecz jasna, dorosłeją. Tak jak ty, jeśli mogę się tak wyrazić, dojrzałaś, złagodniałaś. Nie jesteś już taka zasadnicza. Mniej skaczesz ludziom do oczu.

- Dziękuję - powiedziała urażona. A co z domem Splatta, chciała zapytać, ale się rozmyśliła. Psiakrew, jest już zbyt późno, nie będę teraz zaczynać, nie chcę się denerwować. Chociaż oczywiście Graham dokładnie to miał na myśli.

- Oszczędzę ci mówienia, że to samo dotyczy i mnie - ciągnął Graham. - Przyznam się, że przeżywam teraz trudny okres. Mogę sobie dolać? - wskazał na butelkę whisky.

- Jasne.

- Kiedy przy omawianiu scenariusza, czy innej podobnej okazji, siedzimy przy stole, czuję się skonsternowany, że jestem najstarszy w gronie. Albo przychodzi mi pracować z reżyserem, tak młodym, że mógłby być moim synem - wepchnął nogą polano z powrotem do kominka. - Nie robi mi to oczywiście żadnej różnicy. Po prostu czuję się może trochę stłamszony. No i miewam te cholerne bóle żołądka.

- Powinieneś iść do lekarza.

- Tak. W swoim czasie.

- Wiesz - powiedziała Anna - bardziej mi się podobasz w takiej dojrzałej postaci. Tylko ten nedorzeczny samochód. Dobrze, że ojcu oszczędzony będzie ten widok. Znowu mi się przypomniała ta pani Barron. Naprawdę muszę dojść do ładu z finansami.

Graham odstawił szklankę. Obrócił ją kilka razy, rozmazując okrągłą moką plamę, która powstała na blacie stołu. Słysząc było, jak w kuchni koks wpada do pieca ogrzewającego bojler. Graham wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa, wytarł stół i dno szklanki. Schował chusteczkę, odstawił szklankę i powiedział: - Tak... Słuchaj, Annie, zawsze myślałem, że się orientujesz.

- Orientuję w czym? - jeszcze jedna porcja koksu i szum osypującego się węgla.

- Więc nie wiedziałaś. To, co usłyszysz, nie będzie ci się podobało, ale widzisz, ojciec był przez długi czas związany z pewną kobietą. Mieszkała w Gloucester czy gdzieś tam.

Pokrywa bojlera opadła ze szczękiem. Wiadro stuknęło o podłogę. Teraz Don mył ręce.

- To niemożliwe, nie mówisz mi chyba, że ojciec miał kochankę - oburzyła się Anna.

- Nie bądź dzieckiem. Takie rzeczy się zdarzają. Dobrze wiesz.

Don wetknął głowę w drzwi i rzucił: - Odstawię samochód. Kluczyki w stacyjce?

- Co?

- Kluczyki. Do samochodu.

- Aha. Są w środku.

- Ale ty wiedziałaś - powiedziała Anna po chwili. - Od kiedy?

- Nie znałem szczegółów. Dowiedziałem się o tym przypadkiem, dawno temu, teraz już nie pamiętam kiedy, i odsunąłem od siebie jak jedną z tych nieprzyjemnych rzeczy, o których wolimy nie myśleć. Proza życia.

- A ojciec wiedział, że ty wiesz?

- Chyba nie.

- Ta pani Barron...?

- Na Boga, nie! - powiedział Graham - to nie ona. Ona umarła jakiś czas temu. Jeszcze przed mamą. To jej córka.

- Co!

- Nie ich córka. Rany, nie. Ona nie ma z nami nic wspólnego. Tamta kobieta miała już córkę.

Na dworze światła samochodu omiotły podjazd, prześlizgnęły się po szybie okiennej, zniknęły.

- Tak - westchnęła - chociaż za to możemy być wdzięczni. Przynajmniej to jedno pozostanie nie zmienione. Jest nas tylko dwoje.

- Rozumiem, że to dla ciebie szok. Przyznam ci się, że prawie o tym zapomniałem. Wtedy, dawno, kiedy się dowiedziałem, zdziwiło mnie to, tak było do ojca niepodobne. Nie jest to moja, nasza sprawa, myślałem, lepiej zostawić ją własnemu biegowi. Mama o niczym nie wiedziała, zapewniam cię.

- To dobrze.

- Nie powiesz, nie masz zamiaru mówić nic ojcu?

- Och, Graham, za kogo mnie masz!

- Przecież ta historia nie czyni go innym. Jest nadal tym samym facetem, którego całe życie znałaś.

Przez czterdzieści lat, jeśli te pierwsze trzy, cztery liczyć jako w pełni świadome. Człowiekiem, który w Suffolk, w szarym, marmurkowym od piany morzu uczył nas pływać, który w chwilach zadowolenia podśpiewywał fałszywie pod nosem, który gotowane na miękko jajka zaczynał od węższego końca, który głosował na konserwatystów, a czasami na liberałów, o jedenastej zazwyczaj leżał już w łóżku, potrafił recytować z pamięci długie fragmenty poezji Wordswortha, sam wiązał sztuczne muchy na pstrągi, zasiadał w wielu komisjach i, jak teraz wyszło na jaw, był w stanie kochać dwie kobiety jednocześnie. Czy to możliwe, myślała Anna, czy tak się robi?

- Niezupełnie, Graham - powiedziała - nie całkiem.

- Szlag by to trafił - zaklął Graham. - Szkoda, że musiałaś się dowiedzieć. Byłoby dużo prościej, gdybyś nie wiedziała.

- O wiele prościej. - Przed domem zachrząściły kroki Dona.

- Zapomnij o tym.

- Och, Graham... - Anna wzięła od brata szklankę i napelniła ją. Potem nalala sobie. - Człowieka można poznać tylko do pewnego stopnia, wiesz, jak reaguje, z dużym prawdopodobieństwem przewidzisz, jakie stanowisko zajmuje w tej czy innej kwestii, częściowo wiesz, czego możesz się po tej

osobie spodziewać - trochę na podstawie obserwacji, trochę w oparciu o znane ci fakty z jego życiorysu, kim był i kim obecnie jest. Skąd pochodzi. Co w życiu przeszedł. Ale jeżeli odkryjesz, że jakaś istotna informacja została przed tobą zatajona - nie zdawałeś sobie sprawy, że ten ktoś choruje na raka albo zamordował własną matkę, albo że spędził połowę życia w szpitalu dla umysłowo chorych - rewidujesz trochę swój stosunek do tego człowieka. Patrzysz na niego przez pryzmat tej nowej wiedzy. Nie, nie rewidujesz, to nie jest całkiem tak. Wszystkie elementy ulegają pewnemu przemieszczeniu, nic nie jest już takie samo.

- Niezbyt za tobą nadażam. Ale zapewne masz rację. Wszedł Don:

- W czym ma rację?

- Powiedziałam, że Graham powinien się ożenić.

- A ja powiedziałem, że sam najlepiej wiem, co jest dla mnie dobre.

Jak łatwo zawiązuje się konspiracja, wykluczenie kogoś z sekretu. Och, pomyślała, porozmawiam o tym kiedyś z Donem, na pewno mu powiem. Zanim jednak komukolwiek się zwierzę, muszę to sama w sobie przetrwać. Nie wiem jeszcze właściwie, co o tym sądzić. Wstała, zebrała szklanki.

- Marzę o położeniu się do łóżka. A ty, Graham, śpij, jak długo chcesz.

Leżała z otwartymi oczami nasłuchując odgłosów domu układającego się do snu, słyszała zamykanie ostatnich drzwi, spuszczenie wody w ubikacji, ospałe trzeszczenie kurczącego się drewna i skrzypienie metalu. Ręce założyła pod głowę i wpatrywała się w ciemność pokoju, rozpoczynając powolny obrachunek z przeszłością. Nie bacząc na chronologię wędrowała tam i z powrotem przez lata, przedzierała się przez gąszcz wydarzeń. Wtedy myślałam tak, a było inaczej, wszystkie zdarzenia były w istocie inne, niż mnie się wydawało.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Don wstał od stolika, żeby kupić szwagrowi piwo, i w duchu stwierdził, że Graham jest jedynym człowiekiem, którego kiedykolwiek w życiu miał ochotę uderzyć, stare dzieje, chęć zresztą nie była wcale aż taka silna. Nie przypominał sobie okoliczności, lecz uczucie, a utkwilo mu w pamięci ze względu na swoją niezwykłość. W wojsku musiał odbyć ćwiczenia w posługiwaniu się bagnetem, zajęcia prowadził pewien sierżant odznaczający się zadziwiającym okrucieństwem. Z lubością, której wcale nie starał się ukryć, nacierał na workowe kukły i obracał ostrze bagnetu w ich wnętrznościach. Jeden za drugim, cały pluton, musiał go naśladować. Osiemnasto - i dziewiętnastoletni chłopcy mobilizowali wszystkie zdolności aktorskie, byle tylko nie narazić się na jego drwiny. Występ Dona był najmniej przekonujący. - Dobra - powiedział sierżant znużonym głosem. - Zrozum, pomyśl o jakimś skurwielu, którego nienawidzisz, jasne? I dźgnij go, no już. - A Don myślał: Ale ja do nikogo nie czuję nienawiści, o co mu chodzi? Co mi to da? A jednak kiedyś przyszło mu do głowy, że miło by było strzelić Grahama w pysk. I teraz, kiedy mu się przyglądał, siedzącemu w kurtce o wojskowym kroju i drelichowych spodniach obok Anny (dlaczego, do cholery, ludzie z tej branży uznają za stosowne ubierać się jak do ataku w jakiejś partyzanckiej wojnie?), tamto uczucie odezwało się na chwilę dalekim echem.

- Duże?

- Dzięki.

Jego niechęć wynikała częściowo z faktu, że w obecności brata ujawniała się najgorsze cechy charakteru Anny. Albo wciąż się sprzeczali, albo zawiązywała się między nimi jakaś tajemnicza zmowa. Tak to przynajmniej wyglądało kiedyś, na początku ich małżeństwa. Teraz, oczywiście, latami prawie go nie widywali, tylko na Boże Narodzenie wyskakiwał z pokaznymi (zbyt pokaznymi) czekami dla dzieci i jakimś cudacznym prezentem dla Anny. Raz była to koszula nocna - absurdalna, przezroczyista koszula nocna. Anna nigdy jej nie włożyła wymawiając się, że jest za zimno. Nie daje się przecież siostronom nocnych koszul, myślał Don. Sam nie miał siostry i dlatego niezbyt pewnie czuł się w tej materii. Umiał się znaleźć w stosunku do żony, dzieci, kolegów, sekretarek, ludzi, których w różnych okolicznościach spotykał. Z siostrami nigdy nie miał do czynienia. Zamówił lager i dwa kufle gorzkiego. Zauważył, że zmieniono wystrój wnętrza starając się mu nadać bardziej szykowny i elegancki wygląd, zainstalowano oświetlenie jarzeniowe, rozwieszono ozdoby z kutego żelaza,

w palenisku kominka umieszczono kompozycję z roślin doniczkowych. Zaniósł piwo żonie i Grahamowi, a siadając usłyszał, jak Anna mówiła: - ... a było tu tak miło, podłoga z kamiennych płyt, ławki z wysokimi oparciami, jak w kościele. Prawdziwy angielski pub. - Zwykła śpiewka, pomyślał, każda zmiana jest zmianą na gorsze... Wyłączył się, mógł teraz siedzieć ze swoim lisim uśmiechem na twarzy, pozornie należąc do towarzystwa, w rzeczywistości jednak zaabsorbowany jakąś bieżącą sprawą służbową nie słyszał ani jednego słowa z prowadzonej rozmowy. To bardzo pożyteczna umiejętność, bez niej, myślał często, ojcostwo byłoby nie do zniesienia, a bywa, że małżeństwo też. Nie wiedział, czy i inni uciekają się do tego wybiegu, mało go to zresztą obchodziło. Siedział, zastanawiał się nad sprawą Sadler kontra Baines i obserwował, jak Anna i Graham ruszają wargami niczym złote rybki.

- Po co dzwonicz do Pickeringów? - spytała Judy - Wydawało mi się, że nie przepadasz za panią Pickering.

- Och, to w związku z domem Splatta. Nie lubię jej, ale... - Anna wzruszyła ramionami, a jednak, pomyślała, trzeba cierpieć w imię słusznej sprawy, co za bzdury.

- Dom Splatta? To ten za nowym osiedlem?

- Tak, kiedy byłaś mała, często chodziliśmy tam na spacer. Możliwe, że go rozbiorą, a my chcemy temu zapobiec. Pamiętasz, trzeba cię było podsadzać, żebyś mogła zajrzeć do środka? Szukałaś tam czegoś?

- Węgorzy.

- Węgorzy! Na miłość boską, dlaczego?

- Bo kiedyś z Paulem zobaczyliśmy w rowie węgorza i ja myślałam, że wyszedł z tego domu. Wydawało mi się, że jest ich tam pełno i że stamtąd przedostają się do rowu. Nienawidziłam tam chodzić.

- Ale nigdy nic nie powiedziałaś.

- Bo chyba za bardzo się bałam nawet mówić. A poza tym, mogłaś nie chcieć słuchać.

- Nie byłam przecież aż taka bezduszna.

- Świetnie, że go zburzą - powiedziała Judy. - Dlaczego chcecie im przeszkodzić?

- Wcale nie - obruszyła się Anna. - Nie powinno się, tak po prostu, niszczyć starych domów, to wandalizm... - pouczała i spostrzegła, że Judy wcale nie słucha, patrzyła w dal niewidzącym wzrokiem, a palcami robiła dołki w rozwałkowanym na stole cieście.

- Zostaw to, Judy, proszę, masz brudne ręce.

- Co z tego będzie?

- Bekon w cieście. Na jutro, jak wyjadę.
 - Dokąd?
 - Do Lichfield. Słyszałaś chociaż słowo z tego, co powiedziałam o domu Splatta i podobnych miejscach?

- Mama chce ci dać do zrozumienia - wtrącił Paul, podnosząc niespodziewanie głowę znad radia tranzystorowego, które właśnie w skupieniu oglądał - że to elegancko lubić stare rzeczy.

- Nic takiego nie miałam na myśli.

- Antyki i domy z belkami na wierzchu, stare samochody i stare mapy. Cholerny szpan. To świadczy, że masz dobry gust.

Siedział przy stole i nie wiadomo dlaczego rozbierał radio tranzystorowe. Włosy opadły mu na twarz, litościwie przykrywając krostę sterczącą jak dziób nad prawym okiem. Nie był podobny do żadnego z rodziców, patykowaty, ciemnowłosy. Przyglądając mu się Anna ujrzała naraz owo tajemnicze odbicie samej siebie, jakie większość ludzi dostrzega w swoim dziecku może tylko raz, najwyżej dwa razy w życiu, jak gdyby własny wizerunek uległ rozszczepieniu. Niby ja, a nie ja.

- Osobiście - powiedział Paul - lubię rzeczy nowoczesne. Ten wasz współczesny, dzisiejszy świat, rozumiecie? - Przyglądał się wnętrzościom radia i stwierdził: - Aha! Teraz wszystko jasne.

- Oczywiście - zgodziła się Anna. - Do pewnego stopnia wszyscy lubimy. Rzecz w tym, że trzeba dokonać wyboru, trzeba patrzeć na domy, przedmioty i tak dalej i pytać samego siebie, czy...

- Mamo - przerwał jej Paul - żartowałem sobie z ciebie. Niepotrzebne już ci te kawałki ciasta? Dzięki. Cześć...

Najpierw nudni, potem śmieszni. Z początku, myślała Anna, ścierając ze stołu resztki mąki i opłukując ręce pod kranem, z początku rodzice są wspaniałymi, wszechpotężnymi istotami, niezmiennymi, nie kwestionowanymi herosami, po prostu są i nie mogłoby być inaczej. Z biegiem czasu kurczą się do zwykłych wymiarów: są surowi, niedorzeczni, działają w trudny (lub zbyt łatwy) do przewidzenia sposób, są głupi albo złośliwi, nie powinni ubierać się tak, jak się ubierają, ani wykonywać zawodów, które wykonują, ich przyjaciele są albo nieciekawi, albo stuknięci, a ich upodobania perwersyjne. W miarę jak dzieci dorastają, myślała, każdy z nas ulega pomniejszeniu. Wytarła ręce i spojrzawszy przez okno na półprzezroczyste liście kasztana (pod wpływem słońca rozwijające się jak gdyby w oczach) przypomniała sobie dzień, w którym odkryła, że ojciec jej najlepszej przyjaciółki nigdy nie miał nic przeciwko głośnym zabawom na parterze ich domu oraz że deptanie po jego grządkach

uchodziło na sucho. Zaraz potem zauważyła, że dzieci obok miały prześliczną mamę. I już od tej pory jej rodzice mieli wady, jak wszyscy rodzice.

- Przykro mi - powiedziała do Judy - z powodu tych węgorzy. Nie wiedziałam, że tak się bałaś.

- Teraz to już nie ma znaczenia - powiedziała Judy łaskawie. - Po co znowu jedziesz do Lichfield?

- Zobaczyć dziadka.

- Wrócisz na szkolną uroczystość?

- Prawdopodobnie tak.

Za późno, zastanawiała się, o wiele za późno. Nie chodziło jej wcale o zabawę szkolną, ale o wszystkie błędy i nieporozumienia, węgorze i gwałtowne słowa lub też milczenie i wykorzystywanie straszliwej bezbronności dzieci. Jedna z jej przyjaciółek, do głębi przejęta radami z podręcznika psychologii dziecięcej, nieustannie tłumaczyła się przed własnymi dziećmi. „Dopóki wiesz, dlaczego coś robisz, dlaczego tak postępuję, wszystko jest w porządku - mawiała zdesperowana. - Prawda?” - A znudzone dzieci plątały się im pod nogami. W końcu, prawdopodobnie, przyzwyczyły się do szczególnego zachowania matki, tak jak przyzwyczajamy się do różnych ludzkich niedoskonałości, i z czasem stają się one dla nas niezbędne do życia. Jak, myślała, ucieczka przed podejmowaniem decyzji w przypadku mamy czy cały szereg animozji w przypadku ojca. Bylibyśmy całkowicie zbici z tropu, gdyby mama ot tak sobie postanowiła iść po zakupy rano albo po południu lub gdyby ojciec publicznie wyraził podziw dla Picassa. W końcu od ludzi wymagamy konsekwencji, nie perfekcji. Zachowanie niezgodne z naszymi oczekiwaniami poczytujemy za zdradę. Tak to już jest.

Nazajutrz Anna znowu jechała na północ. Pogoda zmieniała się jak w kalejdoskopie. Ziemia to ogniście błyszczała w słońcu, to posępniała pod ciężarem ołowianych chmur. Kiedy nie padało, mokra szosa świeciła lustrzanym odbiciem nieba. Anna, oszołomiona urodą krajobrazu, zapominała o celu podróży, chwilami zdawała się jechać dla samego tylko ślizgania się po lśniących drogach łączących miasta i miasteczka, istniejące jedynie jako napisy na drogowskazach. I znowu miejscowości, w których nigdy nie była - Tamworth, Stafford, Warwick - jawiły się jako legendarne i znaczące nazwy, nie mające żadnego związku ze światem rzeczywistym, złożonym z osiedli mieszkaniowych i supermarketów. Iglice i wieże kościołów rozbłyskiwały, kiedy padł na nie promień słońca. Od czasu do czasu jej uwagę zwracał jakiś bardzo stary dom, pruski mur i zwietrzała

cegła najwyraźniej dominowały w tym pejzażu. Z nastaniem wiosny świat zyskał nowy wymiar, wszystko budziło się do wzrostu, płaskie pola pokryły się bogatym reliefem zieleni. Przyląpała się na tym, że specjalnie zwalnia, by lepiej zobaczyć kształt drzewa albo kwiatki migające na poboczu. Z uczuciem żalu wjeżdżała na przedmieścia Lichfield i przeciskała się przez ulice, które prowadziły do domu opieki.

Tak jak poprzednio, ojciec nie leżał w łóżku, ale siedział w fotelu, obłożony poduszkami, kolana miał nakryte pledem. Dywan był zwinięty, a sprzątaczką na klęczkach energicznie pastowała podłogę. Przerwała tylko na chwilę, żeby powiedzieć Annie dzień dobry i zdjąć z drugiego krzesła ścierki i pudełko z pastą. Kiedy wyszła, zabierając swoje przybory, pokój, bez jej ruchliwej postaci, wydał się bardzo cichy i pusty. Odgłosy życia domu, kroki i rozmowy na korytarzach za zamkniętymi drzwiami jak gdyby nie dotyczyły tego schludnego pokoju i zgarbionej postaci w fotelu. Anna zastanawiała się, jak dalece ojciec jest świadom tego wszystkiego. Spytała: - Dobrze tu o ciebie dbają? - Musiała powtarzać pytanie wiele razy, zanim do niego dotarło, lecz w odpowiedzi wymamrotał coś, czego nie zrozumiała. Siedzieli w milczeniu. Anna przeczytała gazetę i zrobiła listę sprawunków. Od czasu do czasu kierowała wzrok na ojca, przyglądając mu się uważnie, z niejakim poczuciem winy. Obserwowanie go ukradkiem, kiwającego głową, z łzawiącymi oczyma, nie zdającego sobie niemal sprawy z obecności drugiej osoby, wydało jej się niewłaściwe - jak gdyby szpiegowanie starości. W pewnej chwili wstała i poprawiła koc, który zsuwał mu się z kolan. Na moment wzięła ojca za rękę. Palcami ścisnął jej dłoń.

Było już po południu, kiedy wyszła z domu opieki i rzuciła się w wir dalszego sprzątnięcia i porządkowania rzeczy, zadowolona, że ma zajęcie. Graham, jak zauważyła, nie kiwnął palcem. Pozostałością jego krótkiego pobytu było kilka pustych puszek po piwie na kredensie w kuchni i popielniczka pełna niedopałków, sprawiały dziwnie swojskie wrażenie. Wyglądało na to, że w gabinecie ojca nie tknął niczego, segregatory na biurku leżały tak, jak je zostawiła, a pudło, do którego wkładała papiery dotyczące jego osoby, wyglądało prawie tak samo. Wyjął tylko świadectwo szkolne leżące na samym wierzchu i rzucił obok, pod spód nawet nie zajrzał. Nie mogła zrozumieć takiego braku zainteresowania. Spędziła kilka następnych godzin na przeglądaniu teczek z korespondencją i notatkami ojca, znalazła kopie służbowych listów i opracowywane przez niego programy nauczania. Napisane były żywym potoczystym językiem, wydawało się, że wyszły spod pióra kogoś innego, a nie mężczyzny, od którego właśnie wróciła. Uświadomiła sobie, że znakomicie znał się na

swojej pracy, i pomyślała, że w przeszłości nigdy się nad tym nie zastanawiała.

W końcu, gdzieś około siódmej, kiedy zaglądnące przez okno słońce pochyliło się nisko nad ziemią, odłożyła papiery na bok. Teczki już przejrane, z których wybrała to, co jej zdaniem można będzie w odpowiednim czasie zniszczyć, położyła osobno, a te do przejrzenia, osobno. Poszła na górę, ubrała się w stare spodnie i ciepły sweter, włosy przewiązała szalikiem. Stała na chwilę przed lustrem, wzięła do ręki szminkę, ale rozmyśliła się. Czesząc włosy, zastanawiała się, czy grzywka, którą nosi (Boże, nosiła, od czasu kiedy miała szesnaście, może siedemnaście lat), nie jest dla niej zbyt młodzieżowa. Resztę uczesania zmieniała, zależnie od fantazji, co rok albo co dwa lata, to skracając, to zapuszczając włosy o parę centymetrów. Ciemnobrązowa grzywka, teraz jeszcze z równymi bruzdami od grzebienia, wyglądała dokładnie tak samo jak dwadzieścia lat temu. A siwych włosów, o których wspomniał Graham, wcale nie było. Och, pomyślała, kiedyś, może w przyszłym roku, coś zmienimy, przemyślimy sprawę grzywki. Na wszystko przyjdzie czas.

Włożyła znalezione w szowku stare kalosze matki. Potem ruszyła żwawo przez ogród, zatrzymując się tylko raz, żeby spojrzeć na opieloną dwa tygodnie temu grządkę. Na nowo upstrzona była kielkującymi chwastami, a na krzakach róż rozwinęły się już wszystkie liście. Tutaj na północy musiało padać. Na końcu trawnika przeszła pod ogrodzeniem i skręciła na łąkę.

Przed nią z trawy wyfruwały czajki, czarno-białe odpływające fale na tle zieleni. Rozedrgane wieczorne niebo było ciemnogranatowe z pomarańczową luną na horyzoncie, ozdobione jedynie sierpem księżyca, zawieszonym jak piórko nad słupem telegraficznym przy drodze. Dom ojca, ostatni w szeregu nieatrakcyjnych przedwojennych budynków, stał na skraju miasteczka, którego ekspansję ograniczały zaostrome obecnie przepisy. Mimo to panowało tu trochę bałaganu, wokół, na końcu ścieżki albo wciśnięte w róg pola, stały sklecone byle jak szopy i stodoły z falistej blachy. Rzędy słupów telegraficznych i elektrycznych ostro sterczały nad brązową powierzchnią świeżo zaoranej ziemi czy zielonymi pasmami ozimin. Zarys dachów miasteczka na tle nieba wyglądał jak płatanina anten telewizyjnych i drutów, którymi powiązane były domy i słupy. Tylko wieża kościoła cieszyła oko czystą nieskazitelną formą. Płaskość krajobrazu uniemożliwiała wycucie odległości. Trudno było wyobrazić sobie, że wzgórze Derbyshire znajdują się niezbyt daleko stąd.

Otoczenie rzeki wydawało się bardziej dzikie, mniej widoczna była ingerencja człowieka. Tutaj można było zrozumieć, dlaczego przez trzydzieści czy czterdzieści lat ojciec ulegał magicznemu urokowi tego zakątka. Brzegi krętej, pełnej pstrągów rzeki, zwieńczone koroną z wierzb i olch, to wznosiły się wysoko, to opadały tworząc kamieniste plaże. Miejscami płynęła płytka czysta woda, a tuż pod powierzchnią rósł jaskier, już teraz wypuszczający pierwsze białe kwiaty. Miejscami znowu rzeka zwalniała bieg rozlewając się w ciemne nieruchome stawy. Anna zatrzymała się nad jednym z nich, rzeka zakręcała tu ginąc za drzewami. Nagle zobaczyła rozchodzące się na wodzie kręgi poślacane światłem zachodzącego słońca. Wypatrywała ryby, która podpłynęła, żeby zaczerpnąć powietrza, ale zobaczyła tylko własną twarz, rozszczepioną i zniekształconą przez drobne falujące zmarszczki.

Ruszyła wzdłuż brzegu. Często przechadzali się tutaj z Donem podczas weekendowych odwiedzin u rodziców. Dzieci, bez powodzenia, łowiły ryby na haczyki ze zgiętych szpilek albo brodziły w lodowatej wodzie, przeskakując po obrośniętych wodorostami kamieniach na drugi brzeg. Ojciec, niewidoczny, ukryty w jakimś zacisznym miejscu za zakrętem, w długich sięgających pasa butach rybackich, ze sprzętem przewieszonym przez ramię stał w rzece, lustro wody jak gdyby przepoławiało jego krępa postać. Łowił w skupieniu, a kiedy zarzucał wędkę, linka ze świstem przecinała powietrze.

To właśnie jego mogłaby zobaczyć teraz, stojącego na ostrodze z kamieni. Prawdopodobieństwo spotkania było bardzo niewielkie, mówiła do siebie w myśli, przecież nie wiedziałam, że tu będzie, i tak wybrałabym się nad rzekę, to przypadek, zwykły przypadek, i nic poza tym.

- Hej! - zawołał Dawid Fielding. Zaczął zwiijać linkę, znajomy odgłos niósł ze sobą wspomnienie innych czasów, innej osoby.

Anna podeszła bliżej i powiedziała: - Hej! Niech mnie pan przepędzi, jeśli przeszkadzam.

- Nie przeszkadza mi pani. Właśnie miałem się zbierać. O tej porze roku jeszcze za wcześnie spodziewać się obfitych łowów. Nie wiedziałem, że pani znowu przyjedzie. Jak ojciec? Załuję, ale w tym tygodniu nie miałem czasu go odwiedzić.

- Bez zmian. No, nie całkiem. Stan się trochę pogorszył. W porównaniu z moją ostatnią wizytą widzę różnicę. To tak, jakby... jakby za każdym razem coraz bardziej się oddalał. Gasł.

Dawid skinął głową. Kiedy manipulował przy kołowrotku, Anna dostrzegła czerwoną bliznę na kciuku.

- Jak palec? - spytała.
 - W porządku. Dzięki pani opatrunkowi. - Zajrzał do brezentowej torby. - Z mojego termosu da się chyba wycisnąć dwa kubki. Niestety, tylko herbata. Pani ojciec, o ile pamiętam, miałby piersiówkę z koniakiem.

- Dzięki.

Stali na brzegu wpatrzeni w wodę. Nagle Dawid powiedział:

- O, nurek. Tam.

- Gdzie?

- Tam na kamieniu. - Wskazując ptaka na jedno mgnienie dotknął pleców Anny, a kiedy cofnął rękę, czuła jeszcze między łopatkami jej nacisk.

- Aha, widzę. Na tamtej wysepce.

Rzeka rozwidlała się opływając garb porośniętej darnią ziemi, woda białała rozbijając się o wystające kamienie i tworząc miniaturowe wodospady. Nurek poderwał się i odleciał w górę rzeki. Dawid i Anna pili herbatę, gorącą i słodką („męską”, myślała, kobiety nie robią tak mocnej herbaty, pewnie sam ją sobie przygotował).

- Na czym polega fascynujący urok rzek? - spytała bezceremonialnie.

- Dla mnie na zgadywaniu, co w nich może być. O, coś pod pływa. Zawsze tak robią, kiedy człowiek już się spakuje.

- Miałam na myśli bardziej zawiłe sprawy - powiedziała - ciągłość miejsc i tak dalej. - Odwróciła się ku niemu, ale oślepiąca zachodzącym słońcem dojrzała tylko włosy w świetlistej aureoli, na jego twarz padał cień.

- Nie ma pani ochoty coś zjeść w naszym miejscowym pubie? - spytał zniecierpliwiona Dawid.

- Świetny pomysł. Dziękuję. - Idąc przez pole pomyślała: w domu nie czeka na niego kolacja? Żona?

Dotarli do drogi i na przedmieściu minęli stary, zrujnowany dom, który przypominał Annie dom Splatta. Opowiedziała Dawidowi o swoim emocjonalnym stosunku do niego, nie kryła mieszanych uczuć, jakie batalia o jego ocalenie w niej wzbudza.

- W tych stronach tak się nie rozczulamy - powiedział. - Pewnego pięknego dnia ktoś najechałby na niego buldożerem, a nikt nie pisnąłby ani słowa.

- Nie pochwalam takiego postępowania, ale zastanawiam się też, czy... Och, już nic. Kiedy Judy była mała, dziwnie fascynowało i przerażało ją to miejsce. Myślała, że gnieźdzą się tam węgorze.

- Freud miałby tu coś do powiedzenia.

- Co takiego?

- Węgorze to wyobrażenie o podłożu seksualnym, prawda? W snach, w każdym razie. Ile miała wtedy lat?

- Była malutka, miała może ze trzy lata. Sądzę, że były to bardzo zwyczajne węgorze. Twierdzi, że jednego widziała w pobliskim rowie.

- Zdawało mi się, że takie rzeczy nigdy nie są zwyczajne. Jesteśmy na miejscu. Obawiam się, że dają tu bardzo proste jedzenie, jak w pubie.

- Tu jest bardzo miło. Ojciec zaglądał tutaj czasami. Anna usadowiła się koło kominka, a Dawid stanął przy barze. Z nogawek spodni zdjęła źdźbła zeschniętej trawy i rzuciła do ognia, potem patrzyła, jak żarzą się i kurczą. Ogarnęło ją uczucie przedziwnej błogości. Jestem bezgranicznie szczęśliwa, myślała, i to całkiem bez powodu. Kiedy Dawid stanął przed nią trzymając kufle i talerze, obdarzyła go uśmiechem tak promiennym, że, i głupi. Jedli zgarbieni nad zbyt niskim stołem.

- Wciąż porządkuje pani przeszłość?

- Tak. To jeszcze potrwa. Ojciec chyba nigdy niczego nie wyrzucał.

Dawid pił piwo przyglądając się Annie znad kufła.

- Dlaczego odczuwa pani taką chęć zaprowadzania ładu? Całe pani życie jest takie uporządkowane? Żadnych tajemniczych zakamarków?

- Obawiam się, że żadnych. - Naprawdę, pomyślała. Nie mam prawie nic do ukrycia, oprócz mandatu za złe parkowanie, o którym nikomu nie powiedziałam, a przede wszystkim Donowi, bo byłam taka wściekła. Zdradziłam go tylko w myśli, co i on najprawdopodobniej kiedyś zrobił, więc się nie liczy. - Och, robiłam rzeczy, których się wstydzę - powiedziała - rzeczy, o których wołałabym nikomu nie mówić.

- Mnie bardziej niepokoją rzeczy, których nie zrobiłem. Niespełnione ambicje. Kompromisy. Wszystkie przejawy tchórzostwa.

- Nie wzięłabym pana aż za takiego tchórze.

- Ale nim jestem - zabrzmiało to niemal ostro. I Dawid zaczął mówić o czymś innym. Anna uświadomiła sobie, że jego opanowanie i rozwaga to pozory, za którymi kryje się jakiś wewnętrzny niepokój, sprężona energia znajdująca ujście w różnorodnej działalności: pracy zawodowej, zaangażowaniu w życie miasteczka, przewodniczeniu różnym społecznym akcjom. Jak Sandra?, pytała siebie w duchu. Nie, wcale nie jak Sandra, zdecydowała.

- No więc - zapytał - jak się pani podoba życie na prowincji?

- To jest i moje życie.

- Bzdury. Tam, gdzie sami mieszkamy, zawsze jest inaczej.

- Nieprawda - zaprzeczyła, ale zorientowała się, że Dawid przecież kpi sobie z niej. Roześmieli się, a on poszedł po jeszcze jedno piwo.

Kiedy wrócił, zapytał:

- Ile czasu zajmie pani ta powtórka z przeszłości? - Wieki całe. - Wypiła łyk piwa. - Żałuję, że w ogóle się do tego zabrałam.

- Dlaczego?

- Odkryłam coś, o czym nie miałam pojęcia. Wygląda na to, że przez wiele lat ojciec miał kochankę. Brat wiedział o tym, ja nie.

- Zdumiewające. Zaskoczyło mnie to.

Dlaczego mu o tym powiedziałam, zastanawiała się Anna. Czy za dużo wypilałam? Umysł miała jasny, a więc powiedziała to z rozmysłem.

- Wolałaby pani nie wiedzieć? - zapytał.

- Wcale nie jestem pewna. W jakimś sensie czuję się oszukana, że tak długo o tym nie wiedziałam.

- Oszukana przez ojca? Milczała chwilę.

- Niezupełnie to miałam na myśli.

- Prawdopodobnie chciał uniknąć kłopotliwej sytuacji, oszczędzić wam zmartwień.

- Mój brat Graham twierdzi, że ten fakt niczego nie zmienia, że ojciec jest nadal taki sam, jakiego zawsze znaliśmy. Pewnie ma na myśli człowieka jako całość.

- Moim zdaniem to brzmi trochę naiwnie.

- Mnie też się tak wydaje.

- Zmartwiło to panią.

- Trochę. Ale raczej wprowadziło pewien zamęt.

- Rozumiem.

- Jedno w tym wszystkim jest dziwne - powiedziała - mam ochotę pojechać zobaczyć się z tą kobietą.

- To może być krępujące spotkanie.

- Wiem.

- Gdzie ona mieszka?

- W Gloucester.

- Zawiozę tam panią, jeżeli pani chce - rzucił jakby od niechcenia, nie patrząc na Annę.

- Dziękuję. To miło z pana strony.

Tak, myślała, miło i bardzo bym chciała. Pragnęła podziękować mu z większym entuzjazmem, lecz krótka chwila milczenia sprawiła, że poczuli się sobą onieśmieleni. Dawid bawił się talerzem, potem zauważył przy barze znajomego i przywitał go jakby z ulgą. Znajomy przyłączył się do nich na chwilę. Był to ktoś z tych stron, miło gawędził o życiu miasteczka, o drobnych, bezpiecznych, banalnych sprawach. Znał ojca Anny („Niezbyt

dobrze, proszę zważyć, ot tak, zamienialiśmy zawsze kilka słów dla zabicia czasu”) i pytał o jego zdrowie. Kiedy się pożegnał, Anna powiedziała:

- Ja też powinnam już iść.

Szli przez ciemne już o tej porze miasteczko. Dawid odezwał się:

- Poznałem kiedyś przelotnie pani brata, w zeszłym roku bodajże.

Dowcipny facet.

- Tak, nie bardzo jesteście do siebie podobni.

- Nie wydaje mi się pani aż tak ponura.

- To dobrze - Anna uśmiechnęła się.

- Przyznam się, że rzadko stykam się z ludźmi jego pokroju. Pracuje w telewizji, prawda?

- Tak, jest producentem. - Nie przypadł mu do gustu, pomyślała, a Dawid ciągnął:

- Chyba nie najłatwiej by mi było się z nim dogadać. Czują, że patrzy na nią, gotów przyznać, że ją uraził.

Należał do ludzi, którzy nie potrafią się oprzeć impulsowi mówienia, co myślą i czują.

- Naprawdę nie jest aż taki straszny. Może trochę samolubny, ale nie jest żonaty, więc nie ma to aż takiego znaczenia. Nie ma komu okazywać swojego egoizmu.

Zaśmiała się próbując rozładować napięcie, ale Dawid nic nie powiedział. Szli dalej w milczeniu.

Zatrzymali się przed domem i nagle odezwali się jednocześnie:

- Proszę, niech pan na chwilę wstąpi, chyba znajdzie się jeszcze trochę kawy...

- Już późno, pewnie chce się pani położyć. Proszę dać mi znać, gdyby...

W ciemnym hallu zadzwonił telefon. Anna szukając w kieszeni kluczy nie dokończyła zdania.

- Dziękuję - powiedział szybko Dawid. - Dziękuję za ten wieczór. Niech pani pamięta o Gloucester, dobrze?

- Tak, oczywiście, nie zapomnę. Ja też dziękuję. - Odwracając się w drzwiach, przynaglana dzwonieniem telefonu, zobaczyła jeszcze, jak odchodził. Podniosła słuchawkę i powtórzyła:

- Tak? - drzwi frontowe pozostały otwarte, w ich obramowaniu widać było jasny sierp księżycy, teraz już wysoko nad dachami domów.

- Anna? Gdzie ty, do licha, chodziłaś?

- Poszłam coś zjeść. Przykro mi, kochanie. Byłam tu w pubie. U was wszystko w porządku? - Na ulicy nie było już nikogo. Pchnęła nogą drzwi.

- Jakaś afera z bluzką. Daję słuchawkę Judy. Głos Judy, odległy, zniecierpliwiony, powiedział:

- Nigdzie nie mogę znaleźć czystej bluzki do mundurka, absolutnie nigdzie...

- Boże, Judy, naprawdę, mówiłam ci, w górnej szufladzie...

Teraz światło księżyca wpadało rozproszone do środka przez matową szybę w drzwiach, na południu w Cuxing, o tej godzinie, widać go trochę w lewo od domu naprzeciw, dokładnie nad cisem w ogrodzie.

- Oddaj słuchawkę tatusiowi i idź spać. Don? Kładąc się otworzyła w pokoju okno i zdawało jej się, że z oddali, z końca pastwiska słyszy szum rzeki. A może było zbyt daleko, może rzeka szumiała tylko w jej głowie, jakby echo wcześniejszych wydarzeń dzisiejszego wieczoru? Długo leżała nie śpiąc, jak gdyby w stanie wyostrzonej świadomości, nawiedzana przez obrazy i fragmenty rozmowy.

Czwartek, myślał Dawid Fielding... w czwartek mam radę pedagogiczną, zajęcia z kandydatami do Oksfordu i Cambridge, a potem rozmowę z rodzicami Kevina Granta, którym zupełnie nie wiem, co powiedzieć. Czwartek, myślał, będzie urozmaicony. Następnie piątek, czyli rozmowy wstępne z kandydatami Obiegającymi się o posadę nauczyciela chemii, a wieczorem zebranie Towarzystwa Muzycznego AGM - i to by było chyba wszystko. Potem sobota, niedziela. Poniedziałek - znowu przygotowanie do egzaminów wstępnych, lekcja z klasą czwartą, są tam jeden albo dwa wątpliwe przypadki, w przerwie obiadowej kółko historyczne. Kiedy był już na dole, zawołał: - Wróć na kolację! Głos z góry odpowiedział mu i Dawid poszedł do garażu po samochód. Odmierzam moje życie, myślał, licząc kolejne czwartki, piątki, poniedziałki i wtorki, co, zważywszy wszystkie aspekty sprawy, nie jest aż tak bardzo żałosne. Mama powiedziałaby: „Dobrze wiedzieć, na czym stoisz.” A ja dobrze wiem, na czym stoję.

Środkowe hrabstwa Anglii, zastanawiał się podczas zebrania rady pedagogicznej, to zabawny region. Weźmy mnie i takiego George'a Barnesa, siedzącego, o tam. Urodziliśmy się nie tak daleko jeden od drugiego, w tym samym mniej więcej roku. Niezbyt wprawnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że ulepieni jesteśmy z tej samej gliny. Obaj mówimy z akcentem ludzi wykształconych, który nie całkiem skrywa nasze pochodzenie, co, podejrzywam, irytuje George'a. Ja mówię „puncz” zamiast „pancz”, podobno tak mówił sam Dr Johnson. Nie wiem, jak George wymawia to słowo, nie przypominam sobie, żebym słyszał je w jego ustach. Ale po kilku zaledwie wypowiedzianych przez niego zdaniach i ja, i większość tutejszych ludzi rozpoznajemy w nim chłopaka z

Leicestershire. To nawet nie jest kwestia wymowy, dla laika takie subtelne różnice nie są uchwytny. George wolałby zapewne osiedlić się gdzie indziej, pracuje tutaj, ponieważ, szczerze mówiąc, nie jest aż takim orłem w swoim zawodzie i nigdy nie dali mu posady, o jakiej marzy, w którejś z mniej znanych szkół prywatnych czy dużej subsydiowanej przez państwo placówce. Ja jestem tutaj, bo chcę tu być, z powodów, które trudno określić, szczególnie wobec samego siebie. No, a teraz, jeżeli nie chcemy spędzić tu następnej godziny, muszę zamknąć mu gębę. On wie, ja wiem, wszyscy wiemy, że bardzo mało, jeżeli cokolwiek, da się zrobić w sprawie opóźnień w budowie bloku dla przedmiotów ścisłych. Przełknął ślinę i zabrał się do odbierania George'owi głosu.

- Czy zechcielibyście - mówił w dwie godziny później do grupy uczniów przygotowujących się do egzaminów wstępnych do Oksfordu i Cambridge - może zechcielibyście napisać wypracowanie na temat: „Czym jest metoda historyczna”, coś w tym rodzaju. - Maturzyści (z grupy historycznej) przemyśleli propozycję i nie zdradzali entuzjazmu. Paul Craxton zauważył, że jego zdaniem temat jest zbyt ogólny. Dodał, że on musi jeszcze opracować kilka szczegółowych zagadnień.

- Paul, dlaczego chcesz studiować historię?

Paul Craxton odpowiedział sprytnie, że jest przekonany, iż wszyscy lepiej rozumielibyśmy nasze społeczeństwo, gdybyśmy posiadali głębszą wiedzę historyczną. To znaczy, ciągnął, że jeśli wiemy, co się działo dawniej, możemy jakoś lepiej ocenić i rozwiązać aktualne problemy społeczne. Przecież przeszłość stanowi ostrzeżenie dla przyszłości, nie? Jeżeli znamy historię, lepiej wiemy, czego się trzymać, nie?

- Chyba nie powiesz tego wszystkiego w czasie rozmowy z komisją? Przynajmniej nie wspominaj, że wiesz, czego się trzymać - wtrącił Dawid. Wszyscy się roześmieli.

- Nie wspomnę, jeżeli w ogóle do niej dojdzie.

- Aha... - Dawid patrzył na Paula Craxtona i myślał o jego ojcu, z którym mniej więcej dwa tygodnie temu rozmawiał prawie przez pół godziny. Ojciec Paula był dyrektorem działu sprzedaży w firmie budowlanej i martwił się, co jego syn będzie w końcu, ostatecznie, robił po studiach. Orientował się, że w obecnych czasach wieje pomyślny wiatr dla przemysłu, a poza tym, mówiąc szczerze, tak samo łatwo można zostać bezrobotnym z dyplomem jak i bez. Panie Fielding, mówił, to już nie ma takiego znaczenia, jak miało te piętnaście lat temu. Zastanawiam się, na razie to tylko luźny pomysł, czy Paul nie mógłby spakować manatków i pójść do pracy od zaraz.

Dowiedział się o pewnej posiadzie, omówił już całą rzecz z matką Paula i właśnie zastanawiają się, czy takie rozwiązanie byłoby możliwe.

Śluchając go Dawid pomyślał nagle o swoim ojcu i zapytał: - A co na to sam Paul?

Swoją decyzję Paul zmanifestował teraz, w czwartkowe popołudnie, obecnością na zajęciach fakultatywnych i prośbą, żeby w tym tygodniu raczej pozwolić mu jeszcze raz przejrzeć testy egzaminacyjne. Przyznał się, że nie ma pojęcia o powstaniu ziemiaństwa. Żaden z nas, wtrącił Tim Langdale, nie przestudiował dokładnie polityki ekonomicznej Tudorów.

- W dalszym ciągu uważam - powiedział Dawid - że możecie napisać wypracowanie na zaproponowany przeze mnie temat. Poczytajcie Butterfielda i Marca Blocha. Możecie zajrzeć do E.H. Carra i Marksa, jeżeli już o to chodzi. Pomyślcie - mówił - jeśli jesteście zdecydowani poświęcić trzy lata na studiowanie przeszłości, to równie dobrze możecie się upewnić dlaczego. Wiedzieć, czego się trzymać. - Chłopcy się roześmieli, podpisali arkusze i zanotowali zadany temat.

- Proszę usiąść - powiedział do rodziców Kevina Granta. Nie przypominał sobie, by ich kiedyś przedtem widział. Przysunęli krzesła bliżej, jak gdyby, myślał Dawid, łącząc szyki. Kobieta była ubrana elegancko, starannie umalowana, prosto od fryzjera, ale patrzyła w bok, unikając jego spojrzenia. Chciał, żeby pozbyli się skrzepowania.

- Cieszę się, że państwo przyszli - zaczął - bardzo chciałem...

Mężczyzna pochylił się do przodu, oparł ręce na kolanach i wtrącił:

- Jedno wyjaśnijmy z miejsca. Nie zabieramy syna ze szkoły. Tak zdecydowaliśmy.

Żona przytaknęła.

- Wygląda na to, że nie może pan tego od nas żądać. Sprawdziłem to, to znaczy mój adwokat sprawdził. Syn dostał jedynie wyrok z zawieszeniem, ma kuratora. - Patrzył wyzywająco na Dawida, który myślał zdumiony: co tu się do cholery dzieje, co oni sobie wbili do głowy?

- Ależ nie ma o tym mowy, proszę pana - zaprzeczył. - Nie wyrzucamy Kevina ze szkoły. Chcemy tylko, sądzę, że w tym będziemy zgodni, spróbować uchronić Kevina od tego typu kłopotów na przyszłość.

- Większość młodych ludzi - powiedział mężczyzna - zawsze kiedyś wpada w tarapaty.

- Proszę pana - przerwał mu Dawid - niewielu chłopców staje przed sądem dla nieletnich trzy razy w ciągu jednego roku. Zdaje pan sobie sprawę, że jeśli to się jeszcze raz powtórzy, nie skończy się na wyroku z

zawieszeniem. Wiem, że on i jego kumple dokonali zniszczeń na kilkaset funtów.

- Sami są sobie winni - wtrąciła nieoczekiwanie jego żona - w nocy nie ma tam żadnego dozoru. Czego się więc spodziewają? Chłopcy w tym wieku mają bujny temperament.

- Wiem - uciał Dawid. - A tamci spodziewają się, że ludzie będą szanować własność publiczną jak swoją. Pani pozwala Kevinowi demolować dom?

- To co innego.

- Nie wydaje mi się.

Siedzieli patrząc na siebie wrogo. Psiakrew, myślał Dawid, nie spodziewałem się, że sprawa przybierze taki obrót.

- Osobiście - powiedział ojciec Kevina - uważam, że trzeba zostawić dzieciakom trochę swobody. Pozwolić im robić to, na co mają ochotę. Nie mówię, że popieram postępowanie syna, wcale nie, ale fakt pozostaje faktem, jest na tyle dorosły, że to nie jest już tylko nasza sprawa, żony i moja.

- W dzisiejszych czasach można ingerować tylko do pewnego stopnia, prawda? - powiedziała pani Grant. - Tak to już jest z młodzieżą. - Ręką o pomalowanych różowym lakierem paznokciach wygładziła spódnice na kolanach. - Nie można walczyć z duchem czasu, nieprawdaż?

- Zdumiewają mnie państwo - powiedział Dawid. Wstał i podszedł do okna. Na parking dla gości stał jeden jedyny samochód.

- To pański samochód? - zapytał.

- Blokuje przejazd? Przetawię go.

- Nie - powiedział Dawid - nie blokuje. - Spojrzał dalej, poza parking, na boisko, gdzie chłopcy biegali tu i tam, a wraz z nimi pewnie i Kevin Grant, którego rodzice mieli nowy luksusowy wóz i zadowoleni z siebie żywili szacunek dla ducha czasów. Za boiskiem widać było sylwetkę katedry na tle nieba. W jej pobliżu, niewidoczny za dachami, stał dom, w którym urodził się Samuel Johnson. Jeszcze przed nim szkoły w Lichfield zawsze w ten lub inny sposób kształciły synów rzemieślników z okolic. Słyszając, jak pan Grant (dyrektor przedsiębiorstwa, jak było zaznaczone w papierach Kevina) mówi, że chyba nie potrzebują zabierać panu Fieldingowi więcej czasu, teraz gdy już ustalili, na jakim gruncie stoją, Dawid odwrócił się. Patrzył, jak wychodzą z gabinetu, i siedział tam jeszcze przez chwilę w samotności myśląc nie o nich, ale o szumie rzeki płynącej po kamienistym dnie koło Starbridge.

ROZDZIAŁ PIĄTY

- Twój brat - stwierdziła Sandra - znakomicie wygląda. Nie spodziewałam się, że będzie mnie pamiętał, ale ucieliśmy sobie naprawdę ciekawą pogawędkę o sztuce, którą teraz realizuje na temat Irlandii Północnej. Bardzo się angażuje, prawda? Poważnie podchodzi do rzeczy.

- Nie powiedziałałabym.

- Wiesz lepiej, to przecież twój brat. Muszę jednak przyznać, że tego typu ludzi przydałoby się tutaj więcej. Wstąpię z tobą do biblioteki. Chcę wywiesić zawiadomienie o naszym proteście w sprawie ruchu ulicznego. Często przyjeżdża?

- Bardzo rzadko.

- Szkoda. Bój się Boga. Anno, ty naprawdę przebrniesz przez te wszystkie tomy w ciągu tygodnia? Zazdroszczę ci, chciałabym mieć więcej czasu na czytanie. Och, przypomniało mi się, wciąż trzymam tę twoją książkę o starych domach farmerskich i zagrodach.

- M. W. Barleya. Zainteresowała cię?

- Przyznam ci się, że nie przeczytałam jej od deski do deski. Zajrzałam tylko w kilka miejsc.

- Jest tam długi rozdział o domach z pruskiego muru, takich jak dom Splatta. Jak zmieniał się kształt wnętrza, wpierywając tylko jedną izbę, potem kuchnia dobudowana z jednej strony, dodatkowe pokoje na górze i tak dalej. Zewnętrzne kominy.

- Rzuciłam chyba na to okiem - powiedziała Sandra wymijająco. - W każdym razie muszę ci ją oddać. Podeszła do bibliotecznej tablicy, a Anna przez ażurowe regały widziała, jak przepina ogłoszenia, żeby jej własne znalazło się na widocznym miejscu. Wróciwszy zajrzała do wypełnionego książkami koszyka Anny.

- No tak, pewnie masz teraz mnóstwo czasu. Są przecież ferie. Ale dlaczego jedziecie właśnie do Gloucestershire?

- Miałam po prostu ochotę zwiedzić kiedyś katedrę w Gloucester.

- Uwielbiam tę w Lincoln. To ta z posągami na froncie, prawda?

- To katedra w Wells.

- Oh! Oczywiście. Aha, Anno, chciałam cię przez cały czas zapytać o ojca. Jak się czuje?

- Tak sobie.

Szły razem po High Street. Sandra, jak się okazało, przeszła bardzo ciężkie chwile opiekując się teściem, dokładnie dwa lata temu. Te nie kończące się wizyty w szpitalu, gdzieś na samych peryferiach północnego

Londynu. No, a poza tym, jej własna matka, niezdolna nic prawie koło siebie zrobić, już od lat mieszka razem z nimi.

- Współczuję ci doprawdy, wiem, co to znaczy.

- To raczej ojcu potrzebne jest współczucie - odpowiedziała Anna.

- Na pewno robią, tam wszystko, co w ich mocy.

- Ależ tak, robią, co mogą.

- Muszę cię teraz uściskać i porzucić, kochana - powiedziała Sandra.

Wchodząc na pasy zatrzymała się jeszcze. - Aha, czekaj, porozumiałaś się już z Pickeringami w sprawie domu Splatta? A co z tym facetem z Wydziału Planowania Przestrzennego?

- Jestem z nim umówiona na jutro.

Anna weszła do rzeźnika i kupiła dwa kotlety schabowe na kolację. Paul był na obozie szkolnym, a Judy też wyjechała na kilka dni do koleżanki. Później, kiedy jedli z Donem kolację w kuchni, powiedziała:

- Moglibyśmy wyskoczyć gdzieś na weekend. Pojedźmy, co? Pierwszy raz od Bóg wie kiedy jesteśmy tylko we dwoje.

- Wyskoczyć, ale gdzie?

- Och, nie wiem. Gdziekolwiek. W góry Cotswold. Pamiętasz Broadway? Pospacerujemy, zwiedzimy okolicę. Zatrzymamy się w jakimś miłym hotelu. Dlaczego mielibyśmy nie jechać? Tak cię proszę.

- Ale po co?

- Ot tak, po prostu. Bez powodu. Będzie miło, zobaczysz. Zadzwońię do jakiegoś hotelu, dobrze? Zarezerwuję pokój.

- Jak chcesz - powiedział - jeśli ci tak bardzo zależy.

Jechali na zachód drogą biegnącą skrajem niziny Berkshire.

- Pamiętasz, spacerowaliśmy tu - powiedziała Anna - wieki temu, po jakiejś potańcówce czy innej podobnej okazji. Jeszcze na początku naszej znajomości. Przyjechaliśmy z Oksfordu autobusem i zjedliśmy lunch w jakimś pubie ze stołami wystawionymi na dwór. Mieli tam psa, który aportował kamienie. Pamiętasz?

A Don odpowiedział: - Nie, psa sobie nie przypominam.

- Niedługo potem - mówiła dalej Anna - w czasie wakacji, był ten weekend, kiedy spotkaliśmy się w Londynie i pierwszy raz poszliśmy do łóżka.

- Tak - powiedział Don - pamiętam ten zapyziały hotel w Kensington.

- Nie zapyziały - obruszyła się - mam go przed oczyma, wcale nie, cudowny, wyjątkowy.

- Cóż - powiedział Don - może i tak. Wszystko jedno, pamiętaj go sobie, jakim chcesz, i tak już go nie ma. Zburzyli go, a na tym miejscu zbudowali blok mieszkalny, widziałem niedawno.

- Nie ma go? - zdziwiła się. - Nie ma? Nie wiedziałam. Nic mi nie powiedziałaś.

- Co w ciebie wstąpiło? - spytał Don. - Po co ten cały pośpiech? Wypiłbym jeszcze jedno piwo.

- Przecież chcemy zobaczyć opactwo Hailes. I Belas Knap.

- Aha, chcemy? - zdziwił się. - Jeśli tak, ty prowadź, ja się zdrzemnę.

Nad pejzażem Gloucestershire i doliną Evesham dominowały wzgórza, w oddali majaczyło sinoniebieskie pasmo gór Malvern, zbudowane z kamienia wapiennego miasteczka jaśniały w promieniach słońca. Kolejne hrabstwa zlewały się ze sobą, na horyzoncie, jak chmury na niebie, widać było góry Walii. Anna i Don wspinali się na zbocze, brodzili wśród pierwiosnków rosnących na tej wysoko położonej łące. Panujący tu spokój udzielił się i im. Kiedy stanęli już na szczycie. Don zapytał:

- Co to właściwie jest?

- Kurhan, kochanie, mówiłam ci. Z okresu neolitu.

- Trzeba przyznać, że piękny stąd widok. Kurhan wznosił się wśród pól kapusty włoskiej, jego wiek i przeznaczenie wyjaśniała tablica umieszczona przez Wydział Robót Publicznych. Don zatrzymał się przed nią, czytał, co tam napisano, a wiatr targał mu włosy. Anna weszła na porośnięty darnią kopiec. Stała na szczycie i owiana tym samym łagodnym wiatrem patrzyła w dal. Winchcombe, gdzie dziś będziemy spać, jest tam w dole, Cuxing, zupełnie niewidoczne, znajduje się na prawo, daleko stąd, Kraina Jezior, gdzie teraz w jakimś namiocie mieszka Paul, musi być na północy, prosto tą doliną i jeszcze dalej, a Lichfield, myślała, leży w tym samym kierunku, trochę bardziej na prawo, droga wiedzie niedaleko stąd, o tam, na północny wschód.

- Chodź tutaj - zawołała - stąd widać bardzo daleko.

Don wszedł na górę i stanął obok niej. Anna wsunęła mu rękę pod ramię.

- Nie cieszysz się, że tu przyjechaliśmy?

- Mmm. Miałaś dobry pomysł. Powinniśmy przywieźć tu kiedyś dzieci.

- Nie. Nam też się coś należy.

- Zapewne. Co to za miejscowość w dole?

- Winchcombe, zarezerwowałam tam hotel. Czy wiesz, że stoimy na szczycie rodzinnego mauzoleum?

- Na to wygląda.

- Nie potrafię wyobrazić sobie, co ci ludzie wtedy czuli ciągnąc tu w orszaku pogrzebowym, chowając z ciałem zmarłego garnki, brosze i Bóg wie co jeszcze.

- Och - zaczął Don - swego rodzaju asekuracja. Inwestowanie w przyszłość. Całkiem rozsądne.

- Bzdury. Czarna magia. Przesady, jak każda religia. Dawać na msze za własną duszę i chować razem z ciałem do grobu zapasy żywności, to taki sam nonsens. Nie można planować życia po życiu, nawet jeśli zakładamy, że ono istnieje.

- Z tym, że ty nie wierzysz też w planowanie życia tu na ziemi.

- Nie wierzę - rozżłościła się.

- To także rodzaj przesądu.

- Nie rozumiem jakiego.

- Mmm... - powiedział Don. - Polegającego na rezygnowaniu z przewidywania przyszłości. Jeśli czegoś nie zaplanuję, wtedy to się nie zdarzy.

- Mówisz jak agent ubezpieczeniowy.

- Możliwe.

- Po prostu uważam - odpowiedziała - że nie powinno się niczego w życiu wykluczać. Wiesz, Sandra i James już teraz kupili dom, do którego przeprowadzą się na starość. Na dwadzieścia pięć lat naprzód! Wyobraź sobie, już teraz decydować, gdzie będziesz za dwadzieścia pięć lat.

- Osobiście wolałbym jednak wiedzieć, gdzie spędzę resztę popołudnia - odpowiedział Don. - Co jeszcze dla nas zaplanowałaś? Wygląda na to, że dziś ty rządysz.

- Opowiadałam ci - spytała Anna, kiedy zjeżdżali ze wzgórza ku opactwu Hailes - mówiłam ci o tym facecie, z którym się wczoraj widziałam w sprawie domu Splatta? Nie wyszło to dokładnie tak, jak się spodziewałam. Sama nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Kiedy telefonowała, przełączano ją od jednej osoby do drugiej, od biura do biura. Wszędzie klekotały maszyny do pisania i słychać było stuk obcasów. Łączę z wydziałem Planowania Przestrzennego, tym terenem zajmuje się pan Hanson, czy zna pani numer sprawy? Zdaje się, że mam porozumieć się z panem Jewkesem - wyjaśniła - Anna. W końcu w słuchawce odezwał się pan Jewkes, który zaproponował, że może najlepiej będzie, jeśli ona wpadnie i porozmawiają na miejscu. - Tak - dodał - znam sprawę domu Splatta.

Anna siedziała naprzeciw swojego rozmówcy w gabinecie, którego ściany obwieszono mapami hrabstwa przedstawiającymi gęstość zaludnienia

i rozmieszczenie przemysłu oraz sieć dróg i linii kolejowych, a także planami miast i osiedli. Całe Berkshire poddane zostało szczegółowej analizie i rozebrane na czynniki pierwsze. Czyniono przygotowania na przyszłość, projektowano szkoły dla nie narodzonych jeszcze dzieci, przewidziano rozszerzenie miejskiej zabudowy z myślą o młodych parach, które się jeszcze nawet nie znały. Wśród tych prognoz siedział za biurkiem pan Jewkes. Był to mężczyzna sympatyczny w obejściu i Anna stwierdziła w myśli, że wygląda raczej jak doktor starej daty niż referent Wydziału Planowania Przestrzennego.

- Ta sprawa nie figuruje oczywiście w naszych planach - powiedział.

- Tak, wiem. Mimo to, uważamy, że pozwolenie na zburzenie domu nie powinno zostać wydane. To zabytek i za wszelką cenę trzeba go ocalić.

- Przystudiowałem tę kwestię dokładnie, kiedy się do nas zwrócono - odpowiedział pan Jewkes spokojnie.

Anna spodziewała się spotkać człowieka bardziej bezwzględnego, bardziej typowego urzędnika, który wydaje rozkazy jak bóg i jednym pociągnięciem pióra zmienia krajobraz. Pan Jewkes podszedł do szafy z mapami i wrócił trzymając arkusz papieru.

- Dom jest oczywiście zaznaczony na mapie sztabu generalnego z 1875 roku - powiedział. - Tutaj, cał dwudziesty piąty. Ciekawe, proszę, niech pani sama zobaczy. Rzut parteru pokazuje dobudówki, które chyba rozebrano, przynajmniej ja nie zauważyłem po nich ani śladu, kiedy się tam wybrałem.

„Dom Splatta”, jak głosił wykaligrafowany napis, stał całkiem osamotniony wśród pól, a rów melioracyjny otaczał go półkolem, jak węgorz, pomyślała Anna.

Ten pan Jewkes zabrał się do rzeczy bardziej gruntownie, uświadomiła to sobie ze złością, niż my, Sandra, Mary Pickering i ja, podejmując raczej chaotyczne próby ustalenia faktów dotyczących domu.

- Konstrukcja budynku - ciągnął pan Jewkes - jest bardzo rozchwiana, naprawdę niepewna. Suche, spróchniałe drewno, zjedzone przez korniki, wszystko do kompletu. Zleciłem dokładne zbadanie domu jednemu z naszych specjalistów i jego ekspertyza jest bardzo zniechęcająca. Ocenił, że koszty rekonstrukcji byłyby astronomiczne, zakładając przy tym, że obecny właściciel znalazłby kupca na taką ruinę. Mogę pani pokazać ten dokument, jeśli pani sobie życzy - dodał.

- Dziękuję, wierzę panu na słowo. Ale mimo to... mimo to budynki takie jak dom Splatta już ratowano. Przecież - dodała - domów farmerskich z pruskiego muru, z pierwszej połowy piętnastego wieku, nie zachowało się zbyt wiele.

- Istotnie - powiedział pan Jewkes. Przyglądał się jej znad okularów w złotej drucianej oprawce. - Nie uszło to mojej uwagi.

Anna poczuła się skarcona i zażenowana odwróciła wzrok.

- Ciekawe też - powiedział pan Jewkes - że Pevsner nie wspomina o nim w swoich pracach, podczas gdy stary młyn, który zawsze wydawał mi się budynkiem bez wyrazu, jest przez niego wymieniony. To jednak nie ma nic do rzeczy. Zapewniam panią, że długo i dogłębnie studiowaliśmy tę sprawę. A poza tym chodzi o aspekt społeczny całego przedsięwzięcia. Odczuwamy dotkliwy brak tego typu domów dla starszych ludzi.

- Nie mamy pewności, że to oni właśnie tam zamieszkają.

- Aha - powiedział pan Jewkes. - Widzę, że nie całkiem jest pani wprowadzona w zagadnienie... Czy zna pani warunki, którymi obwarowane zostało pozwolenie na budowę osiedla?

- Nie - przyznała Anna. Czowała, że ogarniają ją wątpliwości, podstępnie, jak pierwsze objawy przeziębienia.

- Otóż firma budowlana ma zamiar postawić osiedle złożone z niewielkich domków specjalnie zbudowanych dla ludzi w starszym wieku. Chcą utrzymać niskie koszty i obiecują dać pierwszeństwo kupna ludziom miejscowym, urodzonym w Cuxing. Pan Pym, oczywiście, też stąd pochodzi.

Ale heca, powiedziałaaby Sandra, przemknęło Annie przez myśl.

- To brzmi bardzo altruistycznie - stwierdziła.

- A przedsiębiorstwa budowlane nie słyną z altruizmu? Rozumiem, że to właśnie ma pani na myśli. Słusznie. Sentymenty odłożmy jednak na bok. Pan Pym musiał liczyć się i z tym, że nie udzielimy zgody na zabudowę terenu. Jest to, rzecz jasna, przedsięwzięcie, w którym pośrednicy handlu nieruchomościami zarobią trochę, chociaż na pewno nie tyle, ile by mogli, a miasto otrzyma potrzebne nam mieszkania dla starych ludzi. Widzi więc pani, że zadecydowały kwestie praktyczne: co jest nam bardziej potrzebne, budynek o uznanej wartości zabytkowej i bardzo niepewnej przyszłości czy dach nad głową dla ludzi w podeszłym wieku?

Przegrałam nie tylko gema, pomyślała Anna, ale chyba całego seta, o ile nie mecz.

- Rozumiem pański punkt widzenia - powiedziała ozięble. - Będę musiała przedyskutować to wszystko z pozostałymi członkami naszego komitetu.

- Naturalnie. - Pan Jewkes podniósł się i wyciągnął do niej rękę. - A jeśli zechciałaby pani znowu nas odwiedzić, jestem oczywiście do dyspozycji. Nie była to łatwa decyzja, zapewniam panią, ale decyzje podejmować trzeba. Życie nie stoi w miejscu.

- Nie miałam jeszcze czasu - opowiadała Donowi - porozmawiać o tym z innymi, ale przyznam, że sama czuję się teraz mniej pewnie. Nawet głupio - dodała. - Żałuję, że dałam się w to wrobić.

Ruiny opactwa Hailes także zarzyły się w słońcu. Zwiedzili nawę główną, nawy boczne, obejrżeli miejsce, gdzie przypuszczalnie stał ołtarz, obeszlili zachowane fragmenty krużganków, refektarz, kryptę. Całość otoczono porządnie przystrzyżonym trawnikiem, miejsca grożące zawaleniem wzmocniono świeżą zaprawą albo dyskretnie spięto żelazną klamrą. Opactwo Hailes, a raczej to, co z niego pozostało, było zabezpieczone na następnych sto lat. Don stwierdził, że na razie ma dosyć zwiedzania, i usiadłszy w słońcu na szczątkach muru, który kiedyś tworzył ścianę refektarza, zajął się rozwiązywaniem krzyżówki w „Timesie”. Anna przechodziła od jednej oszklonej gabloty w muzeum do drugiej przyglądając się w zadumie bryłom piaskowca, z których średniowieczna fantazja wyczarowała nieograniczoną różnorodność maszkaronów, oraz niezliczonym odłamkom ceramicznych kafli w kolorach przyćmionych przez pięć wieków mijającego czasu. Wychodząc z muzeum zobaczyła Dona siedzącego dokładnie w tym samym miejscu, ale słońce schowało się za chmurami odbierając szarym kamieniom złocistą barwę. Nagle ogarnęło ją przynębenie, przypomniała sobie, jak nastroje matki zmieniały się wraz z pogodą i jak ją to zawsze drażniło, kiedy była mała. Boże - mawiała matka - spójrz tylko, co za dzień, leje jak z cebra, czy to nie przynębiające? A Anna spierała się, że samopoczucie jest sprawą wewnętrzną i nie podlega wpływom z zewnątrz. W dalszym ciągu, myślała, pogoda nie jest w stanie radykalnie poprawić mojego nastroju, nie uważam też, że z powodu tych kilku czarnych chmur mam mieć zepsuty cały dzień.

- Idziemy? - spytała Dona. - Jest tu jeszcze kościół. Oglądali freski.

- Nic nie rozumiem - skarżył się Don. - Co to ma być?

- To święty Krzysztof. Spójrz, tu ma kij, tu są nogi, a te faliste linie to woda, przez którą właśnie przechodzi. Chroni od śmierci jak amulet, jak pukanie w nie malowane drzewo. Dlatego jego podobiznę umieszczano w tyłu kościołach, jeśli go zobaczyłeś, nic złego nie mogło ci się przytrafić do końca dnia.

- Pod taką opieką - powiedział Don - możemy już zmierzyć się z niebezpieczeństwami czyhającymi na nas na szosie A 46.

W barze hotelowym powiedziała:

- Zostaw tę wstrętą krzyżówkę, porozmawiaj ze mną. Przyjemnie spędziłeś dzisiejszy dzień? Częściej powinniśmy robić sobie takie wycieczki.

A Don składając gazetę (w taki sposób, dostrzegła, żeby krzyżówka znalazła się na wierzchu, gotowa na później) odpowiedział, że tak, że było bardzo miło, że oczywiście powinni robić to częściej.

- Co z wakacjami? - spytał. - Jedziemy do Szkocji, tak? Postanowione?

- Och, Szkocja - westchnęła Anna. - Nie to miałam na myśli. Szkocja to co innego. To te same od lat dwutygodniowe wakacje, po to, żeby na jesieni mieć o czym rozmawiać ze znajomymi. Mnie chodzi o dni takie jak ten, tylko we dwoje, ty i ja.

- Co ci się stało, Annie? - zdziwił się Don. - Ni stąd, ni zowąd zrobiłaś się taka wybuchowa. Co w ciebie wstąpiło?

- Nic - odpowiedziała. - Absolutnie nic. Wszystko i nic. Nie ma się czym przejmować, jak powiedziałyby Graham. No to spójrzmy na menu, chcę się dobrze najeść za swoje pieniądze, cztery dania, żadnych dziwactw. Cocktaile z krewetek i kaczka pieczona garniowana plasterkami pomarańczy z całą masą dodatków.

Wrócili do Cuxing witani dzwonkiem telefonu rozbrzmiewającym w ciemnym pustym domu. Anna nerwowo szukała kluczy, a w jej głowie jedna paniczna myśl goniła drugą: „Boże, Paul miał wypadek... Judy, to dzwoni pani Shapton, coś się stało Judy”, a w końcu „ojciec, dom opieki, to siostra przełożona”.

Ale nie, nic podobnego się nie wydarzyło, to tylko Farrer, dyrektor szkoły, dzwonił z pytaniem, czy mogłaby, jeśli nie sprawi jej to większego kłopotu, wpaść któregoś dnia w tym tygodniu do szkoły na rozmowę.

- Dobrze - odpowiedziała znużona. - Tak, w środę. Oczywiście.

Odkładając słuchawkę pomyślała: w czwartek pojedę do Lichfield. W czwartek albo w piątek.

- Kto dzwonił?

- Farrer. Chce ze mną porozmawiać. Chodzi pewnie o rozkład zajęć na następny semestr. Kładę się, nie masz nic przeciwko temu? Padam, to chyba z nadmiaru świeżego powietrza.

Dzień był kryształowo czysty, przeszli wiele kilometrów, a ze szczytów wzgórz widać było każdy najdrobniejszy szczegół krajobrazu, kształt drzew, skiby świeżo zaoranej ziemi na polach, dym ulatujący z kominów, błysk światła odbitego w szybie samochodu czy oknie domu. Późnym popołudniem w powietrzu zawisła lekka mgiełka, promienie słońca snopami potężnymi jak kolumny przedzierały się przez złote chmury, jak gdyby Bóg Williama Blake'a lub przynajmniej jego aniołowie zstępowali na ziemię hrabstwa Gloucester. Szli oddzielnie spotykając się tylko po to, by sprawdzić godzinę albo uzgodnić kierunek. Brnąc przez pola, wspinając się

na zbocza, przemierzając ścieżki Anna czuła się osamotniona. Don został w tyle, a odgłos jego kroków zdawał się mówić, że nie potrzebuje jej towarzystwa. Nie myślała o niczym, chyba tylko o tym, że bardzo chce się zmęczyć, zmęczyć fizycznie i kiedy Don zaproponował, żeby wracali, powiedziała: - Idź sam, jeśli masz ochotę, spotkamy się później, jest jeszcze mnóstwo czasu, zanim się ściemni. - Przez dobrych kilka minut nie przyszło jej na myśl obejrzeć się, nie zdziwiła się też, kiedy zobaczyła, że z rękami w kieszeniach jednak za nią idzie.

- Przykro mi - powiedziała, kiedy dochodzili już do samochodu. - Niepotrzebnie ze mną szedłeś. Miałam po prostu ochotę na solidny spacer.

A on wzruszył ramionami, co, jak sądziła, znaczyło: dlaczegoż miałbym nie iść, było mi wszystko jedno.

Zebrań Komitetu Ocalenia Domu Splatta (okropnie niezręczna nazwa - skrytykowała Sandra - potrzebujemy czegoś bardziej wpadającego w ucho. Może ktoś ma jakiś pomysł?) odbyło się u Pickeringów. „Będzie nam bardzo miło”, zapraszała Mary Pickering kilka dni wcześniej. „Jest już po remoncie, pomyśleliśmy więc z mężem, że można by po obiedzie porozmawiać o wszystkim, przyjemnie, bez skrupowania, przy drinkach, jeśli to państwu odpowiada. Przyznam, że nienawidzę wszelkich zebrań. A państwo?”

- Ona maluje, wiesz - powiedziała Sandra wjeżdżając swoim Renault w bramę domu Pickeringów. - A on wykłada na politechnice, wzornictwo przemysłowe, grafikę czy coś w tym rodzaju. Prawda? Zresztą ty lepiej ode mnie znasz się na takich rzeczach.

- Tak sądzisz?

- Trudno dokładnie określić - mówiła dalej Sandra - jaki on właściwie jest, rozumiesz, o co mi chodzi?

Samochód zwolnił zapadając się głęboko w świeżo wysypany na podjeździe żwir. Wsiadły i brnąc w kamykach podeszły do drzwi frontowych.

- Dokonali w tym domu istnych cudów - zachwyciła się Sandra.

Członkowie Komitetu siedzieli na niskich sofach i olbrzymich krytych patchworkiem poduchach i pili wino suto doprawione ogórecznikiem i melisą z ogródka. Panna Standish, osoba w starszym już wieku, przybyła najwyraźniej za wcześnie sprawiając tym pewien kłopot. Teraz popijała wino drobnymi łykami i przyglądała się długiej wzorzystej sukni Mary Pickering i jej obutym w sandały stopom.

- Wspaniały batik - powiedziała Sandra. - Domyślam się, Mary, że to twoje własne dzieło. Tak ci zazdroszczę, cudownie mieć czas na takie rzeczy. To takie odprężające.

Palenisko, miechy i kowadło, urządzenia stanowiące ongiś *raison d'être* tego domu, pomysłowo wykorzystano w umeblowaniu salonu. Odnowione miechy, łagodnie podświetlone ukrytym z tyłu źródłem światła, wyglądały jak kontrowersyjna rzeźba. Kowadło, wypolerowane, rzucające ostre błyski, stało na tle bogatej roślinności. Samo palenisko zajmowało całą ścianę pokoju, a w jego przedziwną, pełną różnych załamań konstrukcję, wmontowano szafki i półki tworzące regał wypełniony książkami w jaskrawych kolorowych okładkach, ceramiką i suchymi bukietami z kwiatów i liści. Z podłogi wyrastały ażurowe schody prowadzące na piętro. Do belek stropu, odkrytych i wyeksponowanych, przymocowano reflektorki ustawione pod różnymi kątami i skierowane na nagą białą ścianę, na której wisiały stare narzędzia rolnicze: nożyce do strzyżenia owiec, sierpy, cepy i kosa.

- Ależ to znakomity pomysł - wykrzyknęła Sandra.

- Wspaniałe formy, prawda? - powiedziała Mary Pickering. - Piękne, czyste linie. - Wskazała stary odrestaurowany piec chlebowy, którego otwór zamieniono na oszkloną gablotkę mieszczącą cenną porcelanę.

- A do czego to mogłoby służyć? - spytała Sandra wciąż zaabsorbowana narzędziami.

Wszyscy skierowali wzrok na kawałek żelaza starannie powieszony na ścianie przy drzwiach.

- Nie potrafię ci dokładnie wyjaśnić - przyznał się Brian Pickering. - Znaleźliśmy to kiedyś w Walii. Całkiem niezłe, prawda?

- To jest sadzak - niespodziewanie odezwała się panna Standish. - Używany do robienia dołków przy sianiu. Mężczyzna albo chłopiec szedł przed siewcą i robił tym dołki wzdłuż kolein.

- Doprawdy? - szepnęła Mary Pickering - nie wiedziałam.

Panna Standish, ośmielona, mówiła:

- Wiem, bo pamiętam z dzieciństwa. Wtedy jeszcze ich używano, a na polach pracowały konie, nie traktory. Mam to przed oczyma, jakbym tam była. Śmieszne, prawda, jak takie rzeczy zostają w pamięci... - dokończyła przyciszonym głosem.

- Tak - powiedziała Sandra. - To fascynujące, ale teraz lepiej przejdźmy do sedna sprawy. - Poszperała w papierach, które trzymała na kolanach. Brian Pickering obszedł salon dolewając wina do szklanek. Nosił brodę, a ubrany był w drelichowe spodnie i kraciastą koszulę.

- Jeszcze? - spytał pochylając się nad Anną. Skinęła potakująco głową. Przypominał jej Grahama. Wyciszzonego, spokojniejszego Grahama, pomyślała, takiego, jakim mógłby być, gdyby wybrał inny zawód, gdyby podobały mu się dziewczyny w rodzaju Mary, a nie takie, za jakimi się ugania. Brian siadając po turecku na jednej ze szmacianych poduszek posłał jej z wnętrza swojej brody wilgotny, różowy uśmiech. Niemiły, pomyślała Anna, jak morski anemon wśród wodorostów, i podskoczyła poczuwszy na sobie surowy wzrok Sandry.

- Anno - Sandra zwracała się do niej - zreferuj nam stanowisko Wydziału Planowania.

- Oczywiście - przytaknęła i umilkła mówiąc w duchu do siebie: muszę uważać, sytuacja jest niezręczna, nie wiem jak im to powiedzieć. Jeszcze raz widziała się z panem Jewkesem, który, otoczony mapami i prognozami, z upoważnienia władz szkicował przyszłość Berkshire.

- Nie jest to - zaczęła - tak proste, jak myśleliśmy. Nie mamy tu do czynienia z firmą nastawioną na łatwy zysk. Właściciel przedsiębiorstwa stara się najwyraźniej o pozwolenie na wybudowanie bungalowów specjalnie zaprojektowanych dla ludzi starszych. Obiecuje przy tym utrzymać koszty na niskim poziomie i dać pierwszeństwo zakupu mieszkańcom Cuxing.

- Ha! Słyszeliśmy to już przedtem - przerwała jej Sandra.

- Bungalowy - obruszyła się Mary Pickering. - Ależ to okropne. Domy w tamtym osiedlu są przynajmniej ładne.

Jej mąż przytaknął ruchem głowy.

- Odniosłam wrażenie - mówiła Anna - że pan Jewkes solidnie podszedł do rzeczy. Nie jest to, jak się spodziewałam, żaden czarny charakter. - Uśmiechnęła się, lecz nikt z obecnych nie zareagował na dowcip. - Prawdę mówiąc czułam się trochę głupio. Po pierwsze dlatego, że nie zapoznałam się dokładnie z pismem firmy budowlanej, tak że pan Jewkes zdystansował mnie, jeśli można się tak wyrazić. Po drugie... - zawahała się - po drugie, dlatego że, przyznam szczerze, kiedy przedstawił mi wszystkie aspekty tej sprawy, jego rozumowanie wydało mi się sensowne. W naszym miasteczku rzeczywiście istnieje paląca potrzeba zapewnienia starszym ludziom dachu nad głową. W ogóle potrzeba mieszkań. Z drugiej strony dom Splatta znajduje się w opłakanym stanie. Zdaniem specjalistów, którym pan Jewkes zlecił ekspertyzy, remont, rekonstrukcja jest praktycznie niemożliwa.

Nikt się nie odezwał.

- Żałuję, że sama nie poszłam zobaczyć się z tym panem - powiedziała Sandra. Nie patrzyła na Annę. - Ale ostatnio mam tyle innych spraw na głowie.

Emerytowany profesor, który do tej pory milczał, włączył się do dyskusji:

- Ogłędnie mówiąc, jest tu kilka niejasnych punktów. Po pierwsze: jakie mamy gwarancje, że w tych domkach zamieszkają właśnie ci starsi ludzie z Cuxing, którzy ich potrzebują?

- Właśnie - wtrąciła Sandra.

- Co kryje się za obietnicą utrzymania kosztów na niskim poziomie? Jak niskim? A jeśli za tę cenę też nie znajdą się nabywcy? Po drugie, jak zauważyła pani Mary Pickering, istnieją ważne względy natury estetycznej, chodzi również o ochronę środowiska naturalnego. Każde osiedle usytuowane w tamtym miejscu wykracza poza obecne granice miasteczka, czy nie jest więc to tylko niewinny początek? Następnym krokiem będzie zabudowa wzdłuż drogi do Barton.

- Och, nie sądzę... - powiedziała Anna. - Wydaje mi się, że jest to odosobniony przypadek. Sprawa została bardzo dokładnie zbadana, rozważono wszystkie za i przeciw z większą odpowiedzialnością, niż przypuszczaliśmy... - zawahała się.

- No tak - powiedział profesor sucho - ten pan musi mieć wyjątkowy dar przekonywania. Odnoszę wrażenie, że przeciągnął panią na swoją stronę, proszę pani.

- To błędne wrażenie - powiedziała Anna poirytowana. - W dalszym ciągu uważam, że wiele przemawia za rekonstrukcją domu Splatta, lecz wydaje mi się, że działaliśmy zbyt pochopnie nie zbadawszy wszystkich aspektów problemu.

Brian Pickering wstał i obszedł towarzystwo dolewając wina. Usadowiwszy się ponownie na poduszce, zakładając ręce za głowę, powiedział:

- Muszę przyznać, że moim zdaniem wybudowanie bungalowów właśnie tam byłoby katastrofą. Ci starszycy mieliby z pewnością o wiele lepsze warunki w mieszkaniach w Reading, bliżej sklepów, szpitala itd.

- Słusznie - przytaknęła Mary Pickering - ten plan jest zupełnie nierealny.

- Prawdę mówiąc - wtrąciła Sandra - czuję w tym jakiś szwindel. Nie winię ciebie, Anno, wiem, że ci panowie potrafią przekonywać, ale musimy zająć zdecydowane stanowisko. Założę się, że właściciel firmy jest w zмовie z tym twoim panem Jakimś tam. Podobne kombinacje co rusz wychodzą na jaw, a my nie możemy dać się zwieść i zapomnieć, o co

walczyliśmy - o ocalenie wspaniałego starego domu. Pytam się - chcemy czy nie chcemy, żeby dom Splatta starto buldożerami z powierzchni ziemi?

W pokoju zaszumiało.

- Zebraliśmy się, żeby do tego nie dopuścić - stwierdził profesor. Podstawił swoją szklaneczkę i powiedział: - Tak, poproszę, dzięki, Brian.

Boże, myślała Anna, żałuję, że w ogóle przyszedłam. Siedziała przyglądając się porozwieszanym w salonie Pickeringów rdzewiejącym narzędziom, spostrzegła, że niektóre z nich, jak na przykład kowadło, były oczyszczone i wypolerowane. Nieskazitelnie czyste ostrze kosi błyszczało oświetlone reflektorkami. Annie przyszedł na myśl wiktoriański obraz olbrzymich rozmiarów, na którym widać było pole pełne uciekających, zdawało się, ludzi i starca symbolizującego Czas z takim właśnie narzędziem w ręku. Gdzie to mogło być? Prawda, w szkole, przypomniała sobie z zadowoleniem, w szkolnej jadalni. Codziennie patrzyło się na ten obraz znad talerza kartofli i wodnistej kapusty.

- Posłuchaj, Anno - mówiła Sandra. - Jeśli istotnie takie jest twoje zdanie, może wolałabyś zrezygnować z funkcji sekretarza komitetu? To trochę dziwne, jeśli nie jesteś w stu procentach przekonana o słuszności sprawy.

- Może tak będzie lepiej - zgodziła się Anna.

- A może pani Linton wolałaby całkowicie wycofać się z komitetu? - dodał profesor.

O Boże, westchnęła ubawiona tym Anna, teraz wszyscy zwierają szyki przeciw mnie. Analizując swoje uczucia stwierdziła, że znikło wcześniejsze podenerwowanie, uspokoiła się w miłej, przytulnej atmosferze salonu Pickeringów. Stary dworcowy zegar zawieszony na ścianie wybił dziewiątą. Poniedziałek wieczór, pomyślała, wtorek. Środa. A potem już czwartek.

- Och, nonsense - obruszyła się Sandra. - Przepraszam, nie chciałam nikogo obrazić. Anna jest oczywiście po naszej stronie, prawda, Anno? Naturalnie, że chce nam pomóc, ale jeśli czeka nas twarda walka, będziemy musieli atakować bardziej zdecydowanie. Według mnie trzeba...

Anna siedziała nie odzywając się, milczeniem wyrażając zgodę, kiedy profesor, krygując się trochę, przejął jej funkcję w komitecie. Omówiono strategię działania, przygotowywano pisma, naszkicowano program akcji. Mary Pickering, która dyskretnie opuściła pokój, wróciła niosąc tacę z pizzą. Częstowała każdego, obdarzając wszystkich jednakowym uśmiechem, ciepłym jak jej pizza.

Rozeszli się. Wsiadając do samochodu Sandra krzyknęła w kierunku zamykanych drzwi:

- Dzięki za przeżyły wieczór. - Wcisnęła się za kierownicę i spojrzała z ukosa na Annę.

- Mam nadzieję, że nie popsulo ci to humoru. Ten profesor wygląda na zaradnego faceta.

- Ależ tak - przytaknęła Anna - a ja absolutnie nie czuję się urażona.

- To dobrze. Masz przecież teraz tyle spraw na głowie, ojciec, dom... - I jakby nagle przyszedł jej do głowy nowy pomysł, ostro zmieniła bieg skręcając w główną drogę i jednocześnie spytała:

- A twój brat nie mógłby użyć swoich wpływów i załatwić nam dojścia do telewizji? Wiesz, może jakiś wywiad w rodzaju, jak to się źle dzieje, coś w tym stylu.

- Wątpię - powiedziała Anna. - On się takimi rzeczami raczej nie zajmuje.

- Szkoda. - Sandra milczała przez chwilę pochłonięta jazdą w łańcuchu czerwonych świateł mrugających w przodzie. Potem powiedziała:

- Ciekawi ludzie ci Pickeringowie, nie uważasz?

- Ciekawi? Nie znam ich aż tak dobrze.

- On jest dosyć pociągający, nie? Podobają mi się takie artystyczne typy. Udał wam się weekend?

- Mmm. Bardzo.

- Cudownie móc się tak wyrwać. Ja nigdy nie mogę wyciągnąć Jamesa z ogrodu w czasie weekendu. Tutaj cię wyrzucę, dobrze?

Budynek szkolny, w którym początkowo miał być zwykły ogólniak, powstał piętnaście lat temu. Obecnie, kiedy rozszerzono program liceum, ciągle go powiększano i rozbudowywano, a ciężkie pojazdy ekip budowlanych zamieniły parking w bajoro. Anna usiłując przez nie przebrnąć pomyślała znowu o panu Jewkesie, zastanawiając się, jakimi to pociągnięciami pióra zezwolił na postawienie nowego laboratorium językowego albo poszerzenie terenu boiska poza otaczającą je pierwotnie alejkę, sięgało teraz aż do pobliskich domów mieszkalnych. Zastanawiała się, czy te porozwieszane na ścianach jego gabinetu prognozy, mapy na rok 1990, podawały już z dokładnością do okrągłej dziesiątki, ile dzieci przejdzie przez oszklone drzwi szkoły za lat dziesięć? Prawdopodobnie tak. Co za przedziwne zajęcie, myślała, ujmowanie w statystykę faktów, które jeszcze nie zaistniały.

Przeszła pustymi korytarzami do gabinetu dyrektora i zapukała. Wchodząc zdziwiła się, że jest sam.

- Przepraszam - powiedziała - chyba źle zrozumiałam, wydawało mi się, że chodzi o zebranie rady pedagogicznej.

- Nie, Anno - powiedział Farrer. - Wezwałem tylko ciebie. Przepraszam, musiałem się niedokładnie wyrazić.

Do wszystkich zwracano się obecnie po imieniu, nawet do tych, którzy, jak Anna, przychodzili tylko na kilka lekcji w tygodniu. Farrer był człowiekiem nowym. Trzy miesiące wcześniej przeniesiono go z Londynu i objął stanowisko odchodzącego na emeryturę pana Heada. Anna mało go widywała. Mówiono, że jest ważną osobą w szkolnictwie, że jest pełen nowych pomysłów, bardzo radykalnych.

- Siadaj - zaprosił. - I lepiej od razu przejdźmy do rzeczy. Jak już najprawdopodobniej słyszałaś, wprowadzamy w szkole sporo zmian. Szczerze mówiąc, zmuszony byłem zrewidować program. Nie odpowiada wymogom obecnych czasów. Zbyt dużo w nim anachronizmów.

Przysiadł na krawędzi biurka, patrzył przez okno omijając Annę wzrokiem. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów, poczęstował ją, a potem sam zapalił.

- Nie winie, oczywiście, mego poprzednika. Nie całkiem - dodał. - Bardzo łatwo jest wypaść z torów właściwego myślenia o szkolnictwie, stracić orientację w nowych kierunkach. Pozostaje wiele do zrobienia. Cały program naszpikowany jest przestarzałymi pojęciami, a dzieciom trzeba dać szansę zgłębić nowe problemy. Rzecz w tym, że historia należy do tych przedmiotów, które musiałem przemyśleć. Nie będzie się jej już zdawało na maturze, co, obawiam się, oznacza, że jeśli nie zdecydujesz się prowadzić jakichś innych zajęć, nie będziemy mieli dla ciebie tych pięciu godzin w tygodniu.

- Uważasz, że historia to anachronizm? - zdziwiła się Anna.

- W zupełności. Przynajmniej historia w tej postaci, w jakiej uczono jej dotychczas. Historia jako fabuła. Do tej pory panowała zadziwiająca niewiedza na temat efektów tego typu kształcenia u dzieci. Czytałaś raport Hallidaya?

- Nie.

- Powinnaś. To szalenie interesujące badania, z których wynika, że dzieci poniżej lat piętnastu po prostu nie są w stanie przyswoić sobie historii w ujęciu chronologicznym. A my właśnie uczymy ich historii jak opowieści, fakty następują jeden po drugim.

- Przecież tak właśnie jest. Jedno wydarzenie następuje po drugim.

- Tak, ale to bardzo uczone podejście. Dzieci w tym wieku po prostu nie są do tego przygotowane.

- Absolutnie się z tym nie zgadzam - zaprotestowała Anna.

Farrer uniósł nogę opierając stopę o blat biurka, skrzyżował ręce obejmując nimi kolano i ponad nim spojrzął na Annę widząc ją jak gdyby po raz pierwszy.

- Naprawdę?

- Oczywiście. Moim zdaniem dzieci dziesięcio - i jedenastoletnie potrafią dokładnie pojąć, że Saksonowie przybyli przed Wikingami, którzy z kolei przybyli przed Normanami. Doprawdy nie wiem, jak inaczej można uczyć historii.

- Mój Boże - westchnął Farrer. Rozplótł ręce, wstał z biurka, obszedł je wokół i usiadł na krześle po drugiej stronie. Zdecydowanym ruchem otworzył teczkę leżącą na bibularzu i przez chwilę przeglądał znajdujące się w niej papiery.

- Skończyłaś uniwersytet? Anna się nie odezwała.

- Jednak nie masz uprawnień nauczycielskich. Nie myślałaś może o kształceniu się w tym kierunku? Kurs zaoczny, czy coś w tym rodzaju?

- Czego będziecie uczyć zamiast historii?

- Socjologii. I nauk społecznych, kilka osób z naszego grona pomogło opracować program. Uczniowie będą mogli wybrać.

- To żaden wybór.

- Słucham?

- Nie ma wyboru, jeśli nie ma alternatywy. Nie ma historii.

Farrer zamknął teczkę i przez chwilę stukał w nią końcami palców. Na okładce Anna zobaczyła wypisane: Linton, A.

- Słuchaj. Mnie naprawdę jest bardzo przykro. Wiem, co czujesz. Ale tak już jest. Czasy się zmieniają. Jesteś z wykształcenia historykiem, więc najlepiej to ocenisz - uśmiechnął się z perswazją. - A system szkolnictwa pierwszy musi przygotować się do tych zmian. Iść z duchem czasu. Musimy nieustannie myśleć o potrzebach naszych dzieci. O tym, co dla nich jest istotne.

Wstał, obszedł biurko wyciągając do niej rękę.

- Nie muszę oczywiście dodawać, że w tym wszystkim nie ma nic osobistego. Ceniliśmy twoją pracę i nie mam najmniejszej wątpliwości, że łatwo znajdziesz dla siebie posadę tu, w Berkshire. W technikum albo w którejś z prywatnych szkół.

- W bardziej odpowiednim dla mnie miejscu?

- Właśnie.

Anna opuściła gabinet i wyszła na słońce, gdzie żółte buldożery pracowicie adaptowały jeszcze kilka dodatkowych akrów ziemi Berkshire dla pożytecznej i produktywnej przeszłości.

- Wiesz, że historia to anachronizm? - spytała Dona.
- Naprawdę?
- Na to wygląda.
- Co masz zamiar zrobić w tej sytuacji? Facet ma rację, bez trudu znajdziesz dla siebie coś innego.
- Chyba nie będę zawracać sobie głowy - powiedziała - Może i ja muszę sobie pewne sprawy przemyśleć. Na przykład historię. Aha, mówiłam ci? Jutro jadę do Lichfield.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

James Stanway śnił, że gra w piłkę nożną, biega tam i z powrotem po boisku, a odkryte kolana bolą go z zimna. Przewrócił się i padając zarył dłońmi w jedwabście śliskie błoto i trawę. Wstał, wytarł ręce w szorty, lecz wszyscy gracze zniknęli. Był teraz w jakiejś klasie szkolnej, patrzył na tablicę, na której wypisano odmianę francuskiego czasownika. Przyglądał się wnętrzu swojej dłoni i słuchał, jak dyrektor skarży się na brak nauczycieli. „Słusznie” - przytaknął. „Słusznie. Wydaje mi się, że potrzebny jest tu jeszcze ktoś, na pół etatu chociażby. Poprę pana.” Za oknem hałasowały dzieci. Odczuwał niepokój, praca, myślał, muszę pracować, jest nieskończenie wiele rzeczy do zrobienia.

Obudził się ze świadomością, że to, co widzi, jest rzeczywiste, chociaż wszystko to mogłoby się wydawać nieprawdopodobne: i łóżko, i pokój, niewyraźnie widziany bez okularów, i ręce, żyłaste, sękate ręce w misce wody przed nim. Ręce starca.

Inne ręce, szczupłe, zwinne, opuściły się z góry, namydliły jego dłonie, wyjęły je następnie z miski, wytarły i położyły na kołdrze wzdłuż boków. - Moje okulary - poprosił, a jakiś głos, uprzejmy, młody kobiecy głos, odpowiedział: - Jest pan dzisiaj w dobrej formie. To miło. Posiedzimy potem w fotelu? - Miał już teraz okulary na nosie i pokój stał się trochę wyraźniejszy, ale nie za bardzo. Leżał myśląc o dawnym przyjacielu ze studiów, którego imienia już nie pamiętał, ale wiedział, że ów przyjaciel mieszka w Dorset i ma rude włosy. Jestem chory, myślał i próbował powiedzieć to dziewczynie, która to pojawiała się, to znikwała w zamglonych obrzeżach jego pola widzenia. - Jestem chory! - krzyknął, a ona uśmiechnęła się, wyprostowała poduszkę i wspomniała coś o herbacie. - Gdzie ja jestem? - pytał. Dziewczyna karmiła go łyżeczką, a potem podeszła do drzwi i z kimś rozmawiała. James Stanway obserwował cień wyrastający w nogach łóżka, co rusz zmieniający kształt. Denerwowało go, że nie może rozpoznać, co to jest. Drzewo? Chmury? - Okulary - powiedział. - Gdzie są moje okulary?

- Rano był bardzo compos mentis - mówiła pielęgniarka - ale obawiam się, że znów gdzieś błądzi myślami. Trudno się z nim porozumieć. Dobrą miała pani podróż?

Za jej plecami Anna zobaczyła ojca opartego o poduszki, mrugającego i coś mrużącego.

- Tak, dziękuję. Bez zmian?

- W zasadzie tak - odpowiedziała dziewczyna i dodała: - zasunę tylko story, światło mu chyba przeszkadza. Dziś rano coś nie dawało mu spokoju, ale biedak nie potrafi powiedzieć, o co chodzi. - Szarpnęła zasłony i podeszła do łóżka. - Tak lepiej? Zostawię panią na chwilę samą, dobrze? Wpadnę potem podać basen.

Anna siedziała obserwując ojca, czuła, jak ustępuje napięcie wywołane jazdą. Wyruszyła wczesnym rankiem i przed przyjściem tutaj wstąpiła już do domu w Starbridge. Zmienił się, myślała, jest inny niż dwa tygodnie temu, ale nie potrafiłaby określić, na czym ta zmiana polega. Stał się jakby mniej wyrazisty. Przypomniała sobie wszystkie eufemizmy nazywające śmierć odchodzeniem. Ojciec gasł, nie ponaglany przez nic ani nikogo, lecz tylko własną wolę. Stała nad łóżkiem i wzięła go za rękę. Nagle odwrócił głowę i całkiem wyraźnie zapytał: - Anna? - Uradowana przysunęła krzesło bliżej i zaczęła opowiadać o dzieciach, grządkach róż, które dziś wieczorem znowu opięli, o weekendzie w Cotswolds. Wyjęła z koperty plik fotografii i dwa albumy skompletowane przez matkę, urwane w 1965 roku, roku jej śmierci, za ostatnim wklejonym zdjęciem zostało jeszcze z tuzin pustych kart.

- Pomyślałam, że może zechcesz obejrzyć fotografie, tato. - Oparła album przed nim i przewracała strony. - Dobrze widzisz?

Powiedział coś o okularach, ale nie zrozumiała, więc mu je poprawiła.

- Boże, nie wiedziałam, że są tu aż tak stare zdjęcia. To pewnie ty z mamą w podróży poślubnej. W Kornwalii, prawda?

Spoza utrwalonych w kolorze sepia widoków Megavissey i St. Ives, jedną czy dwie karty dalej, wyłonił się Graham z twarzą podobną do sowy w czarnym wózku na dużych kołach, a potem ona sama w zawiniątku z szala, w ramionach matki. W trzydziestym ósmym, w roku Monachium, budowali na plaży zamki z piasku, w czterdziestym pierwszym paradowała w masce przeciwgazowej.

- Spójrz - powiedziała odwracając strony - pamiętam ją, pamiętam dom, gdzie mieszkaliśmy tamtego lata. Tato, jak nazywał się ten pies, którego przejechał samochód?

Ojciec wpatrywał się w zdjęcia, i od czasu do czasu mówił coś bełkotliwie. Raz czy dwa starał się po omacku zatrzymać jej dłonie, przeszkodzić w odwróceniu karty.

Graham i Anna rośli, zrzucali kolejne skóry, na zdjęciach przeobrażali się z niemowląt w dzieci, w dorastającą pannę i chłopca, potem w młodą kobietę i dorosłego mężczyznę. Pojawił się Don. Stał na trawniku mrużąc oczy od słońca - była jesień 1956, w tle, nie dopowiedziane, rozgrywały się

wydarzenia w Suezie i na Węgrzech. Ślub. Następne węzłki z niemowlętami w środku. Na ostatniej stronie, na zdjęciu zrobionym gdzieś w Krainie Jezior dwa miesiące przed śmiercią, oparta o furtkę stała matka Anny. Przytłoczona krajobrazem przypominała postacie z romantycznych obrazów, malowane na tle gór.

- To Saddleback? - zapytała - Saddleback czy Skiddaw?

Ojciec rzucił okiem na fotografię i zakaszał. Starła strużkę śliny, która wyciekła mu z kącika ust.

Cały kłopot w tym, zwierzała się ojcu, że zdjęcia pozostawiają tyle nieodmówień. Wszystko prawie zatajają. Nie ma, na przykład, śladu tej twojej przyjaciółki, której imienia jak dotąd nie znam, a która musiała czaić się za tymi wszystkimi fotkami. Jak Suez i Węgry, ją też można by tu dodać, pod warunkiem, że się wie o jej istnieniu. Zaczynam rozumieć, jak nieuchwytna jest przeszłość. To nie ciągłość wypadków, jak twierdzi Farrer, jest tak trudno pojąć, lecz ów długi cień, jaki rzucają. Wydarzyło się to, potem tamto, potem jeszcze coś innego. Ale jeśli się skupić wyłącznie na chronologii, nie dostrzega się innego wymiaru wydarzeń i otrzymuje się obraz, który wcale nie jest prawdą ani nawet częścią prawdy.

Ty na przykład, mówiła dalej, na tej fotografii przed kościołem w Starbridge, gdzie wszyscy promiennie się uśmiechamy, nie wiedziałeś, że tydzień przedtem byłam prawie gotowa wszystko odwołać. Potem, ogarnięta paniką, już nie mogłam. Szliśmy z Donem ulicą w Londynie, wysadzaną lipami - wtedy w pełnym rozkwicie i teraz też czuję ich zapach - a ja mówiłam do siebie w myśli: „Nie jestem pewna, czy chcę go poślubić, tak absolutnie, bezgranicznie pewna. Lubię go i prawdopodobnie Kocham, ale czasami odrobinę mnie irytuje.” Stłumiłam w sobie to uczucie, pobraliśmy się i koniec końców jesteśmy szczęśliwi. Chociaż niewiele obecnie już ze sobą rozmawiamy.

- A ty rozmawiałaś z mamą?

- Ach, rodzinne fotografie - powiedziała pielęgniarzka wchodząc - jak miło. - Zatrzymała się nad otwartym albumem. - Śmiesznie wyglądają te ubrania, prawda? A przecież to wcale nie tak dawno, sześćdziesiąty pierwszy rok, tak? Pomoże mi pani go podnieść?

W ich mocnym uścisku ojciec słabymi rękami próbował przytrzymać album, który zsuwał mu się z kolan.

„Otwarte okno - informowała wetknięta pod wycieraczkę kartka - świadczy, że znowu pani przyjechała. W zeszłym tygodniu spędziłem kilka chwil u pani ojca, obawiam się, że mnie nie poznał. Wpadnę później wieczorem, może da się pani wyciągnąć na drinka.”

Była to strona wyrwana z zeszytu, złożona we czworo i jeszcze na pół, jak liściki podawane w szkole z ręki do ręki przez cały rząd ławek, pomyślała. Przeczytała list jeszcze ze dwa razy, zaparzyła kawę i przeczytała jeszcze raz. Za oknem przejmująco słodko śpiewał drozd, wiosenna połyskliwa trawa porastała ogród od krańca do krańca, a słońce padające na plecy Anny było ciepłe jak dotyk ręki.

Poszła na górę do łazienki, a potem kąpiąc się leżała uśmiechnięta, wpatrzona w pomalowany na żółto sufit.

- Pomyślałem, że moglibyśmy wyprawić się gdzieś dalej - powiedział Dawid. - W Yoxley jest wcale niezła knajpa. Co pani na to?

Nad domem naprzeciw pojawił się złoty, zasnuty delikatną mgiełką księżyc, pełniejszy niż dwa tygodnie temu.

- Od naszego ostatniego spotkania nie byłem na rybach - dodał - stale mi coś przeszkadza. Teraz w czasie ferii będzie okazja...

Kiedy wsiadali do samochodu, wciąż mówił nie patrząc jednak na Annę. Manipulował kluczykami, włączył silnik, zbyt raptownie wyjechał na ulicę i zahamował w momencie, kiedy zza rogu wyłoniły się światła innego auta.

- Przepraszam.

Mężczyźnie, którego się prawie nie zna nie wypada przecież powiedzieć: „Uspokój się”, ani kojąco (a może przeciwnie) położyć mu ręki na udzie, chociaż miałoby się nie wiem jaką ochotę to zrobić.

- Dobry miał pan tydzień? - spytała.

- Dwa tygodnie. Dwa tygodnie i dwa dni.

Też to wiem.

- ...Taki sobie. Wciąż ten sam młyn. No, nie całkiem. Odbyłem rozmowę z rodzicami jednego z uczniów, którzy mnie zadziwili, opowiem pani. Mary rozbiła samochód. Ten należy do przyjaciela.

Mary. A więc ona nazywa się Mary.

- Mam nadzieję, że jej samej nic się nie stało?

- Nic. A co u pani? Też już po robocie?

- Trafnie powiedziane. Zwolniono mnie. Czy słyszał pan, że historia w ujęciu chronologicznym jest zbyt skomplikowana, zbyt trudna dla piętnastolatków?

- Nie. A o co chodzi?

Siedząc w pubie w Yoxley, podczas gdy odwrócony do niej plecami Dawid czekał na swoją kolej przy barze, przyglądała się zawieszonym na przeciwległej ścianie litografiom, które wydawały się połączone ze sobą jakąś treścią, jak komiks - oto przed dickensowską gospodę zajazdza dylizans, a tu wczesnowiktoriańscy ziemianie na polowaniu, dalej podobni

do nich ludzie bawią się hucznie wokół obficie zastawionego stołu. Odwróciła głowę i zauważyła, że Dawid przygląda się jej z daleka.

Przyniósł drinki i powiedział:

- Spotykałem takie typy na konferencjach. Obawiam się, że wysoko zajdzie.

- Naprawdę? Tak pan myśli?

- To całkiem prawdopodobne. W szkolnictwie tacy teoretycy zazwyczaj wysoko zachodzą. Nawet, kiedy ich teorie są z gruntu złe. Dam pani pracę u mnie. Niech się pani przeprowadzi do Staffordshire.

- Jakżebym chciała - odparła, a potem w obawie, że zapadnie cisza, pośpiesznie dodała - miał mi pan opowiedzieć o jakichś rodzicach...

Pod koniec wieczoru, idąc do toalety, przypadkiem spostrzegła w lustrze własną twarz, powtórzone odbicie z innego lustra po przeciwnej stronie. Zobaczyła kobietę, nie wyglądającą, jej zdaniem, na czterdziestolatkę, uśmiechającą się do siebie i szukającą w torebce grzebienia. Przez ułamek sekundy wydała się sobie kimś obcym albo dawno nie widzianą i na wpeł zapomnianą przyjaciółką. Sympatyczna - pomyślała - to ja sympatycznie wyglądam. I całkiem niebrzydko. Ta reakcja zaskoczyła ją, nigdy nie była próżna. Nigdy też nie interesowała się zbyt własnym wyglądem i z ulgą otrząsnęła się z owej nieśmiałości typowej dla młodej dziewczyny. Dziwna nagroda, myślała, po latach zaniedbywania siebie okazać się całkiem atrakcyjną kobietą, na pewno nie gorszą od tych, które poświęcały czas i energię na pielęgnowanie urody. Uczesała się i umyła ręce. Przeglądając się w lustrze przypomniała sobie, że matka zawsze podkreślała związek ładnego wyglądu z samopoczuciem. „Nie można mieć przyjemnych myśli i wyglądać brzydko - mówiła. - Człowiek ma wypisane na twarzy, co czuje.” To nieprawda, oczywiście, to wcale nie jest prawda. Chyba że w grę wchodzi to wyjątkowe uczucie. I dlatego nie wolno mi wyglądać tak jak teraz. Mogę, mówiła do swojej twarzy w lustrze, mogę się bardzo mylić, mylić gruntownie i całkowicie. Byłby to najstraszliwszy i najbardziej żenujący błąd, i właśnie dlatego, pomijając też inne liczne względy, nie wolno mi tak wyglądać. Wróciła do stolika usiłując przywrócić twarzy obojętny wyraz.

Dawid myślał: nigdy nie żałowałem, że nie mam pieniędzy, nie mam psychiki bogacza, nie przywiązuję specjalnej wagi do majątku. Czerpię wiele satysfakcji z pracy, olbrzymią radość sprawiają mi moi synowie. Do innych rzeczy się przystosowałem. Do tej pory nie uważałem nigdy, że życie obeszło się ze mną zbyt surowo. Nie nazwałbym siebie człowiekiem niezadowolonym.

Poderwał się na widok wracającej Anny i zaproponował: - Pójdziemy? - W drodze do samochodu trzymał się od niej w pewnej odległości, a kiedy już wsiedli, Anna spytała:

- Pański samochód bardzo ucierpiał?

- Da się jeszcze naprawić - odpowiedział. Włączył silnik, a wyjeżdżając z parkingu dodał: - Moja żona prawdopodobnie straci prawo jazdy. Za dużo wówczas wypła.

- To przykre - powiedziała Anna po dłuższej chwili.

- Nie jechałem z nią wtedy. Nie była na żadnym przyjęciu ani w towarzystwie. Rzadko gdzieś chodzi. Po prostu, od czasu do czasu sięga po butelkę. To trwa już dość długo.

Ujechali prawie kilometr w milczeniu.

- Nie jest alkoholizką - mówił Dawid - przechodzi kryzys, jeśli to jest właściwe słowo. Ale porozmawiajmy o czymś weselszym. Jak przebiega kampania na rzecz ochrony zabytków? Mam na myśli tę starą, opuszczoną rudere.

- Och - westchnęła - znalazłam się w kropce. Dawid wysłuchał całej historii, raz czy dwa zaśmiał się cicho w ciemności.

- Z relacji pani wynika, że Berkshire to przedziwne miejsce. Chociaż tutaj też są podobni ludzie, tylko ja nie bywam w ich kręgach. A więc ma pani zamiar zostawić dom Splatta na pastwę losu?

- Nie wiem - przyznała się. - Naprawdę, nie wiem. Zajechali przed dom. Już z ręką na klamce powiedziała:

- Dziękuję. Sprawił mi pan olbrzymią...

- Spotkamy się jutro w Lichfield? Zjemy razem lunch.

- Dobrze. Z przyjemnością.

- Po wizycie u ojca.

- Tak - zgodziła się. - Świetnie.

- No to na razie - powiedział Dawid. - Zobaczymy się jutro.

- Ale gdzie?

- Racja. Gdzie? Gdzieś w centrum. Może w pobliżu katedry? Albo nie, lepiej spotkajmy się na skwerze.

- Może przy domu Johnsona?

- Zgoda. Dom Johnsona będzie najlepszy.

- Koło wpół do pierwszej?

- Koło wpół do pierwszej - powtórzył.

Pojechał do siebie, wstawił samochód przyjaciela do garażu, podniósł porzucony na podjeździe rower syna i oparł go o ścianę. Wszedł do domu, wsłuchiwał się w dochodzący z łazienki odgłos lejącej się wody. - Wróciłem

- zawołał ku górze, a przekrzykując szum, kobiecy głos odpowiedział: - Słyszałam. - Zajrzał do sypialni młodszego syna i chwilę przyglądał się zarysowi postaci skulonej pod kołdrą. - Cześć, tato - powiedział starszy chłopiec wychodząc z ubikacji. - Cześć - rzucił Dawid i poszedł do swojego pokoju. Rozebrał się i leżąc w łóżku wpatrywał się w okno. Szczęknięty drzwi łazienki, a potem inne drzwi otworzyły się i zamknęły. Zgasił światło.

Po urodzeniu Paula Anna płakała. Wyła wpatrzona w sufit szpitalnego pokoju, a Paul ryczał w łóżeczku obok. Don, który, z powodu sprzecznych wiadomości, nie zdążył na czas przyjechać z biura, całkowicie skonsternowany tym, co zobaczył, zapytał: „Co ci jest?” if wzrokiem pełnym wątpliwości wpatrywał się w Paula. „Nic. Odprężenie. Odczuwam ogromną ulgę.” Don ostrożnie pogładził niemowlę: „Ulgę? Dlaczego?” „Że nie ma dwóch głów, że niczego mu nie brakuje.” „Co za absurd! O czymś takim nigdy nawet mowy nie było” - odpowiedział Don. Przysiadł na krześle przy łóżku i wziął ją za rękę. „To naprawdę nie jest moment, żeby płakać - powiedział. - Przestań, proszę.”

Maleńkie, żywe niemowlę stanowiło dla niej tak gruntowną odmianę po okresie rozmyślań nad zamążpójściem, ślubem, życiem w małżeństwie. Oto, co z tego wszystkiego wynikło. Paul czerwony i zły leżał w swoim łóżeczku jak poczwarka, której przyszłość tonęła w mroku. Osiągnie wiek dojrzały czy nie? Umrze w niemowlęctwie, a może, kiedy będzie jeszcze dzieckiem, nastąpi koniec świata? Annę dławił lęk nie z powodu niego, lecz o niego. „Na miłość boską - uspokajał ją Don - wszystko będzie dobrze, zobaczysz.” Piętnaście lat później musiała przyznać, że miał rację. Paul chował się zdrowo i nic nie wskazywało, że drzemie w nim ta wszechmocna siła, dobra czy zła, którą obdarzyła go jej wyobraźnia. Po prostu był, i nie potrafiła sobie wyobrazić świata bez niego.

Myślała o tym wszystkim ubierając się i jednocześnie wyglądała przez okno na ogród, gdzie na jednej z różanych grządek widać było przetrzebione trochę chwasty, efekt wysiłków sprzed dwóch tygodni. Gdzie indziej panoszyły się krzyżownik i perz. Myślała o synu Dawida Fieldinga urodzonym mniej więcej w tym samym czasie co Paul i o kobiecie, która dała mu życie, a która niekiedy za dużo piła. Zeszła do kuchni i zaparzyła kawę, za oknem jaśniał wiosenny dzień. Ogarnęło ją nagłe zdumienie nad następowaniem po sobie pór roku, nieustannym przechodzeniem z jednego stanu w drugi, zmiennością, w której żyjemy, i jej pięknem. Wierzby na pastwisku eksplodowały zielenią, cały krajobraz krył w sobie obietnicę rozkwitu. Czy zawsze tak jest, zastanawiała się, czy zawsze przeczuwamy, że coś nieuchronnie nastąpi? Siedziała zapatrzona w ogród i przypominała

sobie, że w dzieciństwie zawsze tak gorąco pragnęła zatrzymać chwilę szczęścia, nie dopuścić, żeby minęła, trwać w niej wiecznie. Pomyślała: zrobię coś z pozoru głupiego, na lato posieję kwiaty w ogrodzie. Wzięła portmonetkę i poszła do miasteczka zobaczyć, jakie nasiona uda jej się kupić.

W ich pierwszym domu na przedmieściach Londynu, tam gdzie urodził się Paul, zrobiła to samo. Dumna była z tamtego domu. Don natomiast nie. Dla niego to był przystanek, prowizorka, najlepsze, na co nas teraz stać. „Wcale nie pragnę - mówiła - wytwornego georgiańskiego domu w Kensington. Mnie podoba się ten, jest ładny, w sam raz.” Pucowała jego brzydkie, zakończone łukiem okna typowe dla lat trzydziestych, a w długim, wąskim ogródku sadziła maleńkie roślinki. Wzrastały razem z Paulem. Don pracował wtedy w dużej londyńskiej kancelarii adwokackiej jako stażysta. To też było tymczasowe, zdawała sobie sprawę, że czeka na propozycję spółki w dobrze prosperującej firmie na prowincji i we właściwym czasie (akurat po wakacjach w Poppet Sands, kiedy Paul miał już sześć albo siedem lat) nadeszła odpowiednia oferta. Z niejakim żalem zostawiała wypieszczony dom i rośliny, które, zależnie od gatunku, sięgały teraz jej pasa, pięły się po krawędzi muru czy wyrastały z grządek aż na ścieżki. Przeprowadziła się, a raczej przeprowadzono ją, do Cuxing. „O co ci chodzi? - pytał Don. - Na litość boską, to o wiele lepszy dom, i znowu kupiłem go za pół darmo. Przecież zawsze chciałaś mieszkać na wsi.” Od nowa sadziła rośliny, chociaż teraz uświadomiła sobie, że od pewnego czasu już tego nie robi. Obecnie patrzyła, jak wszystko rośnie, zauważała ze zdumieniem, że pnąca róża, zasadzona zaraz na początku, sięga już rynny, że budleje są stare i mają zdrewniałe łodygi i powinno się je ścinać tuż przy ziemi, że skalny ogródek zarósł i w gęstwinie prawie nie widać kamieni.

Nasiona sprzedawano na pocztę. Próbowwała sobie przypomnieć, z czasów, kiedy mieszkali na przedmieściach Londynu, co należy siać na odkrytej przestrzeni, i wybrała czarnuszkę, nagietki oraz coś, co na zdjęciu na torebce wyglądało kolorowo i przypominało malwy. Wracała obok cmentarza, starszy mężczyzna ręczną kosiarką strzygł trawę między nagrobkami, a w głębi, w gniazdach uwitych wśród gałęzi drzew świergotały gawrony. Stała nasłuchując, a mężczyzna zatrzymał się, wyprostował i zobaczył ją.

- Dzień dobry. Ładny mamy dziś dzień - zagadnął.

- Śliczny poranek, prawda? - odpowiedziała mu. Widząc torebki nasion, które trzymała w ręku, powiedział:

- Przyjemnie myśleć o przyszłości - i dodał: - ale ziemia jest jeszcze trochę przemarznięta.

- Naprawdę? - zaniepokoiła się. - Myśli pan, że za wcześniej?

- Nie - odpowiedział - tylko trochę słońca, tego nam teraz potrzeba. Niech pani posieje, wzejdą.

Wróciła do domu, odnalazła widły i grabie i poszła przygotować grządkę. W końcu ogrodu, za trawnikiem, tam gdzie zaraz zaczynało się pastwisko, znajdowało się miejsce, gdzie ojciec zawsze uprawiał warzywa, trochę sałaty, marchew, kilka rządków szpinaku. Wykopała widłami ubiegłoroczne rośliny, wzruszyła ziemię, usunęła chwasty. W dali na łące, zawodziły czajki, momentami, kiedy podniosła głowę, widziała je spadające z nieba w rytualnym locie godowym, zniżające się spiralą na trawę, jak wytracające szybkość samoloty. Niewidoczna rzeka przepływała po kamieniach na płyciźnie.

Oczyściła grządkę i byle jak wysiała kwiaty, potem zagrabiła ziemię. Uświadomiła sobie, że wyjdzie z tego galimatias, jej klomb będzie wesoły i bez gustu, jak ogródek dziecka. Wyrwała z żywopłotu kilka patyków, nadziała na nie puste opakowania po nasionach, jak chorągiewki, i wetknęła w ziemię. Kiedy przy tym ukłękła, znowu ożyło wspomnienie z lat dziecięcych, z wakacji w Southwold. Ukucnęła na wilgotnym piasku, żeby zbudować zamek, a ojciec z kawałka wyrzuconego przez fale na brzeg drewna i rozerwanej torebki po cukierkach zrobił chorągiew na blanki. Widziała jego twarz, fajkę w kąciku ust, smużkę dymu unoszonego podmuchem ostrego wiatru Wschodniej Anglii. W głębi plaży na kocu siedziała matka, robiła na drutach. Graham, prezentując nagi kościsty tors, stał na samym brzegu, ubrany w szorty do kolan. Było to latem, trzydziestego ósmego roku, kiedy rozegrały się wydarzenia w Monachium. Los szykował już wojnę, dla ojca awans do ministerstwa, a dla reszty rodziny ewakuację do Walii. W bliskiej przyszłości pojawić się miała również pani X, która pewnego wietrznego dnia, około czterdziestego roku, stoi w Dorset u boku ojca, a rozwiane włosy zasłaniają jej twarz, skrywając jej tożsamość. I dopóki nic się nie wie i nie przyjrzy dokładniej, nie widać wcale, że to nie mama, że to figura i postawa innej kobiety.

Anna stała chwilę podziwiając brunatną, świeżo oporzadzoną grządkę i nie mogła nadziwić się, że teraz owa naga jeszcze ziemia zasilona została energią uśpioną w nasionach. „Kwitnienie - lipiec/sierpień”, informowały napisy na torebkach. Nasiona potwierdzały nieuniknione nadejście lipca, lata, innych czasów.

Przyszła od strony parkingu. Dawid stał przed domem, w którym urodził się Samuel Johnson, i patrzył w przeciwną stronę. (Jak Don, w niepamiętnych już czasach, pod zegarem na dworcu Paddington. Nie, nie. Wcale nie tak.) Minęła odlany z brązu i ustawiony na cokole wytworny posąg Boswella i plecy zadumanego Johnsona. Odgradzona od Dawida czekającą na przejazd ciężarówką, usiłowała zetrzeć z twarzy ów wyraz, z którym naprawdę nie wypadało jej się afiszować. Kiedy ciężarówka ruszyła, ujrzała go na wprost siebie. Dostrzegł ją nareszcie, a jego twarz stanowiła odbicie jej własnej.

To nie była straszliwa pomyłka, lecz prawda.

- Nie wiem, gdzie panią zaprosić - powiedział Dawid.

- Gdziekolwiek.

Usiedli w jednym z barów szybkiej obsługi w Lichfield,apełnionym teraz pracownikami pobliskich biur. Były tu czerwone plastikowe krzesła, w rogu szafa grająca z napisem „nieczynna”, a do jedzenia oferowano wybór pomiędzy zimną przekąską i kanapkami (z szynką, serem, gotowaną wołowiną).

- Zaraz pewnie jedzie już pani do domu - powiedział Dawid.

- Tak, niedługo. Obiecałam wrócić na kolację.

- Obawiałem się, że tak będzie.

- Przyjadę znowu.

- Wiem. Muszę się tym zadowolić. Spacerowali wokół katedry i Anna stwierdziła:

- Nie jest tak ładna, jak bywają katedry.

- Możliwe. Wewnątrz jest ciekawsza.

- Najbardziej podoba mi się katedra w Norwich, potem w Canterbury.

Potem chyba ta w Durham. Nie, w Yorku.

- Sławna jest też katedra w Gloucester.

- Nigdy jej nie widziałam.

- Wybieramy się tam przecież razem.

- Tak. Prawda.

Szwadrony kaczek patrolowały staw obok parkingu, rysując na powierzchni wody kryształowy wzór.

- Żałuję, że pani odjeżdża - powiedział Dawid. - Jak długo trwa droga?

- Zazwyczaj trzy godziny. Jeszcze pięć minut i ruszam.

Usiedli na ławce, kaczki przyglądały im się z uwagą. Dawid wziął Annę za rękę, a ona patrząc na ptaki, wodę, ściany z czerwonego piaskowca myślała: myliłam się co do katedry. W rzeczywistości jest wspaniała, o niebo przewyższa tę w Norwich.

- Teraz już naprawdę muszę iść - powiedziała. - Dochodzi czwarta.

Za Lichfield wjechała w deszcz. Ogromne, apokaliptyczne tęczowe łuki obejmowały ziemię, strugi wody rozbijały się o przednią szybę, a potem spływały na prawo i lewo. Jechała szybciej niż zazwyczaj, z szosy A 446 skręciła w A 452, potem w A 41, a w końcu w A 423. Za samochodem rozwijała się wstęga szosy zagarniając Lichfield, Coleshill, Kenilworth, Banbury. Ona sama została na ławce w Lichfield, przed sobą widziała kwaczące kaczkę unoszące się na lekko wzburzonej wodzie, w której odbijały się drzewa i mury z czerwonego piaskowca. To ktoś inny, jakiś sprawny robot, z nogą na pedale gazu, dobrze znający się na wszystkich wskaźnikach, dojechał do Cuxing, wprowadził samochód do garażu, wziął jej płaszcz i torbę i wszedł do domu.

- Nikt z nas oczywiście nie przypuszczał, że oni tak szybko zaczną działać - mówiła Sandra. - To znaczy, wiedzieliśmy bardzo dobrze, że nie mamy zbyt wiele czasu, ale nikt nie myślał, że tak zaraz przyjadą buldożery. Całe pole to praktycznie plac budowy. Anno, dobrze się czujesz?

- Tak. Nic mi nie jest.

- Wyglądasz na trochę zmęczoną. W każdym razie profesor Sidey okazał się bardzo energiczny i zabawiał się w detektywa, porozmawiał z robotnikami, no wiesz. Wywnioskował, że chcą przystąpić do burzenia domu zaraz po Zielonych Świątkach. I wtedy my wkroczymy do akcji.

- Jakiej akcji?

- Musimy coś zrobić. Chyba urządzimy demonstrację. Zakładając oczywiście, że sposoby pokojowe zawiodą i nie uda nam się doprowadzić do cofnięcia decyzji o budowie nowego osiedla.

- Rozumiem.

- Sądziłam, że cię to zacieka, a widzę, że jest ci jak gdyby wszystko jedno.

- Przepraszam, Sandro. Ostatnio źle sypiam.

- Masz ci los! A więc uprzedzamy wszystkich, żeby byli gotowi stawić się na zawołanie. Obawiam się, że nie zawiadomią nas o terminie. Rozdajemy ulotki, a Brian Pickering pilnuje przygotowania transparentów i innych rzeczy.

- Macie zamiar usiąść na ziemi i zatarasować spychaczom drogę?

- Nie ma w tym nic śmiesznego - Sandra zareagowała podejrzliwie. - W każdym razie liczę, że i ty tam będziesz. Wciąż jeszcze należysz do komitetu, prawda?

Nie mam pojęcia, kiedy wypadają Zielone Świątki, myślała Anna. Przyznam się, że nie mam pojęcia, kiedy wypada cokolwiek z wyjątkiem

przyszłego tygodnia. Przepraszam, przepraszam - widzisz, zakochałam się i to mnie bez reszty pochłania.

- Pickeringowie to nasza największa podpora - ciągnęła Sandra - i profesor Sidey. Za to panna Standish trochę przeszkadza, ale nie chcemy robić jej przykrości.

- Dzwoniłeś w czwartek wieczorem? - spytała Dona.

- Nie. Dlaczego pytasz?

- Wychodziłam, bałam się, że mogłeś mnie nie zastać.

- Trzy minuty rozmowy z Lichfield kosztują teraz piętnaście pensów - powiedział Don. - Nie ma sensu dzwonić, chyba że jest coś ważnego. Słusznie.

- Nie ma sprawy - powiedziała. - Myślałam tylko, że a nuż.

Kiedy dzieci były małe, przypomniała sobie, lubiły namawiać mnie, żebym spróbowała dokonać niemożliwego wyczynu polegającego na tym, że rękę wzniesioną nad głową obraca się w jednym kierunku, a drugą, położoną na brzuchu, w przeciwnym. Jest to niewykonalne, mózg się buntuje. Ale przecież ten sam mózg, czy inny organ kontrolny, godzi się na współistnienie sprzecznych uczuć. Jak jest możliwe przeżywanie radości i winy, jedno tuż po drugim albo nawet równocześnie? I to z intensywnością nie odczuwaną od dzieciństwa.

Czy od co najmniej 1956 roku, jeśli chodzi o radość, wspomnienia winy szukać by trzeba w bardziej odległych czasach.

Kiedyś, doskonale wiedząc, że tego nie wolno, zakradłam się do gabinetu ojca i buszowałam w jego papierach na biurku (aha! oto stąd bierze się to niemiłe uczucie towarzyszące mi przy segregowaniu notatek ojca). Nagle potrafiłam kałamarz. Przez jeden straszny moment, który wywołał u mnie skurcz żołądka, kałamarz przechylał się, a niebieskoczarny atrament marki Quink zalewał bibularz, papiery, biurko, podłogę... Uciekłam i skulona przyczaiłam się w najdalszym zakątku ogrodu, czekając.

Na co? Na karę? Spokój ducha?

Od tej pory tylko niekiedy doświadczałam uczucia winy - zaniedbywanie od czasu do czasu obowiązków matki czy gospodyni, opuszczone zajęcia w szkole, z powodu bólu głowy czy nudy, zawód (niewielki) sprawiony przyjaciółom lub bliskim. Już prawie nie pamiętam owego intensywnego, palącego trzewia doznania.

Radość.

Obluzowana szprycha w kole roweru, Leckford Road, hotel w Kensington (teraz zburzony). Potem tylko cienie radości. Echo. Świadcstwo minionych przeżyć. Tak jak Paul i Judy też są jakimś tam świadectwem.

- Masz ochotę na bekon? - zapytała Paula. - Grzyby? Grzanki? Coś jeszcze?

- Tak, poproszę. Co ci się stało? Myślałem, że tylko w niedziele jemy gorące śniadania.

- Dziś mam gest.

- Wspaniale. Myślałem, że pewnie gniewałaś się na mnie, albo coś takiego.

- Gniewałam?

- Kiedy byliśmy mali, a ty sprąsałaś albo nakrzyczałaś na któreś z nas, to potem długo byłaś okropnie miła. Jakbyś chciała to naprawić. A dostanę jeszcze do tego jajko?

- Tak było?

Za oknem wiosna jest o cały tydzień zieleńsza, a ogrodowa ścieżka za kuchennymi drzwiami prowadzi do dróżki, ta do ulicy, ulica do szosy A 423, tamtędy do A 41, potem skręt w A 452, potem już A 446.

Dawid Fielding siedział przy łóżku Jamesa Stanwaya i zwierzał mu się:

- Kocham pańską córkę i w tym cały problem. Naprawdę nie wiem, jak to się stało - mówił - dla mnie to coś zupełnie nowego. Od bardzo dawna, a może nawet nigdy, nie doświadczyłem podobnego uczucia. Ogarnia mnie wewnętrzny niepokój jak niektórych uczniów powierzonych mojej opiece.

James Stanway zobaczył, że cień w nogach łóżka chwieje się, poszerza i wyrzuca z siebie inny cień, który pochyla się nad nim, a potem siada obok. Odwrócił głowę, by mu się przyjrzeć, a wtedy męski głos zapytał, jak się czuje.

- Niedobrze - powiedział. - Nie czuję się dobrze.

Cień milczał i James Stanway od razu o nim zapomniał. W myśli opuścił to nieokreślone miejsce i poszybował gdzie indziej, tam gdzie jego żona stała na tle góry oparta o furtkę, a potem jeszcze dalej, gdzie małe dzieci sypały mu piasek na stopy.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na południu Londynu, w wynajętej przez telewizję na czas prób auli szkolnej, na brzegu podium siedział Graham i przyglądał się dyżurnemu planu, który kredą zaznaczał na podłodze kontury ustawienia sceny. W przeciwnym końcu sali wchodzący aktorzy patrzyli na siebie badawczo i nalewali sobie kawę z automatu. Zauważył, że nowa dziewczyna jest drobną, żywą blondynką. Zeskoczył na podłogę, przechodząc przez salę zatrzymał się, by sprawdzić kąt ustawienia kamery, i powiedział do niej:

- Hej! Wydaje mi się, że się jeszcze nie znamy. Graham Stanway.

Odpowiedziała przelotnym i raczej zdawkowym uśmiechem (sztucznym, aktorskim, chociaż miała tylko dziewiętnaście lat).

- Wszystko OK? - zapytał. - Gdyby coś było nie tak, zawołaj.

Lecz w tej właśnie chwili podeszła Jenny, jego asystentka, i odrywając na moment wzrok od notatnika rzuciła, że ktoś, kogo skierowano ze studia, czeka przy telefonie. Przebrnął przez las pustych wieszaków w garderobach, znalazł telefon z odłożoną na bok słuchawką i usłyszał głos Anny:

- Co ty, u diabła, robisz w jakiejś szkole dla chłopców?

- Pracujemy w takich miejscach. Zwalił mi się na głowę nowy serial historyczny, osiem odcinków. Coś się stało, Annie? Ojciec?

- Nie, z ojcem bez zmian. Chciałam ci tylko dać znać, że jutro jadę do Lichfield, to wszystko.

- To dobrze. Poczciwa jesteś - powiedział. - Nie męczyci cię jednak to ciągle dojeżdżanie? Masz przecież dom, dzieci.

- Daję sobie jakoś radę.

- Co na to Don?

- Nic, przyzwyczaił się. Postaraj się wkrótce znów do nas wpaść.

- Na pewno przyjadę. Świetnie, kotku, muszę pędzić. Zawiadom mnie, jak ojciec się czuje. To na razie.

Wrócił tą samą drogą między wieszakami i zobaczył nową popijającą kawę z aktorem, który grał główną rolę.

- W porządku - rzucił. - Zaczynamy, dobrze? Wszyscy gotowi? Jenny, scena na zamku, OK?

Żołądek już mu dokuczał, a przed nim jeszcze osiem godzin pracy.

Nigdy przedtem, myślała Anna, nie przyszło mi do głowy, że wieże chłodnicze mogą być piękne. Ani też, że ogródki przed domami są nieskończone w swojej różnorodności. Ani, że zwały chmur na niebie przybierają kształty zamków i katedr. A jeśli pola zawsze mają taki kolor pod koniec kwietnia, to też chyba umknęło mojej uwagi. I nigdy dotąd,

zatrzymana w ulicznym korku, wciśnięta pomiędzy dwie trzęsące się ciężarówky, nie nuciłam lub przynajmniej nie próbowałam nucić zapamiętanych kawałków z Wesela Figara. Prowadzenie samochodu też nie sprawiało mi specjalnej przyjemności. I z pewnością nigdy nie uświadamiałam sobie, że jazda drogami znanymi od lat może w ciągu trzech tygodni zmienić się w święty rytuał.

Podjechała pod dom ojca, wysiadła z samochodu, otworzyła frontowe drzwi. Na wycieraczkę leżała szara urzędowa koperta zaadresowana do ojca. Domyśliła się, że zawiera potwierdzenie opłaty za telefon. Rachunek sama uregulowała poprzednim razem. Weszła do kuchni i gdy stała przyglądając się uschlým żonkilom, ściętým tydzień temu, w hallu zadzwonił telefon.

- Hej, już pani jest. Kiedy pani przyjechała...? Nic nie wiedziałem. Telefonowałem już wcześniej. Myślałem, a nuż...

- Skąd pan dzwoni?

- Z Lichfield. Mógłbym przyjechać prosto do Starbridge, dobrze?

- To czajki nad rzeką - powiedziała. - Sypiałam w tym łóżku przez dwadzieścia kilka lat i nigdy tego nie słyszałam.

Podniosła rękę Dawida leżącą na jej piersiach i dotknęła wypukłej blizny na kciuku.

- Zagoiło się już. Kiedy się skaleczyłeś, do głowy mi nie przyszło, że pewnego dnia będziemy razem. A tobie?

- Mnie tak. Przyznam się, że prawie o niczym innym nie myślałem.

- Kłamię. Po prostu nie chciałam dopuścić do siebie tej myśli. Sądziłam, że coś jest ze mną nie tak. Kiedy wracam do domu, wydaje mi się, że istniejesz tylko w mojej wyobraźni. Myślałam, że przyjadę tu i okaże się, że nigdy naprawdę ciebie nie było.

- Ale jestem. Czujesz?

- Czuję. To było wspaniałe.

I zadziwiające. Robić coś, co samo w sobie jest tak znajome, co robiłam już z tysiąc razy, i odkryć, że jest nowe i niezwykle. Leżeć obok drugiego nagiego ciała, pod nim, na nim, obejmować udami nieznaną udą (nie słyhać wtedy krzyku czajek), być uniesioną szczęściem kobietą, a jednocześnie chłodną i zdumioną obserwatorką własnych przeżyć.

- Co znaczy, było? - powiedział Dawid. - To jeszcze nie koniec.

- Już druga, nie jedliśmy jeszcze lunchu. Zejdę na dół usmażyć omlęt. Chcesz?

- Może później. Nie teraz.

- To mi się nigdy przedtem nie przytrafiło - powiedziała. - Chciałam tylko, żebyś o tym wiedział.

- Jak na osobę niedoświadczoną spisujesz się znakomicie.
- Nie drocz się ze mną. Wiesz, co mam na myśli.
- Chcesz powiedzieć, że nie masz zwyczaju chodzić do łóżka z każdym, kto się nawinie. Ja też nie, Anno.

W Cuxing mniej więcej o tej porze sprzątałabym kuchnię, by potem na chwilę usiąść z gazetą i zapalić papierosa. Ale jestem tysiąc mil od domu, pod każdym względem, i naprawdę nie wiem, czy on istnieje.

- Jeszcze? Znowu? Och, Dawidzie...
- Obróć się. Nie widzę cię. Mówiłem ci, że nie mogę myśleć o niczym innym. Czego się spodziewasz?

Mówi się, że narkotyki potęgują doznania fizyczne. Na ten temat nic nie umiem powiedzieć, myślała, ale wiem, co ma takie działanie. Wiedziałam dziś rano jadąc tutaj i wiem teraz chodząc po tym pastwisku, po którym kiedyś niezliczone razy spacerowałam.

Stojąc na brzegu rzeki spozjrzała na wodę i zobaczyła przejrzyste, lekko drgające odbicie drzew i krzewów, doskonale w każdym szczególe. Widziała sylwetkę swoją i Dawida w pewnym skrócie, między wstążkami wodorostów rozsnutych po dnie. Dostrzegła błysk jego zegarka odbijającego promień słońca, przezroczystą twarz, przez którą przebijała kora zatopionej gałęzi, i oczy patrzące na nią.

- Nie mogę znieść myśli - powiedział - że całe, całe lata twojego życia są dla mnie wielką niewiadomą.

- Wolnego. Nie jestem aż taka stara.
- Wiesz dobrze, co chcę powiedzieć. Muszę się pogodzić z faktem, że nic o tobie nie wiem. Jak wyglądałaś, kiedy miałaś osiemnaście lat?

- Tak samo jak teraz, tylko trochę młodziej.

- A poza tym, kiedy odjeżdżasz, nie mam najmniejszego pojęcia dokąd. W jakim domu mieszkasz. Pograżasz się jak gdyby w otchłani. Znikasz.

- Jadę do trochę nudnego zakątka Berkshire, do raczej brzydkiego domu w stylu edwardiańskim.

- Zapelnionego ludźmi, którzy cię zawsze znali.
- Nie mówmy o tym - powiedziała. - Nie teraz. I wysokim łukiem rzuciła kamień w wodę. Ich odbicia rozbiły się w koncentryczne kręgi.

- Miej trochę względów dla ryb - odezwał się Dawid. - Twój ojciec byłby oburzony.

- Wracajmy, dobrze?

Razem pojechali do domu starców, lecz pół godziny, które ona spędziła z ojcem, Dawid przesiedział w aucie. Wracając przez parking widziała zarys

jego postaci za kierownicą, głowę pochyloną nad książką. Szła wolno, chcąc wydłużyć te 50 metrów asfaltu dzielącego ją od samochodu.

Kiedy odjeżdżali, zapytał:

- Jak on się czuje?

- Chyba trochę gorzej. Rozmawiałam z przełożoną. Lekarz uważa, że właściwie nic się nie zmieniło, ale mnie się wydał inny. Nadal twierdzą, że to może potrwać nawet kilka miesięcy.

- Dzwoniłem do domu. Powiedziałem, że wrócę późno. Bardzo późno.

- Więc mamy cały wieczór?

W centrum Lichfield utknęli w korku ulicznym. W promieniach słońca katedra błyszczała oślepiająco ponad dachami domów.

- Tom odebrał telefon. Szkoda. Jeszcze nigdy w życiu go nie oszukałem.

- Wolałbyś, żeby...

- Żeby to była Mary? Tak. Wolałbym. Chcesz wiedzieć dlaczego czy raczej nie?

- Chyba nie.

- Więc nie będę tłumaczył. W każdym razie nie teraz, jeśli w ogóle. Ja też nie chcę słyszeć, ani nawet myśleć, o twoim mężu, chociaż to robię.

- Nie miałabym nic do powiedzenia. A nawet gdyby, tobym nie mówiła, i bez tego czuję się wystarczająco podle. Chociaż jednocześnie jestem strasznie, okropnie szczęśliwa. Coś takiego wydaje się niemożliwe, a jednak tak jest.

- Zdaje się, że oboje - odparł Dawid - prowadziliśmy dotychczas bardzo spokojne życie.

- Będę musiała jutro, a właściwie już dziś, jechać do domu. W czwartek mam zabrać Judy do dentysty.

- Obawiałem się tego. A co dalej?

- Wrócę, Za tydzień.

- Musi nam to wystarczyć. Chociaż w tej chwili nie wiem, jak to przeżyję. Nie nakrywaj się. Zostań tak. Jeśli ci zimno, to będziesz musiała wytrzymać.

Leżąc samotnie, przysłuchując Się czajkom, mówiła w myślach do Dawida, który był już gdzie indziej - może jeszcze przemierzał samochodem puste nocą ulice albo wchodził do swojego nie znanego jej domu, którego nie potrafiła sobie wyobrazić: ogarnia mnie zdumienie, to jedyne uczucie. Wszystko dzieje się tak szybko. Jestem jak ktoś dotknięty amnezją, uwolniony z pęt przeszłości i przyszłości. W każdym razie przyszłość nie sięga dalej niż dzisiejsze południe, kiedy cię zobaczę w Lichfield, a przeszłość, która mnie zawsze tak absorbowwała, sprowadza się

teraz do wizyty u dentysty z Judy i powrotnej drogi do Cuxing, w którą muszę ruszyć. I niech się dzieje, co chce.

- Co sobie Judy zrobiła?

- Na miłość boską, mamó, nie ma się czym aż tak przejmować. Zwyczajnie rozcięła sobie rękę o kawałek drutu kolczastego. A właśnie wtedy wpadła Sandra Butterfield z jakąś bzdurą do ciebie i kiedy to zobaczyła, zabrała ją do przychodni na zastrzyk przeciwțęczowy. Poszły, bo mogliby zamknąć przed twoim powrotem. Nie bądź taka przerażona, ona jeszcze nie umarła. O, już wracają, są przy furtce. Boże, mamó, ty się cała trzęsiesz. Co się do licha z tobą dzieje? Widzisz przecieź, że ta wariatka jest cała i zdrowa.

Stała chwilę w hallu usiłując się uspokoić. Tylko ludziom wierzącym, myślała, wymierzana jest kara. My pozostali wiemy, że w życiu jest inaczej. Nikczemnym wszystko uchodzi na sucho, a bogacze dostąpią królestwa niebieskiego.

- Och, Sandro - powiedziała - dzięki. Paul mi właśnie o wszystkim opowiedział. Powinam była wrócić wcześniej, ale coś mnie zatrzymało. Jestem ci ogromnie wdzięczna. Judy, co u licha robiłaś? To o ten stary płót tam w końcu...?

- Nie miałam oczywiście pojęcia, kiedy robiono jej ostatni zastrzyk przeciwțęczowy - mówiła Sandra, opadając na krzesło przy stole w kuchni. - A Judy sama też nie wiedziała, ale doktor G. sprawdził w jej karcie i okazało się, że powinna była zgłosić się już dawno. Więc akurat dobrze się złożyło. Wyglądasz na zmordowaną. Nie służą ci te jazdy do Lichfield. Czy to konieczne? To znaczy, czy twój biedny ojciec w ogóle ciebie poznaje? Muszę przyznać, że na miejscu Dona wkroczyłabym w to, ale, oczywiście, Don jest tak przeraźliwie wyrozumiały, prawda? James zrobiłby... mówię ci, nie lubi, kiedy zabawiam się poza domem (nie bierz tego do siebie, Anno, wiem, że to niewłaściwe słowo). Uważam, że w naszym wieku, po dwudziestu latach małżeństwa, to trochę głupie, ale tak już jest - zachichotała z zadowoleniem. -

Powinno mi to schlebiać. Wiesz, w zeszłym roku, kiedy jechał w interesach do Włoch, też mnie ciągnął ze sobą. W samym środku naszej kampanii „przeciw autostradzie.

- A gdzie byliście we Włoszech?

- Nad tymi jeziorami na północy. Mówię ci, nudziłam się śmiertelnie. Ciągłe myślałam o tych wszystkich sprawach, które zostawiłam nie załatwione. A właśnie! To mi przypomina, po co przyszłam tu wcześniej. Na szczęście, jak się okazało. Naszą akcję wyznaczylismy za dwa tygodnie.

- Akcję?

- Demonstrację w sprawie domu Splatta. Hugh Sidey wywęszył, że właśnie wtedy ekipa budowlana przystąpi do działania. Przyjdiesz oczywiście?

- Wiesz, to trochę zależy...

- Zakładam, że będziesz - powiedziała Sandra surowo. - Jeśli ma to w ogóle zrobić jakieś wrażenie, musimy stawić się w pełnym składzie. Przyniosłam ci jeden z transparentów zrobionych przez Mary. Udały się jej, trzeba przyznać.

Transparent rozpostarty teraz na kuchennym stole uszyty był z dość kosztownie wyglądającego lnianego samodziła, a wyhaftowany czerwoną wełną napis wołał: „Ratujmy dom Splatta!”

- Spójrz na ten - mówiła Sandra. - Śliczny, nie? Przyznam, że kiedy już będzie po wszystkim, chciałabym je zatrzymać. Będą dobrze wyglądały na ścianie w kuchni albo gdzie indziej.

Drugi transparent z czekoladowobrązowego lnu z białymi literami, też haftowanymi wełną, głosił: „My dbamy o zabytki, a ty?”

- Wolę tamten - powiedziała Anna.

Paul, który akurat wszedł, popatrzył na transparenty, potem na Sandrę i uciekł zakrywając usta ręką.

- Musimy oczywiście przyciągnąć dzieci - powiedziała Sandra. - Już szepnęłam słówko Judy.

- Co powiedziała?

- Niewiele. Moje przyjdą wszystkie. Zwalniam je tego dnia ze szkoły.

- Co właściwie mam robić z tym transparentem?

- W oba końce wkładasz bambusowe kije - tłumaczyła zwięźle Sandra - o tu, gdzie Mary zrobiła taki tunel, i umawiasz się z kimś, żeby trzymał drugi kij. Z Paulem, Judy, a nawet z Donem. O wilku mowa. Muszę już lecieć. Uciekam, nim wejdzie. Z pewnością macie mnóstwo spraw do omówienia. Nie było cię przecież od wtorku. Pa!

Wszedł Don. Zobaczył transparent i powiedział:

- To mogła być tylko Sandra.

- Tak. Jak się masz, kochanie.

- Cześć. Zgodzę się na wszystko, jeśli tylko nie każesz mi tego nieść.

- Nie, nikt ci nie każe. Gdzie idziesz?

- Posłuchać dziennika. Nie widziałas gdzieś gazety?

- Nie widziałam. Mógłbyś mnie chociaż pocałować.

- Anno, myślałby kto, że cię nie było miesiąc... No!

- To już lepiej.

- Co z ojcem?
- Bez zmian.
- Ta-ak. Chciałbym jeszcze zdążyć na wiadomości. Przez otwarte drzwi kuchni widziałam, jak zatrzymał się przy stoliku w hallu. Trzymając w ręku pocztówkę, zapytał:
 - To od ciebie?
 - Ode mnie.
 Wpatrywał się w nią zdumiony.
 - Wczoraj wysłałaś?
 - Tak.
 - Ale wiedziałaś, że już dziś będziesz z powrotem w domu.
 - Tak, ale... Sama nie wiem. Po prostu chciałam napisać. Przepraszam - powiedziała drętwą. - To pod wpływem chwili.
 - Dziękuję - odpowiedział Don. Spojrzał jeszcze raz na pocztówkę. - Katedra w Lichfield. Byliśmy tam z pewnością nieraz. Nic specjalnego, o ile dobrze pamiętam.
 - Masz rację. Nic szczególnego.
 - Moglibyśmy trochę wcześniej zjeść obiad? Przyniosłem ze sobą masę roboty, chciałem się do niej szybko zabrać.
 Obierając kartofle nad zlewem myślała, że Dona nigdy nie interesowały katedry. Nie jest wyjątkiem. Wiele osób nudzi zwiedzanie krok za krokiem z przewodnikiem w ręce.

Spirale obierzyn spadały do zlewu. Patrząc na ogród (łubin urósł wysoko, listki krokusów rozłożyły się na trawie, a żółty krzak forsycji zaskakiwał obfitością kwiatów) przypomniła sobie pewne zdarzenie z początków ich małżeństwa. Zwiedzali jakiś kościół. Ona komentowała każdy szczegół, pewna, że Don jej towarzyszy, lecz odwróciwszy się ujrzała zakłopotaną twarz obcego mężczyzny, a Don zniknął (znalazła go później spokojnie palącego papierosa na wewnętrznym dziedzińcu). Nie zauważył, albo udał, że nie widzi, rozdrażnienia na jej twarzy, a po chwili i ona zwalczyła gniew. Przecież byli na wakacjach, a wakacji nie należy psuć błahostkami.

Tak rodzą się przyzwyczajenia, dobre i złe.

A ojciec, myślała, ojciec był zupełnie inny. Uwielbiał zwiedzać wnikliwie, dokładnie. Przypomniła sobie teraz zamek Bodiam czy inne podobne miejsce. Matka siedziała na murku czekając, aż ojciec skończy. Czasami zerknęła na zegarek, ukradkiem, bojąc się, że on to zauważy. I instynktownie Anna pomyślała wtedy: biedna mama. Dlaczego?

W tej chwili w Starbridge świeci ten sam księżyc, chudszy trochę niż tydzień temu, kiedy go ostatni raz tam oglądała. Wieczorem, o tej porze, z

miejsca przy stole w kuchni, widać go przez szybkę w prawym górnym rogu okna, jak przycupnął na wierzchołkach olch na polu.

Dawid Fielding odezwał się do swojego syna, Toma: - Wiesz, nie jestem pewien, czy uda mi się wyrwać na wieś w przyszłym tygodniu.

- Mówiłeś, że będziesz mógł. Powiedziałeś, że na Wielkanoc. Obiecałeś.

- Wiem - przyznał Dawid żałośnie. - Pamiętam, że obiecywałem. I pojedziemy, ale nie w przyszłym tygodniu. Tak ci przykro?

- Nie. A dlaczego nie możesz?

- Bo... Och, mam posiedzenie jakiejś komisji i różne sprawy tutaj.

- A mogę z tobą iść na ryby?

- Ależ tak. Oczywiście.

- Mama kazała ci powiedzieć, że wróci późno. W lodówce jest kolacja.

- Dobrze.

Nienawidzę tego, myślał Dawid. Niczego się w swoim życiu tak nie brzydzę. Tom. Tom i Alan. Do tej pory oni byli najważniejsi.

- Chodźmy na spacer - odezwał się. - Dość mam już tego sprawdzania wypracowań.

- Nie mogę, tato. Obiecałem Johnowi, że do niego wpadnę.

- OK. Musi mi więc wystarczyć własne towarzystwo. Za dwa lata, myślał Dawid, Tom skończy osiemnaście lat i stanie w obliczu tych wszystkich wyborów, od których zależeć będzie jego przyszłe życie. A ja tylko w niewielkim stopniu będę mu mógł pomóc. Oczywiście razem przejrzymy informatory o studiach wyższych rozważając plusy i minusy każdej uczelni czy kierunku studiów i on będzie mnie słuchał, bo jest rozsądnym chłopcem i wie, że się trochę na tym znam. Ale o reszcie niewiele mogę mu powiedzieć. A i on, z powodów od wieków tych samych, słuchałby mniej chętnie. Każdy musi popełnić swoje błędy, mawiała matka. Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz. Wbijasz gwóźdź do własnej trumny. Rzecz w tym, że mając osiemnaście czy dwadzieścia lat nie wiesz, że twój wybór zaciąży ci kamieniem u szyi na resztę twoich dni. A kiedy skończysz czterdzieści dwa lata wydaje ci się największą niesprawiedliwością, że decyzję trzeba było podjąć w tym akurat momencie życia, gdy większość z nas jest najmniej do tego przygotowana.

Do tego, by wybrać nie mądrze, a dobrze. Do tego, by kierować się pobudkami innymi niż strachem, że kogoś zranisz, rozczarujesz lub że tego właśnie wszyscy od ciebie oczekują. Człowiek, który się potknął na ulicy, bardziej obawia się poniżenia niż śmierci. Ożeniłem się z Mary, bo więcej kłopotów bym miał nie żeniąc się z nią. A poza tym zawsze się ma nadzieję na lepsze jutro.

Tak więc moi synowie, chłopcy inteligentni i spostrzegawczy, nie przyjdą do mnie po radę w tych sprawach ani też ja nie będę im się narzucał. Modliłbym się, gdybym wierzył w Boga.

A może to przypadek, że Tom i Alan w ogóle przyszli na świat? Mógłbym im to powiedzieć, bo przecież w kilka miesięcy, nie, tygodni po ślubie ich matka przyznała mi się leżąc pode mną w łóżku: „Lepiej nie będę ukrywać, że nie sprawia roi to wcale przyjemności.”

Mógłbym im powiedzieć, że człowiek posiada większą zdolność przystosowywania się do okoliczności, niż z początku sądziłem. A oni, ponieważ są inteligentni, spytaliby bez wątpienia: „Dlaczego więc to ciągniesz, tato? Dlaczego?” I musiałbym pewnie jeszcze raz im tłumaczyć, że z niskich pobudek, jednych bardziej, innych mniej rozumiałych.

Nigdy, oczywiście, nie dojdzie między nami do takiej rozmowy.

Dawid wszedł do Czerwonego Lwa i rzucił:

- Jedno piwo, George.

Usiadł przy kominku, a właściciel baru dokładając następne polano powiedział:

- Ciepłej dziś. Chyba ostatni raz palę w kominku. W przyszłym tygodniu wstawię tu doniczkę z jakąś rośliną. Pan na wakacjach, co?

- Tak.

- Ma pan jakieś plany?

- Może pójdę na ryby.

Posiedział w pubie jak zwykle do dziewiątej albo trochę dłużej, wrócił do domu i odgrzał sobie kolację z lodówki. Potem razem z synami, w ciszy pełnej wzajemnego zrozumienia, obejrzał sztukę w telewizji.

Graham zawiadomił telefonicznie Annę, że przyjedzie na przyszły weekend, jeśli nie mają nic przeciwko temu.

- Przyznam się - odpowiedziała - że czuję się zaszczycona. A gdzie się podziały twoje wszystkie przyjaciółki?

Głos Grahama, dzwoniącego z automatu, brzmiał niewyraźnie, zagłuszony jak gdyby przez młoty pneumatyczne. Powiedział chyba, że nie bardzo go to teraz obchodzi.

- Świetnie - ucieszyła się Anna. - Do zobaczenia u nas. Aha, w tygodniu jak zwykle jadę do Lichfield.

James Stanway obudził się ze snu, który, jak mu się zdawało, trwał wiele dni. - Jak długo już tak leżę? - spytał siedzącą przy jego łóżku dziewczynę w białym fartuchu. Z początku nie słyszał, co odpowiedziała, ale kiedy się nad nim pochyliła, zrozumiał, że się cieszy widząc go dziś w lepszym zdrowiu, i pyta, czy zje kawałek ryby na obiad.

- Wie pani - powiedział - czuję się już dobrze i powinienem wracać do domu. Moja żona nie lubi długo sama siedzieć. - Czekał, aż ktoś zareaguje, ale kiedy ponownie rozejrzał się po pokoju, stwierdził, że dziewczyna wyszła. Gdy znów poczuł czyjąś obecność przy łóżku, był to już ktoś inny. Betty ubrana w jedwabny szal, który jej ofiarował na gwiazdkę. Mówiła o operze. To dzięki niej polubił operę. - Chylę czoło przed twoim sądem - odezwał się - ale nic mnie nie przekona, że Carmen jest arcydziełem. A co w takim razie z Verdim? Co powiesz o Verdim, hę?

RS

ROZDZIAŁ ÓSMY

- W lodówce macie auiche na jutrzejszy lunch - Anna instruowała Paula - a w tym garnku jest baranina w jarzynach na kolację, wstawicie go na dobre pół godziny do piekarnika. Zrobiłam wam jeszcze sernik i mus czekoladowy, a na piątek wieczór sos bolognaise, sami musicie ugotować tylko spaghetti, do tego weźcie sobie dużo sera. Aha, zrobiłam jeszcze tę twoją ulubioną pizzę, podgrzejesz ją w piecyku, wystarczy kilka minut. Jak myślisz, dacie sobie radę?

- Jakoś przeżyjemy.

- I przypomnij ojcu, że dla niego upiekłam placek cebulowy, bo on nie bardzo lubi spaghetti.

- Dobrze.

- Aha, są jeszcze racuszki.

- Mamo?

- Tak?

- To czyjeś urodziny?

- Chcę mieć po prostu pewność, że zostawiam wszystkiego pod dostatkiem - odpowiedziała. - I powtórz tacie, że zadzwonię jutro wieczorem, dobrze?

Droga do Lichfield rozwija się stopniowo, a każdy jej etap Anna ma zakodowany w pamięci, nie mogłaby już pomylić trasy, chociaż odczuwa pokusę, żeby tu czy tam skrócić, pojechać boczną drogą, skorzystać z objazdu. Tym razem jednak chciałyby wydłużyć podróż, rozkoszować się w pełni radością wyczekiwania, wolniej przejeżdżać przez ulubione miejsca, raz czy dwa zatrzymać się nawet i opóźnić przyjazd choć o chwilę - marzenie na jawie, oczekiwanie jest prawie tak wspaniałe jak samo przeżycie. Z szosy A 423 skręca teraz w A 41, dojeżdża do A 452... Zostawiła za sobą gładką płaszczyznę pól i teraz zbliża się do rzędów topoli zamykających drogę zwężającym się w dali tunelem, potem ku następnemu celowi - kominowi fabrycznemu wysyłającemu spirale dymu w czyste, niebieskie wiosenne niebo.

W domu opieki zastała ojca leżącego z zamkniętymi oczami. Oddychał powoli, chrapliwie. Wydawało się, że jego organizm spełnia jeszcze tę tylko funkcję. Robił wrażenie nieprzytomnego, a nie śpiącego i Anna zatrzwożona stała nad łóżkiem. Właśnie wtedy nadeszła siostra przełożona, potwierdziła, że to śpiączka, która najprawdopodobniej minie, i uspokoiła Annę, że stan ojca nie jest jeszcze krytyczny.

- Należało się tego spodziewać - mówiła - zwłaszcza że ostatnio był bardzo ożywiony, miał przebliski świadomości. Szkoda, że nie wiedziałam, że pani się do nas wybiera, doradziłabym odłożenie wizyty o kilka dni. Bardzo żałuję. - Położyła na moment rękę na ramieniu Anny. - Raczej niepotrzebnie pani jechała, mam nadzieję, że następnym razem będzie pani miała więcej szczęścia.

Anna szła przez ogród w kierunku parkingu i myślała: gdyby to było możliwe, powiedziałabym chyba ojcu o tym, co mnie spotkało.

W Starbridge ponownie zabrała się do segregowania papierów w biurku, wizyta u ojca trwała krócej, zyskała więc dodatkową godzinę. Z mniejszymi niż poprzednio skrupułami wyrzucała zawartość teczek na podłogę i szybko przeglądała. Tekturowe pudło zapełniało się niepotrzebnymi broszurami, protokołami zebrań przeróżnych komisji, rozmaitymi sprawozdaniami. Jak niewiele wiem o jego życiu, myślała. W 1948 roku, w Kolonii, brał udział w zjeździe pedagogów z całej Europy, był członkiem komisji opracowującej projekt zmian w programie małej matury, a tu list do redakcji „Timesa” w sprawie nauczania języków obcych w szkołach podstawowych. Dla mnie jest... był tylko moim ojcem, a teraz okazuje się, że to nieprawda albo że to była tylko częśćka jego życia.

W jednym z pudełek znalazła plik listów od matki, zawahała się, potem opasała je gumką i schowała z powrotem. Były też listy pisane przez nią samą, przeczytała je z zainteresowaniem („Mam zamiar wyjść za Dona Lintona - znamy się od wieków, chodzimy ze sobą dwa lata z przerwami i wiem, że będziemy...”, „Judy ma już jeden ząb i ryczy dzień i noc”, „Paul gra archanioła Gabriela w jasełkach szkolnych”). Listy od Grahama też przeczytała. Innych listów nie było, nie licząc korespondencji z ostatniego okresu - pisali przyjaciele i dawni współpracownicy. Jeśli przechowywał jakiegokolwiek pamiątki po niej, to wyłącznie w swojej pamięci, nie miał niczego, tylko tę jedną fotografię, która zaplątała się chyba przez przypadek. Przez tyle wspólnie przeżytych lat musiała się wytworzyć między nimi jakaś rodzinna więź, lecz nie pozostał ani skrawek papieru, który by o tym świadczył.

Usłyszała samochód Dawida przed domem, ale nie ruszyła się z miejsca, czekała na niego siedząc na wytartym perskim dywanie i przez otwarte drzwi frontowe zawołała,

- Jestem w gabinecie!

- Nigdy tutaj nie byłem - powiedział Dawid - ale mówiono mi, że to całkiem niezły lokal, poza tym nie możemy wciąż jeść omletów w kuchni twojego ojca. Właścicielem jest jakiś Rosjanin, nazywają go Joe.

Restauracja, ozdobiona bez specjalnej inwencji pękami butelek po chianti i zwojami sieci rybackich, tonęła w przyćmionym świetle. Na ścianach wisiały liczne fotografie zapaśników patrzących na salę groźnym wzrokiem. Związane musiały być jakoś z przeszłością Joego, który ubrany w pasiasty rzeźnicki fartuch, powłócząc nogami obchodził stoliki, a w ogromnych łapach trzymał ołówek do notowania zamówień. Mówił płynną gwarą Staffordshire, a jedynie lekko skośne oczy i szeroka twarz zdradzały środkowoeuropejskie pochodzenie. Jedzenie było nadspodziewanie smaczne. Anna i Dawid nie spieszyli się, i w końcu zostali sami z Joem, który posepnie popijał w barze nie większym niż szafa na ubranie. Kiedy podszedł do nich z rachunkiem, Anna spytała:

- Sam pan gotuje?

- Nie smakowało pani?

- Wszystko było bardzo dobre. Naprawdę wyśmienite.

- Skąd pan pochodzi? - zapytał Dawid.

- Skąd?

- Gdzie się pan urodził? w jakim kraju?

- Na Łotwie. Jestem Łotyszem. - I nagle zaczął mówić o dzieciństwie, snuć nieskładną opowieść o wojnie, podróżach, przyjazdach, pobytach w różnych nieznanach miejscach, w nieznanach krajach.

- Moi rodzice byli chłopami - mówił. - Pracowali na roli, byli bogaci, całkiem nieźle im się powodziło. Mielśmy duży dom wśród pól. Rodzice uprawiali zboże, hodowali trochę bydła. Bardzo ładna okolica. Piękne miejsce, bardzo dobra ziemia.

- Był pan tam jeszcze kiedyś?

- Nie. Skąd!

- A kiedy wobec tego pan stamtąd wyjechał? - zapytał Dawid. - Podczas wojny? Musiał pan być jeszcze dzieckiem.

- Zgadza się. Miałem siedem, może osiem lat... W czterdziestym czwartym.

Wsiadając do samochodu Anna powiedziała:

- Jak dziwnie być kimś takim jak on, oddalonym od własnego dzieciństwa, również w sensie fizycznym, nie móc wrócić do miejsca, którego żaden z twoich znajomych nie pamięta. Być całkowicie odcięty od własnej przeszłości.

- I jest. Bo tak czy owak, sędzę, że się mylił.

- Mylił? Jakim cudem?

- A więc, o ile mi wiadomo, już przed 1944 rokiem Łotwa była częścią Związku Radzieckiego i jeśli jego rodzice byli kiedyś zamożnymi chłopami,

jest bardzo mało prawdopodobne, żeby takimi pozostali. Dawno by ich skolektywizowano.

- Rozumiem. - A po chwili dodała. - Sądzisz, że sobie to wszystko wymyślił?

- Prawdopodobnie nie. Po prostu w jakiś mętny sposób przeinaczył fakty.

- To chyba normalne. Nasza pamięć nie tyle utrwała, ile zniekształca zdarzenia.

Łotysz w średnim wieku, od lat mieszkający w Staffordshire, pamięta wiejski dom, którego może nigdy nie było, ja całe życie znałam ojca z jednej tylko strony, w Cuxing znalazła się grupa ludzi gotowych zrobić zadziwiająco wiele, żeby powstrzymać innych od zburzenia domu, którego przedtem nikt nigdy nie uważał za godny uwagi. Położyła swobodnie rękę na kolanie Dawida i powiedziała:

- Przemily wieczór...

- Prawda?...

Na południu Anglii, w Cuxing, Donald Linton, którego dzieliła od żony droga do Lichfield i jeszcze wiele innych rzeczy, zjadł przy stole w kuchni baranię duszoną z jarzynami, a na deser sałatkę owocową, skosztował też sera. Potem obejrzał, z umiarkowanym zainteresowaniem, telewizyjny film dokumentalny o Irlandii Północnej (temat wydał mu się odległy i mało go w gruncie rzeczy obchodzący). Podczas filmu pomyślał przelotnie, czyby nie zadzwonić do Anny, ale zaraz, przypomniawszy sobie koszt połączenia z Lichfield, zrezygnował. Kiedy pół godziny później ona sama zatelefonowała, odrobinę go to zirykowało i szybko skończył rozmowę. Wrócił przed telewizor, wysłuchał wiadomości, wśród których informacja o bankructwie firmy ubezpieczeniowej przypomniała mu, że zamierzał dodatkowo się ubezpieczyć, poszedł więc sprawdzić swoją polisę. Uważnie przeczytał drobny druk i wypełnił formularz zwięźle ujmujący jego osobę w kategoriach zawodu, stanu cywilnego i tak dalej. Z niejakim zdziwieniem zauważył, że ma przed sobą jeszcze tylko dwadzieścia trzy lata pracy, podświadomie zakładał, że zostało mu więcej. Mimo wszystko, zdecydował, wydłużanie się okresu minionego i skracanie tego, który człowiek ma jeszcze przed sobą, jest zjawiskiem powszechnym i wobec tego nie stanowi ważnego problemu jednostkowego. Podpisał formularz ubezpieczeniowy i poszedł spać.

- Ten facet w restauracji - odezwał się Dawid - przypominał mi jednego znajomego, Polaka. Jego przeszłość jest dla mnie tak samo nieprzenikniona i trudna do wyobrażenia. Jako nastolatek przeżył wojnę, kiedy ja chodziłem do szkoły, on stracił całą rodzinę, walczył z Niemcami, po wojnie tułał się

po różnych krajach, w końcu osiadł tutaj. W jakiś dziwny do wytłumaczenia sposób wzbudza we mnie kompleks niższości, uczucie, że moje osobiste doświadczenie nie dorównuje jego przeżyciom. Chciałbym się usprawiedliwić.

- To prawie masochizm. Czuć się winnym, że się nie cierpiało.

- Słusznie. A jednak w głębi duszy zawsze czuję się gorszy, jakbym uważał, że koleje jego losu sprawiły, że o życiu wie więcej ode mnie.

- Ja kiedyś myślałam tak samo o moim bracie, i to tylko dlatego, że jest dwa lata ode mnie starszy.

- Teraz też tak myślisz?

- Na Boga, nie!

- Mógłbym dzisiaj z tobą zostać - powiedział. - W domu są w pewnym sensie uprzedzeni, więc nie będzie problemu. Jeśli i ty chcesz.

- Chcę? - powtórzyła - jeszcze jak...

- To niedługo - mówiła - naprawdę. Dziesięć dni. Da się przeżyć. Wiem coś o tym. W poniedziałek odbędzie się jakaś absurdalna heca, chodzi o ten stary dom, wiesz, mówiłam ci. Mają go rozbierać czy próbować zburzyć. Więc kiedy się następnym razem spotkamy, będę miała co opowiadać.

- Śpij - powiedział. - Ale z ciebie niespokojny duch. Całą noc gadasz i gadasz. Patrz, która godzina, już po trzeciej.

- Cudowna pora. Od lat nie czułam się tak wspaniale o trzeciej nad ranem.

- Ani ja - przyznał Dawid - ja chyba nigdy.

- Dziewiąta trzydzieści - powiedziała Sandra przez telefon - nie później. Aha, i radzę ci wziąć ze sobą termos czy coś takiego.

- Termos?

- To może potrwać, jeśli sprawy się skomplikują. Więc do zobaczenia rano.

Pole za domem Splatta podzielono na prostokąty, a w poprzek wykopano rowy, jeden w pewnej odległości od drugiego. Z tyłu, w rogu, wśród żółtawego błota i kałuż, stał buldożer. Na skraju dróżki ustawiono betoniarke, w rowie melioracyjnym leżał stos przeróżnych rur. W zielonym barakowozie koło furtki siedziało trzech mężczyzn i popijając herbatę z kubków, przyglądało się członkom i popiecznikom Komitetu Ocalenia Domu Splatta.

- To ci ludzie? - spytała Anna.

- Nie jesteśmy tego całkowicie pewni - powiedziała Sandra. - O! Idzie Hugh Sidey. Hej! Tutaj!

- Nic się nie działo? - zapytał profesor.

- Jak dotąd nic.

- A więc sądzę, że powinniśmy zająć pozycje wyczekujące i zobaczymy, jak się potoczą wypadki.

Jeden transparent wetknięto w żywopłot, drugi udrapowano na masce Fiata Pickeringów. Grupa, która teraz rozrosła się do około dwudziestu pięciu, trzydziestu osób, rozpierzchła się, a jej członkowie rozmawiając stanęli na brzegu trawnika i przed wejściem do domu.

Anna odezwała się do profesora Sideya:

- Dowiedziałam się, że złożył pan oficjalny protest do Wydziału Planowania Przestrzennego. Żałuję, ale nie mogłam przyjść na ostatnie zebranie.

- Tak, istotnie. Wystąpiliśmy z protestem. Oczywiście przyniosłoby to lepsze rezultaty, gdybyśmy zdołali go wnieść, zanim wydano zezwolenie. W obecnej sytuacji, zgodnie z naszymi przewidywaniami, otrzymaliśmy wymijającą odpowiedź, powtórzono oczywiście mgliste obietnice dotyczące zewnętrznych elewacji bungalowów i ich przeznaczenia. Należy odnosić się do tego wszystkiego z daleko idącym sceptycyzmem. A oto, jeśli się nie mylę, pan Pym.

- Właściciel firmy budowlanej?

- Nasz czarny charakter albo raczej jeden z nich. Profesor pospiesznie oddalił się, żeby omówić sprawę z Sandra. Co on wykladał przed przejściem na emeryturę, zastanawiała się Anna. Historię? Chyba jednak nie.

Właściciel firmy budowlanej wysiadł z samochodu i rażnym krokiem szedł w ich kierunku. Nie sprawiał wrażenia ani odrobinę skonsternowanego. Mijając grupę pozdrowił zebranych, a jedna czy dwie osoby mruknęły „Dzień dobry” w odpowiedzi i zażenowane odwróciły wzrok. Poszedł na przełaj przez pole w stronę robotników, którzy skończyli pić herbatę i majstrowali teraz przy nieruchomym spychaczu.

- Mmm... - powiedziała Sandra.

Głośno warcząc buldożer zaczął pracować na skraju wykopu w końcu pola. Pan Pym, pochłonięty rozmową z jednym z mężczyzn, chodził tam i z powrotem wśród sznurów i rowów i od czasu do czasu sprawdzał coś w papierach, które trzymał w ręku.

Mary Pickering podeszła do Anny i zagadnęła:

- Wydawałoby się, że do zburzenia domu potrzebny jest jakiś mocniejszy pojazd niż te żółte maszyny. - Ubrana była w dzinsy ozdobione wymyślnymi aplikacjami i gruby, ręcznie robiony sweter.

- Chyba tak.

- Mam nadzieję, że nie przyszliśmy na próżno.

Małe dzieci, towarzyszące niektórym uczestnikom demonstracji, bawiły się wesoło na stercie piasku przy betoniarce. Jedna z matek powiedziała zaniepokojona:

- Robotnikom to chyba nie przeszkadza. Tommy, nie rozrzucaj piasku, nie jesteśmy u siebie.

Pan Pym wszedł teraz do barakowozu i przez otwarte drzwi widać było, jak studiuje olbrzymi plan lub mapę. Buldożer wciąż pracował na brzegu wykopu, a jeszcze dalej pozostali dwaj robotnicy kopali następny rów.

- Może ktoś chciałby herbaty? - częstowała Sandra. Było już po dziesiątej. Jedna z kobiet zrezygnowała, usprawiedliwiając się, że przed jedenastą musi zdążyć do Reading.

- Twoja sprawa, kochana - rzuciła Sandra w kierunku jej oddalających się pleców. - Słabi mogą równie dobrze odpaść po drodze. A to kto znowu? - dodała.

- Właśnie - powiedział Brian Pickering. - To fotograf z gazety w Reading. Dzwoniłem do nich i prosiłem, żeby kogoś przysłali.

Fotograf wysiadł z samochodu i podszedł do nich.

- Niech pan posłucha - powiedziała Sandra. - Na pańskim miejscu pokręciłabym się tu trochę. Na razie nic specjalnego się nie wydarzyło. Zrobi pan dużo ciekawsze zdjęcia, kiedy oni już przystąpią do akcji.

- Tak - odparł fotograf z powątpiewaniem. Spojrzał na zegarek. - Rzecz w tym, że o wpół do jedenastej mam się stawić w Wallingford. Czy moglibyście państwo zebrać się wszyscy tutaj, na tle domu? Z transparentami oczywiście, tak, tak jest dobrze. Jeszcze raz, dziękuję bardzo.

- Szkoda - powiedziała Sandra za odjeżdżającym. - Cóż, lepszy rydz niż nic. - Odwróciła się, żeby spojrzeć na pole, gdzie pan Pym wychodził właśnie z barakowozu i idąc wołał coś do kopiących rów. Minął już pole i szedł ścieżką w kierunku domu.

- Idzie chyba po posiłki - powiedział profesor.

- Mam nadzieję, że tak, ponieważ przed dwunastą muszę być na uczelni - powiedział Brian Pickering.

Zrównawszy się z grupą pan Pym zatrzymał się i spojrzął na ludzi stojących po obu stronach dróżki. Wydawał się bardziej zaciekawiony niż zaniepokojony.

- Dzień dobry panu - przemówił profesor.

- Dzień dobry. My się chyba nie znamy, prawda? - odpowiedział pan Pym.

- Chyba nie. Nazywam się Sidey - profesor przedstawił się sztywno.
 - Pan mieszka w Cuxing od niedawna?
 - Mniej więcej.
 - Profesor Sidey - wyjaśniła Sandra - kupił Stary Młyn zeszłej jesieni.
 - Ach, pani Butterfield! Witam panią. Pamiętam Stary Młyn, kiedy jeszcze był na chodzie. Przypominają się dawne czasy, prawda? Chyba będzie pan tam musiał zrobić mnóstwo przeróbek? Nie budowano go, żeby w nim mieszkać, a teraz ludzie lubią wygody.

- Chcielibyśmy z panem porozmawiać... - zaczął profesor, ale pan Pym ciągnął:

- ...Pomyśleć. Pamiętam Cuxing sprzed trzydziestu, czterdziestu lat, lepiej chyba niż większość ludzi w miasteczku, lepiej, sądzę, niż ktokolwiek z państwa - spojrzał przyjaźnie na zebranych. - Pani jest tutaj od dziewięciu, dziesięciu lat, prawda? - zwrócił się do Sandry. - Widzę dużo twarzy, których wcale nie rozpoznaję. Miasto przeżyło wiele zmian, taka jest jednak kolej rzeczy, zgodzą się państwo ze mną?

- Ale te zmiany nie muszą zachodzić całkiem tak... - zaczęła Sandra.

- ...można, myślę, uczciwie przyznać, że żaden z nas, starych mieszkańców Cuxing, nie uważa przybyszów za intruzów. Kobiety takie, jak stojąca tu pani Butterfield, dokonały wiele, żeby pobudzić nas do czynu - uśmiechnął się do Sandry. - I pamiętajmy, że większość zmian, jakich byłem świadkiem, to zmiany na lepsze. Weźmy, na przykład, mojego dziadka, mieszkał bez bieżącej wody, cieplej ani zimnej i z ubikacją za domem...

- Możliwe - wtrącił profesor. - Ale...

- Proszę pana - powiedziała Sandra głośno - sądzę, że doskonale zdaje pan sobie sprawę, w jakim celu się tutaj zebraliśmy. Czy zamierza pan burzyć ten dom dzisiaj?

Dobroduszne spojrzenie pana Pyma powędrowało ponad jej głowę ku domowi Splatta.

- Ten stary dom? Wstyd było dopuścić, żeby tak zniszczał, prawda? W rękach moich dziadków był to uroczy wiejski domek, z różami przed wejściem i ładnym ogródkiem...

- Nie wiedziałam, że pańscy dziadkowie tutaj mieszkali, a przyznam, iż tym bardziej niezwykle wydaje się... - powiedziała Sandra.

- Sam nie wiem - mówił pan Pym w zamyśleniu - nie wiem... Szkoda, oczywiście, że trzeba go zburzyć. Pamiętam, że jako chłopiec bawiłem się w tym rowie, woda była wtedy o wiele bardziej czysta i łowiło się w nim rozmaite maleńkie rybki, cierniki i inne.

- Jesteśmy tutaj, żeby temu zapobiec - przerwał mu Brian Pickering.

Pan Pym zignorował tę uwagę.

- Dziadkowie wyprowadzili się przed wojną, jak tylko udało im się dostać przydział nowego domu kwaterekowego, a ten odkupił pan Tylor, wysoki urzędnik w Ratuszu. Trzymał go chyba dla kogoś ze swoich, ale nic z tego nie wyszło i już chyba ze czterdzieści lat stoi nie zamieszkały. Zabawne, że w końcu, w pewnym sensie, wraca do rodziny.

- To, co pan mówi, nie ma związku ze sprawą - wtrącił profesor. - Rozumiem, że dziś przystępuje pan do rozbiórki?

- Dziś? - zdziwił się pan Pym. - Och, nie. Dziś nie. Dziwne, skąd panu to przyszło do głowy? Nie, tę robotę zlecam specjalnej firmie i w danej chwili nie umiem panu powiedzieć, jaki oni mają harmonogram. Życzy pan sobie, żeby pana powiadomić?

W grupie demonstrantów skupionych wokół pana Pyma przeszedł szmer, a Brian Pickering zaklął:

- Boże, co za burdel!

- Nie, dziękuję - powiedział profesor. - Przyznam, że pański stosunek...

- Powinien się pan wstydić - wtrąciła Sandra piskliwym głosem.

Trwała stanowcza przy furtce do domu, a z kieszeni jej wiatrówki sterczała nakrętka od termosu.

- Bez cienia skrupułów niszczy pan najstarszy budynek w miasteczku, jeden z najstarszych. Nie uważa pan, że do przeszłości trzeba odnosić się z szacunkiem?

- Słusznie, słusznie - poparł profesor.

- Na pani miejscu uważałbym na tej ścieżce, proszę pani - powiedział pan Pym. - Jest tutaj paskudna wyrwa, którą należałoby zreperować. Była tu zawsze. No tak... Powinienem być ostrzec panią wcześniej. Nic się pani nie stało?

Podnosząc się z ziemi Sandra powiedziała:

- Nie, nic. Dziękuję. Tak jak mówiłam, odnieść można by wrażenie, że miasto jest zdradzane przez własnych... - jej głos umilkł.

- Jest pani pewna, że nic się pani nie stało? - spytał profesor. - Wyglądało to dość groźnie.

A Mary Pickering, ujmując Sandrę pod rękę, zaproponowała:

- Zabiorę cię do nas.

- Dziękuję, ale nie trzeba.

- Dopilnuję, żeby zasypano tę dziurę - zapewnił pan Pym. - Mam nadzieję, że dobrze się pani czuje. No, to muszę już pędzić. Miło było pana poznać - zwrócił się do profesora. - Dobrze, że przybyło nam w Cuxing

trochę świeżej krwi. Nie chcemy, żeby w obecnych czasach panował zastój, prawda? - Spojrzał kordialnie na całą grupę. - Życzę państwu dobrego dnia. - I oddalił się w kierunku samochodu.

Zapanowała krótka cisza.

- Jeden z tych facetów na budowie zapewniał mnie solennie - tłumaczył się profesor - że mają go burzyć właśnie dzisiaj. Dochodzę do wniosku, że celowo wprowadzono nas w błąd.

- Racja - powiedział Brian Pickering. - Skończony łobuz, widać to po nim.

Uczestnicy protestu oddalali się teraz dróżką. Z trudem ściągnano dzieci, całkiem już zadomowione na gorze piasku.

- Sandro, dobrze się czujesz? - spytała Anna.

- Tak, dziękuję. Głupi przypadek. Pojadę chyba jednak do domu i położę się z nogą w górze. Może kogoś podwieźć? Tak czy siak - mówiła z przekonaniem - cokolwiek się dalej stanie, uważam, że zademonstrowaliśmy nasze stanowisko.

- Och, na pewno - poparła ją Mary Pickering. - Dla tego samego warto było przyjść.

- Zbierzemy się jeszcze raz, jak przyjadą tamci? - spytał ktoś.

- Proponuję, żebyśmy się w tej sprawie spotkali - powiedział profesor. - Może trzeba będzie przeanalizować sytuację. - Nie przestając mówić oddalił się z Sandrą w kierunku jej samochodu.

Anna została w tyle, szła na końcu grupy. Domy w nowym osiedlu, z oknami błyszczącymi w słońcu, wyrastały z prostokątów zielonej darni. Z tyłu dolatywał warkot buldożera jeżdżącego tam i z powrotem, a między polem a osiedlem przycupnął dom Splatta, nieodgadniony, ukryty za żywopłotem. Zajrzała do rowu melioracyjnego i pomyślała, że powinna była zapytać pana Pyma, czy oprócz małych rybek były tu również węgorze, i że teraz już nigdy się nie dowie. Szła w kierunku Cuxing, minęła dom, w którym kiedyś mieszkał najlepszy przyjaciel Paula, potem posesję, gdzie maleńka Judy przestraszyła się psa zaczajonego za ogrodzeniem, następnie inny jeszcze dom - Don chciał go kiedyś kupić. W myślach towarzyszył jej Dawid, jego twarz, chód, głos ukazywały się wciąż od nowa na tle znajomych miejsc, których on nie mógłby sobie nawet wyobrazić.

Graham przyjechał na weekend, lecz w odczuciu Anny robił wrażenie przegazzonego. O pracy, jeśli w ogóle poruszał ten temat, mówił bez zapału i nie starał się być duszą towarzystwa jak zazwyczaj. Mnóstwo czasu spędził z Pauliem pomagając mu złożyć jakąś aparaturę stereofoniczną. Potem stwierdził:

- Miło musi być z tym twoim chłopakiem na co dzień.
 - Zawsze uważałeś, że ludzie, którzy obarczają się dziećmi, muszą być stuknięci.

- Niewykluczone, że się myliłem.

Zdawał się rad, że może spokojnie zasiąść w fotelu, przeczytać gazetę albo zdrzemnąć się przy kominku. W niedzielę po południu, mimo że protestował, Anna wyciągnęła go na spacer po okolicy.

- Przyjechałem przecież, żeby odpocząć. A Donowi, widzę, darowałaś.

- Don nigdy nie przepadał za spacerami.

Znaleźli się na wyżynie. Otaczały ich rozległe pofałdowane pola i łąki, płowe, miejscami zielonkawe. Szli kredową ścieżką między krzewami, spośród których ulatywały w górę małe ptaszki. Na niebie, nad ich głowami, unosiły się chmary skowronków.

- Nie jest najgorzej - powiedział Graham. - Przechadzka na pewno dobrze mi robi. Radziłem się lekarza w sprawie tych bólów żołądka.

- Coś poważnego?

- On tak nie twierdził. Kazał mi schudnąć. Widząc, jak się mozolnie wspina po wyschniętej glinie, z twarzą poważną i bez uśmiechu, Anna stłumiła wesołość.

- Powinieneś wziąć urlop. Wyjechać.

- Chyba właśnie tak zrobię.

- Zastanawiam się, czy nie odwiedzić tej jakiejś pani Barron.

- Po co?

- Sama dokładnie nie wiem. Czuję, że chcę nawiązać z nią jakiś kontakt. Przecież całe życie, nigdy się nie spotkawszy, byliśmy ze sobą w jakiś niesamowity sposób związani.

- Raczej zabawna więź.

- Na pewno. Nie daje mi jednak spokoju myśl, że ona znała tę stronę osobowości ojca, o której myśmy nie mieli pojęcia.

- Chcesz z nią rozmawiać o ojcu?

- Nawet nie jestem jeszcze pewna, że o to mi chodzi.

Ścieżka wiodła teraz brzegiem skarpy, pod nimi w słonecznej mgiełce rozpościerało się Berkshire. W oddali, jak wieże katedry, wznosiły się kominy elektrowni w Didcot.

- Myślisz, że oni, ojciec i mama, nie byli ze sobą szczęśliwi?

- Trudno powiedzieć, prawda? Z pozoru na to nie wyglądało, nie?

- Nie wyglądało.

- Nie wiem... - zastanawiał się Graham. - Gdyby to był scenariusz, w którym facet całymi latami ma kogoś na boku, roiłoby się od małżeńskich

tarć, represji, opresji i czego dusza zapagnie. A prawdziwe życie jest, jak mnie nauczyło doświadczenie, zupełnie inne. Czasami dziękuję niebiosom za to, że wymyślono konwencję dramatyczną. Tam wiesz, na czym stoisz, szczególnie, jeśli akcja jest prawidłowo zawiązana, a na dodatek weźmie się za to dobry scenarzysta, który zna swój fach, tworzy wiarygodne postacie, wymyśla motywy działania i tak dalej. A w życiu wszystko wciąż jest dla mnie zagadką. Nie, naprawdę nie uważam, żeby było im ze sobą źle czy coś w tym rodzaju.

- A dlaczego nigdy mi nie powiedziałaś?

- Annie, uczciwie przyznaję, że nigdy mi to nie przyszło do głowy. I, jak widzę, dobrze, że ci nie powiedziałem. Wydajesz się tym całkiem wytracona z równowagi.

- Nie jestem wytracona z równowagi, po prostu skołowana.

Zatrzymali się przy furtce w ogrodzeniu otaczającym czyjeś pastwisko i oparli się o nią.

- Zawsze musiał liczyć się z tym, że mama wszystko odkryje - mówiła Anna. - Z drugiej strony ojciec nigdy nie był typem hazardzisty, przynajmniej mnie się tak wydawało, myliłam się jednak. Wszystko to jest takie zagmatwane. W piątek dzwoniłam do domu opieki - z ojcem bez zmian. Śpiączka się nie powtórzyła. Znowu podnoszą go z łóżka.

W oddali pełzył traktor, spłoszone czajki z głośnym przeszywającym ciszę krzykiem odrywały się od zaoranej płowej ziemi.

- Anno?

- Co? Przepraszam.

- Pytałem, czy na pewno te ciągłe jazdy nie są dla ciebie zbyt dużym obciążeniem.

- Nie.

- Moglibyśmy jeździć na zmianę. Akurat teraz jestem wolniejszy.

- Naprawdę daję sobie radę.

- No tak, nie nudzisz się, masz tam przecież tego swojego dyrektora szkoły.

- Co, do diabła, chcesz przez to powiedzieć? - naskoczyła na niego.

- Nic. Żartowałem. Chryste, Annie, wyglądasz jak wtedy, kiedy miałaś szesnaście lat, a ja się z ciebie nabijałem.

Milczeli.

- Chcesz papierosa? Zaprzeczyła ruchem głowy.

- Żartowałem, przysięgam. Nie wiem, dlaczego pomyślałem o nim. Może było coś w sposobie, w jaki dopytywał się o ciebie, kiedy przyszedł do ojca i mnie tam zastał. Anno, przepraszam. Dotknąłem czulego miejsca, prawda?

- W porządku.
 - A więc co teraz? - zapytał. - Życzę dużo szczęścia. Baw się dobrze i nie rób takiej zmartwionej miny. To się często zdarza. I dobrze ci robi. Cholera, już prawie nie mam zapalek. A ty masz? - i odwracając się, żeby na nią spojrzeć, zamilkł.

- Chyba też nie mam.
 - Annie, słuchaj, przepraszam. To naprawdę był żart. Trochę, jak widzę, kiepski.

- Nie mówmy już o tym.
 Stali obok siebie oparci łokciami o furtkę; samolot rysował białą kreskę w poprzek nieba, od wschodu na zachód.

- Pójdziemy jeszcze dalej? - spytała. - Tutaj jest szlak.

Przez pewien czas szli w milczeniu.

- Annie, wiesz, zaskoczyłaś mnie jednak.
 - Dlaczego? - zapytała poirytowana. - Jestem młodsza od ciebie. Chociaż przyznam, że dla mnie to też w pewnym sensie szok, stan, o którym już prawie zapomniałam. Z pewnością o tobie nie można tego samego powiedzieć.

- Mylisz się. Można.
 - A te wszystkie dziewczyny to co?
 - Zwyczajnie, dziewczyny - odpowiedział. - Jeśli chodzi ci o uczucie, a zgaduję, że to masz na myśli, to tego właśnie w tym wszystkim brak. Od dłuższego już czasu.

- Och, Graham...
 - Co teraz? Co masz zamiar robić?
 - Nie mam najmniejszego pojęcia - wyznała. - Nie mówmy o tym więcej. Zapomnij o całej tej sprawie. Graham, proszę. Spójrz, jeśli przejdziemy przez pole, dotrzemy do miasteczka i będziemy mogli kupić dla ciebie zapalki.

Wywiesiłeś mój stanik za okno od ulicy i zanim udało mi się go odzyskać, zobaczył go chłopak z przeciwka, na którego nie mogłam potem spojrzeć, bo bałam się, że dostanę ataku serca. Sprowadzałeś do domu swoich kumpli i razem robiliście niezrozumiałe, niewybredne uwagi, z których chichotałam, bojąc się zdradzić ze swoją niewinnością. Padałam ofiarą twoich wyszukanych kawałów, pożyczałeś moje płyty i oddawałeś porysowane albo wcale już do mnie nie wracały, przyłapałeś mnie, jak goiłam pachy maszynką ojca, i mu doniosłeś, przezywałeś mnie „kluchą”, a kiedy zwierzałam ci się ze swoich pragnień, oblewałeś mnie kubłem zimnej

wody. Albo tak mi się tylko wtedy wydawało. I wiem, że z twojej strony to wszystko wyglądało inaczej.

A teraz bez żadnej widocznej przyczyny, chyba że za taką uznać minione dwadzieścia pięć lat, zaczynam cię coraz bardziej lubić i z coraz większą tolerancją patrzeć na te wszystkie rzeczy, które czasami wyprowadzały mnie z równowagi. Rośnie ci brzusek i włosy rzedną na czubku głowy, a myśl, że jesteś samotny, przeszywa mnie dziwnym, trudnym do wytłumaczenia, bólem. Żal mi ciebie. A dla mnie żałować kogoś to jednocześnie czuć się winną, że nasze losy są tak odmienne. Nie zadowolona, lecz winna.

Kiedy miałam czternaście lat, myślała Anna, nienawidziłam cię przez cały okrągły rok, uznawałam czasowe zawieszenia broni z okazji Bożego Narodzenia albo naszych urodzin, ale i te bywały bardzo nietrwale. Nabijałeś się, jak sam mówisz, że mnie wpierw dlatego, że urosły mi piersi, a potem dlatego że na twoje oko były za małe.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Jeżeli, jak powiedziałaś wczoraj, ojciec prawie nie zdaje sobie sprawy z tego, co się wokół niego dzieje, to nie robi mu różnicy, czy przyjedziesz przed niedzielą, czy po.

- Uprzedziłam ich, że będę w piątek.

- Więc zawiadom, że nie możesz.

- W porządku - ustąpiła. - Dobrze, jeśli tak ci zależy. Ale przyznam, że na nic nie mam mniejszej ochoty niż na obiad u Thwaitesów. Dlaczego nie mogą nas zaprosić na inny dzień?

- Bo kiedy indziej też mają gości.

- Nudziarz z tego Jima Thwaitesa. Zadowolony z siebie nudziarz.

- Ośmielał ci się przypomnieć, że jest moim współnikiem.

- Pasujecie do siebie jak ulał.

Don wziął teczkę i wyszedł z pokoju. W drzwiach odwrócił się i powiedział:

- Więc mogę powiedzieć Jimowi, że przyjdziemy?

- Chyba tak.

No to pokłóciliśmy się, pomyślała. Boże, kiedy klóciliśmy się ostatni raz? Przepraszam, powiedziała w myśli do oddalających się pleców Dona, przepraszam za to wszystko, ponieważ wiem, że zachowuję się jak głupia, a ty masz absolutną rację, ojciec nie odróżnia już piątku od poniedziałku ani w ogóle jednego dnia od drugiego.

Stała w hallu ze wzrokiem utkwionym w telefon, a kiedy się odwróciła, zobaczyła Paula opartego o framugę kuchennych drzwi, przyglądał się jej.

- Na miłość boską! Przestraszyłeś mnie. Chcesz coś?

- Nic. Dlaczego wciąż podnosisz i kładziesz słuchawkę?

- Nieprawda. Nie mogę przypomnieć sobie czyjegoś numeru, to wszystko. Zmykaj lepiej do szkoły.

- Właśnie wychodzę. Nie denerwuj się, mam. Znalazła numer przez biuro numerów, dziesięć minut spacerowała tam i z powrotem między kuchnią i hallem, w końcu zatelefonowała. Głos sekretarki powiedział z oddali:

- Pana dyrektora w tej chwili nie ma. Kto dzwoni?

- Proszę powtórzyć, że dzwoniła pani Linton. Będę mogła przyjechać do Lichfield dopiero w poniedziałek.

- Pani Linden?

- Linton.

- Czy życzy pani sobie, żeby pan dyrektor zadzwonił do pani?

- Nie, dziękuję - odpowiedziała ogarnięta paniką Anna. - To zbyt wiele. -
Odkładając słuchawkę spostrzegła, że drży.

Pięć minut później jeszcze raz podeszła do telefonu.

- Don?

- Tak?

- Przepraszam, pewnie dzwonię nie w porę?

- Zaraz przychodzi klient. Masz coś do mnie?

- Przepraszam za tę rozmowę o Thwaitesach. To naprawdę bez znaczenia, że pojedę do Lichfield dopiero w poniedziałek.

Głos Dona, niewyraźny, mówił do kogoś innego:

- Mandy, zostaw tę teczkę na wierzchu, będę jej za chwilę potrzebował.

A teraz znowu wyraźny, skierowany był do niej.

- Dobrze. Świetnie. Jim prosi na siódmą trzydziści. Masz coś jeszcze?

- Nie. Nic. O której wrócisz?

- Jak zwykle. Dlaczego pytasz?

- Pomyślałam, że miło by było wyskoczyć gdzieś na drinka, jeśli będzie ładny wieczór.

- Skoro masz ochotę - odpowiedział. - Jeszcze zobaczymy. W domu będę musiał przejrzeć kilka dokumentów.

- Don...

- Słuchaj, przerwałam mi w środku pracy. Porozmawiamy później.

- Dobrze - odpowiedziała. - Do zobaczenia.

Był maj. Żywopłot otaczający ogród przypominał zielony wał. Jeszcze dwa miesiące temu przez jego gałązki widać było ulicę i domy naprzeciwko. Gdyby cofnąć się o te dwa miesiące, dwie pełnie księżyca, odjąć przyrost trawy i liści, odliczyć wstecz ponad dziewięćset uderzeń licznika w samochodzie, każde oznaczające jedną milę, byłby znowu marzec, a do rozstrzygnięcia problemu nie większej miary niż sprawa dalszej edukacji Paula albo kwestia zaliczenia przez niego części przedmiotów egzaminacyjnych już w tym semestrze. Ojciec czuł się jeszcze wtedy całkiem dobrze i żył szczęśliwie w Starbridge, a ja sama miałam wyraźnie sprecyzowany pogląd na wiele spraw, między innymi również na temat przeszłości, jej znaczenia i roli, jaką odgrywa w ludzkim życiu. Niczego szczególnie nie pragnęłam ani nie żałowałam.

Później poszła do nie używanego pokoju na górze i opróżniła wszystkie szafy. Przyszła Judy i wyciągnawszy się na łóżku przyglądała się matce. Kusa spódnica od szkolnego mundurka ledwo przykrywała jej uda, końce rozwiązanej krawata wetknęła pod rozpiętą bluzkę.

- Dlaczego nie zdejmiesz z siebie tych łachów? - spytała Anna. - Patrz, tu jest moja koszula, nigdy jej nie noszę, ładna - chcesz?

- Nie, dziękuję.

- Dlaczego? Pasowałaby na ciebie. Jesteś już prawie mojego wzrostu. Przymierz. Kochanie, nie kładź nóg na łóżku. Pobrudzisz narzutę.

- Po co to wszystko wyrzuciłaś? Nigdy nie robisz porządków. Założę się, że latami do tego nie zaglądałaś. Ktoś będzie tu mieszkał?

- Nie, ale postanowiłam wreszcie posprzątać.

I muszę się czymś zająć zamiast rozmyślać, rozpamiętywać, przeżywać, że od czwartku do poniedziałku jest jeszcze pięć dni.

- Chodź - powiedziała - zaniemiemy te rzeczy do śmietnika, a potem zrobię strasznie skomplikowane ciasto. Pomożesz mi? Kiedyś lubiłaś takie zajęcia. Ale włóż coś innego, nie musisz nosić szkolnego ubrania w domu.

- Nie warto go oszczędzać - odpowiedziała Judy. - Po co?

Don przeczytał materiały dotyczące sprawy Styles kontra Jackson Construction Company i pomyślał (notując jednocześnie w pamięci, że zawiera ona jeden czy dwa zawile punkty, którym trzeba się będzie dokładniej przyjrzeć), że ostatnimi czasy Anna zachowuje się nieznośnie. Nie uważał, żeby jej wyjazdy do Lichfield były dla niego osobiście szczególnie uciążliwe, dobrze rozumiał ich potrzebę, i dlatego dzisiejsze wieczorne zajście trochę go zirykowało. Siedziała w pubie, bliska wręcz łez i można było pomyśleć, że w duchu pragnie, żeby nakazał jej jeździć tam rzadziej albo zgoła zabronił. „Na miłość boską, Anno - tłumaczył rozsądnie - mnie to naprawdę mało obchodzi, jestem w tej chwili zbyt zajęty. Muszę już wracać. Chodźmy.”

Nie był to sprzyjający moment, żeby poruszać kwestię owego domu w Wallingford, o którym się dowiedział, a który miał ogród sięgający aż do rzeki. Może potrwać, zanim przekonam ją do przeprowadzki, myślał, nie mówiąc już o wykrzesaniu odrobiny entuzjazmu. Powiniennem pewnie dziękować, i istotnie wdzięczny jestem losowi, że nie ożeniłem się z kobietą ekstrawagancką, domagającą się kosztownych wakacji i prezentów. Och, myślał, jakoś ją podejść, potrzeba tylko trochę czasu i taktu.

W salonie Thwaitesów na błyszczącej tafli parkietu tu i ówdzie leżały wschodnie dywany, trochę pośrodku wytarte, głęboka czerwień mieszała się z pruskim błękitem. Pod ścianami stały masywne otomany i fotele z lat trzydziestych, a przy każdym mały antyczny stoliczek, by gość miał na czym postawić szklaneczkę, filiżankę czy popielniczkę. Anna ostrożnie odstawiła kieliszek sherry i dalej słuchała Joan Thwaites opowiadającej o jeździeckich sukcesach wnuczki, dwutygodniowych wakacjach w Grecji

oraz zbliżających się wyborach do władz lokalnych. - Tak - mówiła. - Naprawdę jej się udało? Nie, o tym nie słyszałam. Nie miałam chyba okazji go poznać. - Anna uwolniona od towarzystwa gospodyni (która wstała, żeby przywitać nowo przybyłych gości i rozmieścić ich w salonie, jednych zgrupowała przy kominku, innych koło okna) nie widzącym wzrokiem patrzyła wprawdzie na portret założyciela firmy wiszący nad kominkiem, potem na wazę Lalique'a, zdobiącą podęczny stolik obok i nawet nie dostrzegła, że ma ona maleńką skazę na brzegu. Wypiła jeszcze jeden łyk sherry, odbyła wyimaginowaną podróż do Lichfield i z powrotem, z uśmiechem mającym wyrażać zainteresowanie odwróciła się ku sąsiadowi z prawej, a podczas gdy do niej mówił, napisała w myślach list pełen rozpaczy i uniesień, potem go podarła, a następnie pozwoliła swojemu rozmówcy przeprowadzić się z salonu do jadalni i usadzić na jednym z ośmiu krzeseł imitujących chippendale. Don, na którego teraz przypadła kolej rozmowy z Joan Thwaites, siedział po przekątnej. Zjadła wspaniale consomme i wysłuchała, co Jim Thwaites ma do powiedzenia na temat kwietniowej pogody na Półwyspie Peloponeskim oraz chciwości greckich hotelarzy. Siedząca vis a vis znajoma Thwaitesów (pani pod sześćdziesiątkę, za wszelką cenę jednak pragnąca sprawić wrażenie rześkiej i pełnej werwy) wtrąciła:

- Jim, tak wam zazdroszczę. Już z górą pięć lat nie byłam w Grecji.

- Cóż - mówił Jim - ja, jako badacz starożytności, jestem, ma się rozumieć, zauroczony Grecją. Po raz pierwszy wybrałem się tam jeszcze w latach studenckich - w... mój Boże, chyba w trzydziestym piątym. A ty, Anno, byłaś kiedyś w Grecji?

- Nie.

- Ach, moja droga! - wykrzyknęła dama - jakie cudowne przeżycia przed panią! - Wzięła do ręki widelec, dziabnęła nim leżący na talerzu kawałek łososia i odrobinę sałatki. Uśmiechała się zyczliwie do Anny.

- Taka podróż wiele by ci dała - powiedział Jim Thwaites. - Dopilnujemy, żeby Don niedługo cię tam zabrał. Anna uczy historii - wyjaśnił - w... w naszym liceum, prawda?

- To musi być ogromnie ciekawe zajęcie.

- Uczylałam - sprostowała Anna. - Tak się składa, że właśnie straciłam pracę.

- Przykre - powiedział Jim Thwaites. - Pewien jestem, że z łatwością znajdziesz dla siebie coś nowego. Nasza Sybil zajmuje się pisaniem.

Sybil skromnie pochyliła głowę nad talerzem.

- Co pani pisze? - spytała Anna.

Na przeciwległej ścianie, nad kredensem (gdzie stały przygotowane już talerzyki deserowe i szklana salaterka z wafelkami) wisiały, nie rzucając się w oczy, oprawione w złoczone ramki niewielkie ryciny przedstawiające słynne angielskie katedry, trzecia z lewej to prawie na pewno katedra w Gloucester. W drugim końcu stołu Don i Joan Thwaites rozmawiali, jak się wydawało, o polityce miejscowej administracji.

- Sybil pisuje przeurocze reportaże z podróży dla „The Countryman” - wyjaśnił Jim.

- Ostatnio zamieszczam więcej w „The Country Life” - poprawiła go Sybil - i w „Vogue”. Ten genre.

- Naprawdę? Joan pokazała mi twój artykuł o wyprawach archeologicznych we wschodnie rejony Morza Śródziemnego. Bardzo mi się podobał i przyznam, że sam nabrałem chętki, żeby tam pojechać.

- Reprezentują znakomity poziom, mam na myśli archeologię - Sybil ponownie uśmiechnęła się do Anny. - To moja pasja. A w przyszłym miesiącu czeka mnie prawdziwa duchowa uczta - po raz pierwszy w życiu jadę do Efezu. Całe życie o tym marzyłam.

- Ach. Sybil! - wykrzyknął Jim Thwaites. - Będziesz musiała wszystko nam opowiedzieć. No, no, masz teraz nad nami punkt przewagi.

- Za to wy zaliczyliście Knossos, prawda?

- Racja. Wspaniałe przeżycie.

- Oczywiście - mówiła Sybil - obecnie w dobie organizowanych grupowych wyjazdów to już nie to samo. Przed wojną miało się naprawdę uczucie, że tam nic się nie zmieniło od tysięcy lat. I ludzie nie byli tacy zepsuci. Jako młoda dziewczyna - zwracała się teraz do Anny, a Jim Thwaites przysłuchiwał się z aprobatą - kopałam w Palestynie, w jednej ze stacji nad Morzem Martwym.

- To musiało być interesujące - powiedziała Anna.

- Wprost niewiarygodne. Jeszcze teraz czuję ten zapach, upał pomieszany z przedziwną, do niczego niepodobną atmosferą Środkowego Wschodu.

Złocony zegar ścienny Thwaitesów cichym kurantem obwieścił dziewiątą. Anna, którą od jedenastej dzieliły jeszcze dwie godziny, a od przyszłego tygodnia niezliczone setki godzin, powiedziała:

- My z Donem wybraliśmy się w zeszłym miesiącu do Belas Knap.

Po trwającej ułamek sekundy pauzie Jim Thwaites odezwał się:

- Zaraz, zaraz, wiem... to w Turcji, tak?

- W Cotswolds. Niedaleko Winchcombe. Jest tam kurhan z okresu neolitu.

- W dziedzinie angielskiej archeologii jestem, niestety, straszną ignorantką - wyznała Sybil. - To nie całkiem to samo, prawda? - zaśmiała się. - Kilka lat temu pojechaliśmy do Fishbourne, pamiętam tych potępieńców ryjących w błocie, istotnie trzeba przed nimi chylić czoło.

- Kilka mil stąd - ciągnęła Anna - na wzgórzach kredowych, znajduje się nasyp długi na około siedem, osiem kilometrów. Można prześledzić jego bieg i istnieje hipoteza, że pierwotnie, w czasach celtyckich, był to wał wyznaczający granice plemiennego terytorium. Oczywiście są jeszcze Ridgeway i Uffington. Nie interesuję się specjalnie zrekonstruowanymi zabytkami z czasów rzymskich, jak Chedworth, jestem jednak zdania, że North Leigh zasługuje na uwagę. I nie wolno zapominać o Rollright Stones.

- Warto by - powiedział Jim Thwaites - spenetrować, co mamy na swoim terenie, można by rzec, tuż za progiem. Co ty na to Sybil?

- Gdyby nie ten straszliwy klimat...

- Racja, gdyby nie klimat, jak mówisz, który sprawia, że wszystko traci swój urok.

Z drugiego końca stołu Joan Thwaites podając każdemu mus cytrynowy powiedziała:

- Anno, widziałam twoją fotografię w gazecie. Brałaś udział w demonstracji w sprawie tego starego domu.

Aha. Tak. Ramię w ramię z Sandra, Pickeringami i całą resztą, ubrana w spodnie i ciepły sweter, w chustce na głowie, z wyrazem twarzy, którego na tym zdjęciu, wydrukowanym na lichym papierze gazetowym, nie sposób odgadnąć: zaangażowana i odpowiedzialna obywatelka, która zgodnie z nakazem sumienia występuje w obronie słusznej sprawy.

- Zdaje się, że jeszcze definitywnie nie zdecydowano, czy dom będzie zburzony, czy nie, prawda? - spytała Joan.

- Chyba jeszcze nie - odpowiedziała Anna.

- To byłoby oburzające. Czy wszyscy dostali? Jedzmy, bardzo proszę.

Łyżeczki zadzwoniły o szklane naczynia, za oknem, widoczny za lewym uchem Jima Thwaitesa kos przechadzał się po świeżej majowej trawie, a w Staffordshire obrzeża ścieżek porastają kępy trybuli leśnej i zieleń drzew jest tak obfita, że aż trudno uwierzyć, śpiew ptaków oszałamia, o świcie rozbrzmiewa symfonia dźwięków, jaskry nad rzeką wyglądają jak płatki śniegu.

Siedząca po drugiej stronie stołu Sybil, która para się piórem, narzekała, że przy obecnych notowaniach funta podróże stają się prawie niedostępne, człowiek czuje się dosłownie jak w pułapce.

- Proszę mi powiedzieć - zwróciła się do niej Anna - czy klimat nad Morzem Martwym nie jest przykry? Nigdy tam nie byłam, ale wyobrażam sobie, że musi być okropny.

Na twarzy Sybil gaśnie uprzejmy uśmiech, jakim świadoma dzielącej je różnicy wieku obdarza młodszą od siebie Annę, w lewo, w kierunku Jima Thwaitesa, śmiga szybkie spojrzenie (zajmij się, proszę, tym swoim gościem), ręka o pomalowanych różowym lakierem paznokciach składa serwetkę.

- Na Boga, czyżbyśmy wrócili do archeologii? Było tam, oczywiście, trochę parno, ale przy tak frapującym zajęciu nie miało to wcale znaczenia.

- Rozumiem.

Jednocześnie od strony, gdzie siedzi Jim, słychać przełknięcie śliny i szurnięcie krzesłem.

- Joan zaprasza nas teraz do drugiego pokoju na kawę. Tędy proszę.

Jest za kwadrans dziesiąta.

Następuje przegrupowanie gości. Sybil sadowi się w bezpiecznej odległości, w dalekim końcu salonu, Don u boku Jima Thwaitesa dwa krzesła dalej, Annie przypada w udziale towarzystwo młodego księgowego z Henley, który usilnie stara się nawiązać rozmowę.

Dziesiąta.

Wspólny temat, nad którego wyszukaniem młody człowiek tak się napracował (przepraszam, zazwyczaj lepsza ze mnie rozmówczyni, nie mam żadnego powodu, żeby pana nie lubić, chodzi o to, że myślami jestem gdzie indziej), został nareszcie znaleziony - otóż rodzice jego żony mieszkają w Lichfield.

Jak to się stało, że bez mojego świadomego udziału ani nawet kiwnięcia palcem, żeby mu coś zasugerować, doszliśmy do Lichfield?

- A w którym dokładnie miejscu mieszka pani ojciec?

Młody człowiek zna też i Starbridge, dotarł tam kiedyś w letnie popołudnie (może uciekając od towarzystwa teściów?), spacerował nad rzeką, wypił kufel piwa w Barley Mow.

- Tak, byłam tam raz, może dwa.

- A jeśli szuka pani przyjemnego miejsca, gdzie można coś zjeść, jest taka nowa restauracyjka w... jakies trzy, cztery mile w kierunku Tamworth. Prowadzi ją Rosjanin, były zapaśnik.

- Naprawdę? Dziękuję za informację, będę pamiętać. Przepraszam, dochodzi jedenasta, jeśli uda mi się dać znak mężowi, będziemy...

- Tak się akurat składa - mówi sympatyczny młody człowiek - że jedziemy tam z Susan już w ten weekend. Zostaniemy w Lichfield około

dziesięciu dni, a teściowie wyjeżdżają na tydzień. Będziemy pilnować im domu, a ja przy okazji wyrwę się trochę na ryby. Na szczęście przyjaciel zaproponował, żebyśmy spędzili kilka dni z wędką nad rzeką Dove.

Z brzękiem filiżanek do kawy miesza się teraz szum rzeki i przebijający przezeń świst linki nawijanej na kołowrotek. Muszę udawać zainteresowanie, nie wolno mi zdradzać roztargnienia.

- ...Gdybyśmy mogli na coś się pani przydać - ciągnie - wspomniała pani o porządkowaniu domu ojca, wieczorami nie ma tam specjalnie co robić, z przyjemnością kiedyś wpadniemy...

Szczęśliwie chwytając w końcu spojrzenie Dona i wśród podziękowań i uwag o tym i owym udaje się im wycofać, bez umawiania się (proszę wybaczyć, przykro mi, po prostu jeszcze nie wiem, coś może nagle wyskoczyć, trudno przewidzieć, kto z nas może wiedzieć?). Teraz jeszcze Joan i Jim Thwaites, z którymi wbrew ich zapraszającym naleganiom, by zostali, trzeba się pożegnać i w końcu można opaść na fotel w samochodzie.

Jest kwadrans po jedenastej.

Musi istnieć w przyrodzie, myślała Anna, jakiś trudny do uchwycenia moment przełomowy, kiedy proces wzrostu przeradza się w proces umierania. Ten moment już wkrótce nastąpi. Ledwie dwa tygodnie temu drzewa na tym odcinku A 446 dopiero się zieleniły, a teraz liście są już duże. Czy ten następny etap zaczyna się, gdy tylko rozwiną się w pełni? Czy istnieje czas bezruchu, kiedy nic się nie zmienia, liście po prostu są? Czy botanik, oglądając liść, potrafi określić, w którym miesiącu czy tygodniu go zerwano? Czy można wskazać moment, w którym jeden stan się kończy, a drugi zaczyna?

Nie o to zresztą chodzi. Ważniejsze jest światło padające ukośnie poprzez korony topoli rosnących po obu stronach szosy, zarys kępy wiązów na tle nieba, pęd trybuli leśnej ledwie widoczny na poboczu, kiedy, przed skrzyżowaniem w prawo na drogę do Lichfield, Anna zatrzymuje się za samochodem jakiegoś akwizytora (jego płaszcz wisi na haczyku zasłaniając okno, próbki towarów rzucił na tylne siedzenie).

- W gazecie było moje zdjęcie - odezwała się do Dawida. - Pokażę ci.

- Naprawdę?

- Co robiłeś przez ten czas?

- Czekałem.

- Ja też.

Nasiona wykiełkowały i roślinki były już na dwa centymetry wysokie, czarnuszka, nagietki, malwy. Rosły bujnie, różniąc się wyraźnie od siebie, jedne miały listki podługne, inne okrągłe, jeszcze inne postrzępione jak

liście marchwi. Pochyliła się nad nimi z podziwem, pytając się w myśli: dlaczego tak dawno tego nie robiłam? Całkiem zapomniałam, co to za frajda, jakie uczucie triumfu.

Z żalem wyrwała niektóre pędy, by inne mogły się rozrosnąć.

- Tak - powiedziała - macie zakwitnąć. W lipcu czekam na was.

- Szkoda wracać do domu, jeśli mamy wyruszyć o wpół do dziesiątej - powiedział Dawid.

- Nie mógłbyś...?

- Nie - odpowiedział ze smutkiem. - Naprawdę nie mogę. Nie dzisiaj. Chociaż na pewno byłoby miło.

- Nie mów „miło”.

- Słusznie. Ale nie przychodzi mi na myśl odpowiednie słowo.

- Kocham cię - powiedziała.

- Wrócę na śniadanie. I będziemy mogli wyruszyć z samego rana.

Leżąc samotnie myślała: co będzie, jeśli tej kobiety nie zastanę? Dobrze by było zadzwonić stąd rano, znaleźć numer przez biuro numerów, przedstawić się, zapytać, czy odpowiada jej dzisiejszy dzień. To, oczywiście, nie wchodzi w rachubę, bo teraz wizyta u niej nie jest już jedynym celem wycieczki, gdyby jej nie było - wyszła, wyjechała albo nie zgodziła się mnie przyjąć - znikłby pretekst, żeby jechać na cały dzień do Gloucester tylko we dwoje. Nie dam sobie odebrać tej przyjemności, doprowadzę do tego za wszelką cenę. Zastanę ją, dobrze, a jeśli nie, drugie dobrze. I właśnie dlatego nie postąpiłam, jak nakazywałyby takt i rozsądek, i nie napisałam uprzedzając o przyjeździe. Na wypadek, gdyby odmówiła.

- Jedziemy autostradą? - spytała. - Musimy?

- Tak jest najszybciej.

- Mamy przecież cały dzień - oponowała - albo przynajmniej większą część dnia. Chcemy też coś zobaczyć, prawda? Autostrada w okamgnieniu przeniesie cię z miejsca na miejsce, jak pas transmisyjny, nawet nie wiesz, że podróżujesz.

- Już dobrze - ustąpił Dawid - jeśli ci tak zależy. Ale to zajmie ponad trzy godziny. Czekaj... chyba tędy, przez Evesham.

- Masz rację. To będzie trwało wieki. Przepraszam, nie pomyślałam. A tak będzie więcej czasu na miejscu, po wizycie u pani Barron albo przed, obejrzymy sobie dokładnie Gloucester.

Autostrada nie była wcale taka nudna jak inne autostrady. Przecinała Birmingham i wynosiła samochody nad miasto, na bezkolizyjnych rozjazdach i wielopoziomowych skrzyżowaniach dorównywała wieżowcom i słupom elektrycznym zostawiając w dole płataninę ulic, domy i fabryki.

Nieprzerwany strumień pojazdów ciągnął się na wysokości dachów i w wyznaczonych miejscach rozdzielał na północ, południe, wschód i zachód. Wieżowce błyszczały w słońcu, przyciągały wzrok jak futurystyczne ilustracje w czasopiśmie poświęconym architekturze. Poniżej kryły się jeszcze gdzieś, jak gdyby zawstydzone, uliczki z szeregami małych domków z czerwonej cegły i dziewiętnastowieczne, czarne od pyłu fabryki.

- Co to za kanał? - spytała Anna.

- Grand Union, oczywiście - wyjaśnił Dawid. - Nigdy nie uczyłeś o rewolucji przemysłowej?

- Staralam się omijać ten temat.

- Chowalesz głowę w piasek - powiedział.

- Wcale nie. Po prostu zbyt mało o tym wiem.

A autostrada, pomyślała Anna, bardzo sprawnie ominęła Birmingham, prawie wcale nie trzeba było zwalniać, żeby przez nie przejechać. Milionowe miasto, które zostawiali za sobą, tworzyło ciekawą bryłę w krajobrazie. Jadąc z szybkością ponad osiemdziesięciu kilometrów na godzinę można było podziwiać widoki zza balustrady obrzeżającej szosę - tyle hektarów nawarstwionej cegły, betonu i stali przykrytych gęstą siecią dróg rozgałęziających się we wszystkich kierunkach. Anna przyglądała się porośniętym trawą barkom uwięzionym w mule kanału.

- Birmingham za nami - powiedział Dawid. - A teraz prosto na południe.

Ta autostrada wcale nie jest taka zła. Na lewo, jak podłużna niebieska flanka, wznoszą się wzgórza Cotswolds, z prawej strony, z rozległej niziny ostro wyrastają góry Malvern.

- Elgar z prawej strony - powiedziała. - Bitwa pod Evesham już blisko. Mamy czas na kawę?

- Wybrałem się kiedyś do Norwegii - opowiadał Dawid w przydrożnym barze. - O Skandynawii nic nie wiem i nie potrafiłbym ci opowiedzieć, jakim odpoczynkiem było dla mnie przebywanie w miejscach wolnych od wszelkich skojarzeń.

- Och - westchnęła Anna. - Nie sądzę, by mi to odpowiadało. Czułabym się wyobcowana. Myślę, że i ty też. Na pewno chciałbyś się w końcu czegoś dowiedzieć.

- Nie. Podziwiałem krajobraz. To wszystko.

Byłeś sam? chciała zapytać i nie mogła. Siedziała wpatrzona w Dawida i wyobraziła go sobie na tle znanych jej tylko z pocztówek lasów i fiordów Norwegii. U jego boku ustawiła pozbawioną twarzy Mary (niską?, wysoką?, brunetkę?, blondynkę?).

- Chcesz jeszcze kawy - zapytał - czy będziemy jechać?

Kiedy dojeżdżali do Gloucester, Anna odezwała się:

- Byłeś tu już przedtem?

Odpowiedź, że sobie nie przypomina, dziwnie ją uradowała. Jak to miło, myślała, spędzić razem dzień w miejscu, które w żadnym z nas nie budzi wspomnień.

- Gdzie pojedziemy najpierw? - spytała.

A Dawid, poszperawszy w jednym ze schowków, podał jej książkę ze słowami:

- Myślałem, że zaopatrzeni w przewodnik Pevsnera obejrzymy dokładnie cuda tutejszej architektury. Teraz potrzebny nam jest tylko parking.

Lecz coś stało się z zabytkami, którymi szczyliło się Gloucester. Bramy: północna, południowa, wschodnia, zachodnia, o których przewodnik dostarczał tylu interesujących informacji, znikły z powierzchni ziemi. Minęli sklepy Woolwortha i Marksa i Spencera, a kiedy dochodzili do British Home Stores, Dawid powiedział:

- Ta część miasta była prawdopodobnie zburzona podczas nalotów. A część domów odbudowano po wojnie.

- Nie wydaje mi się - powiedziała Anna. - Dlaczego by mieli tu zrzucić bomby, przecież w tej dzielnicy nie ma żadnych obiektów przemysłowych, prawda?

- Jednak musiała zostać zburzona. Tędy, dobrze?

- Tam nie ma nic ciekawego - powiedziała - przynajmniej tak twierdzi przewodnik.

- Wiem, ale zdaje się, że tu właśnie jest taki bardzo dobry sklep wędkarski. Obiecałem Tomowi muchy. To może być na tej ulicy.

Do diabła z Tomem, myślała, przemierzając najzwyczajszą w świecie ulicę, taką, na której zazwyczaj znajduje się sklep z warzywami, a obok rzeźnik. W głębi, za blokami biurowców, wznosiła się wieża katedry.

- Dochodzi pierwsza - powiedziała.

- Przepraszam cię, ale mu obiecałem. Zajrzyjmy jeszcze tam, dobrze?

- Oczywiście.

- Co mówisz? - Dawid starał się przekrzyczeć huk przejeżdżającej ciężarówki.

- Na miasto nie było żadnych nalotów. Według Pevsnera domy rozebrano... „...przy Westgate Street zburzono aż dwadzieścia pięć domów, które po drugiej wojnie światowej na mocy ustawy wpisano na listę obiektów zabytkowych.” Czy to nie straszne? - spytała.

- Aha. To tam. Na samym rogu. Przepraszam, zaraz wracam.

- Myślałam - powiedziała Anna - że cię to zaciekaWi. - Ale Dawid znikł już w sklepie. Anna, dotknięta jego zachowaniem, stała na ulicy czytając opis osiemnastowiecznego dwupiętrowego domu z czerwonej cegły z kamiennymi ornamentami oraz budynku National Provincial Bank, w którego hallu zachowano odkryty fragment rzymskiego chodnika. Muchy, myślała, można dostać wszędzie. Jeśli już o to chodzi, widziałam muchy u Woolwortha.

Przy lunchu powiedziała:

- Muszę zadzwonić do pani Barron.

- Już teraz? Zostanie mniej czasu na katedrę. Nie wiedziałem, że jest już tak późno - zdziwił się Dawid.

- Sporo czasu zajęło nam szukanie tego sklepu - powiedziała. Ich spojrzenia spotkały się na chwilę. Działyśmy sobie nawzajem na nerwy, pomyślała, i nie wiem, jak temu zaradzić. Poszła poszukać telefonu.

- Zastałaś ją?

- Tak. Powiedziała, że najbardziej odpowiada jej około trzeciej.

- Jakie zrobiła na tobie wrażenie?

- Trudno powiedzieć. Myślę, że była trochę zaskoczona. Powinam była napisać i ją uprzedzić.

- Myślałem, że to zrobiłaś.

- Nie - powiedziała. - Nie pisałam. - Przez chwilę siedzieli w milczeniu. - Dawidzie...?

- Mmm?

- Czy zastanawiałeś się, czy myślałeś, co będzie, kiedy mój ojciec umrze?

Spojrzał na nią i szybko odwrócił wzrok.

- Będziesz przecież przyjeżdżać, prawda? Załatwiać to i owo?

- Będę?

- Anno, posłuchaj - powiedział. - Życie nauczyło mnie jednego, jeśli w ogóle się czegoś nauczyłem, przestałem wierzyć, że cokolwiek można z góry zaplanować.

- Ja nie planuję. Zastanawiam się.

- Nie mówmy o tym - prosił. - Przynajmniej nie dziś. - Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. - Proponuję, żebyśmy pospacerowali trochę po Gloucester, zanim pójdziesz na spotkanie z panią B., co?

Planować, myślała, zwiedzając katedrę, nie, nigdy niczego nie planowałam, z wyjątkiem urodzenia dzieci, co zresztą jest jedną z najdziwniejszych decyzji, na jakie można się zdobyć. Planować powołanie kogoś do życia, kiedy z własnym trudno sobie poradzić. Spojrzała na

Dawida stojącego teraz w kolorowej plamie światła padającego przez witraż i mówiła do siebie: jeśli kiedykolwiek robiłam jakieś plany, ty nie byłeś w nich uwzględniony. Rok temu cię nie było, a teraz z drzeniem zaczynam każdy następny dzień. Rok temu mniej więcej zabrałam ojca na przejażdżkę do Ludlow. Pani Barron też wtedy dla mnie nie istniała. Mijaliśmy Wenlock Edge, a ojcu spodobał się zamek i z przyjemnością napił się herbaty w hotelu. To już się nie powtórzy, uświadomiła sobie z goryczą. „We wschodniej części klasztornych krużganków - czytała - znajduje się najstarsze ze znanych sklepień wachlarzowych.” Zapomniałam dać Paulowi pieniądze na obóz wakacyjny. Całe życie będę pamiętać Dawida stojącego tak jak w tej chwili, zapatrzonego w coś, czego ja nie widzę, z połową twarzy oświetloną słońcem.

Przed domem pani Barron Dawid zapytał:

- Jak myślisz, o której po ciebie przyjechać?

- Nie wiem. Za godzinę? Może mniej. A jeśli wytworzy się niezręczna sytuacja? Teraz nagle mam tremę.

- Wszystko będzie dobrze - Dawid uśmiechnął się niespodziewanie ciepło. - Nie martw się. Słuchaj, najlepiej umówmy się w jakimś miejscu. Między wpół do piątej a piątą przed katedrą.

- Dobrze - zgodziła się z wdzięcznością. - Tak będzie lepiej.

Był to jeden z szeregu skromnych jednorodzinnych domków stojących wzdłuż spokojnej, zadrzewionej, dającej poczucie bezpieczeństwa ulicy. Anna nacisnęła dzwonek i z nagłym zdumieniem pomyślała, że pewnie kiedyś, w jakimś momencie, ojciec robił dokładnie to samo, stał na tym samym starannie zamiecionym stopniu i przez matową szybę w drzwiach widział zamgloną postać, która po drugiej stronie manipulowała przy zamku i kłamce.

Kobieta była starsza, niż Anna przypuszczała, bliżej pięćdziesiątki niż czterdziestki. Ubrana starannie, chociaż może bez polotu, zachowywała się trochę sztywno i z rezerwą, co chyba nie było spowodowane tylko tą szczególną sytuacją. Zaprowadziła Annę do schludnego, robiącego dziwnie bezosobowe wrażenie saloniku, wyjaśniając po drodze, że każdego innego popołudnia byłaby w pracy, w bibliotece publicznej, ale dziś się zwolniła, żeby rano zawieźć córkę do szpitala.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - powiedziała Anna.

- Katar sienny. Obecnie dają na to zastrzyki. Córka ma w tym roku maturę, więc trzęsiemy się nad nią. Każdej wiosny bardzo ją ta dolegliwość męczy. Więc, jak już mówiłam, każdego innego dnia nie zastałaby mnie pani. - Ukradkiem spojrzała na Annę równie jak ona badawczo.

- Przykro mi z powodu pani ojca. Ciekawa byłam, jak się ostatnio czuje. Czy stan jest bardzo ciężki?

Anna opowiedziała o wszystkim. Kończąc dodała: - Ciekawa byłam... Nie wiem, kiedy go pani ostatni raz widziała.

- Już jakiś czas temu. Dwa, może trzy lata. Miał zwyczaj od czasu do czasu zaglądać do nas, jeszcze kiedy częściej ruszał się z domu. Chętnie wybrałabym się tam kiedyś sama, ale nie chciałam się narzucać.

- Myślę, że winna jestem pani wyjaśnienie - wtrąciła Anna. - Do całkiem niedawna nic nie wiedziałam o pani ani o pani matce. W pewnym sensie był to dla mnie szok.

Pani Barron milczała przez chwilę. Kiedy się odezwała, w jej głosie brzmiała nieobecna dotąd nuta zrozumienia.

- Ach, tak. Nie zdawałam sobie z tego sprawy. Tak, oczywiście, musiało to być dla pani zaskoczenie - jak dla każdego. - Teraz spojrzała na Annę z błyskiem przyjaźni w oczach. - Nie wiem naprawdę, co powiedzieć, poza tym, że zmartwiłam się słysząc, że jest chory. Zawsze był dla mnie dobry, pomógł mi dojść do siebie, kiedy mąż mnie zostawił. Był bardzo dobry.

- Jak go pani nazywała?

- Wujek James. Milczały.

- Chciałabym go odwiedzić - powiedziała pani Barron - ale skoro, jak pani mówi, nie bardzo się orientuje... nie byłoby chyba większego sensu.

- Myślę, że nie.

- To przyszła Janice. Jan, chodź na chwilkę.

Podczas matczynej prezentacji dziewczyna wpatrywała się posepnie w Annę. Rzuciła „dzień dobry”, a potem zwróciła się od razu do matki:

- Nie wiem, dlaczego miałabym pomagać w tym szkolnym przedstawieniu. Zawsze zwalają to na ostatnią klasę. Cholera, to nie fair - i rzucając wyzywające spojrzenie na matkę hałaśliwie wytarła nos w zwój zgniecionych chusteczek higienicznych.

- A czego w tej sprawie oczekujesz ode mnie?

- Niczego. Ale nie mogę zajmować się tym i iść po zakupy, nie?

- Nikt cię nie prosi. I mówiłam ci już, nie noś tej starej spódnicy. W szpitalu wstydziłam się, że tak wyglądasz.

Anna odwróciła wzrok ku fotografiom ustawionym na gzymsie kominka. Pani Barron z młodszą o kilka lat Janice, jakaś starsza kobieta, Janice w dzieciństwie. Za jej plecami trwał spór między matką a córką, aż wreszcie Janice oświadczyła:

- Przynajmniej znasz moje zdanie - i trzaskając drzwiami wyszła z pokoju, na Annę już więcej nie spojrzawszy.

- Chciałam posłać ją do prywatnej szkoły, ale to nie wchodziło w rachubę. Jest inteligentna, to nie ulega wątpliwości - powiedziała pani Barron. Wydawało się, że nie dostrzega albo nie zwraca uwagi na brak chociażby odrobiny wdzięku u córki. Nie wykazując zainteresowania opowiadaniem Anny o dzieciach, pani Barron siedziała przyglądając się Janice, która rozmawiała przy furtce z drugą dziewczyną. Kiedy Anna na chwilę przerwała, pani Barron stwierdziła:

- Nie podoba mi się ta Linda. To nie jest dla Janice towarzystwo.

- Czy nie uzna pani za niedelikatność z mojej strony, jeśli spytam o pani matkę?

- Dlaczegożby miała pani nie pytać? Zabawna sytuacja, prawda? Proszę poczekać, zrobię kawę. - W drzwiach odwróciła się i dodała: - Powinna była pani wejść z mężem, nie trzeba go było odprawiać, nie przeszkadzałoby mi to wcale.

Wróciwszy z tacą, na której stał dzbanek i filiżanki do kawy, zaczęła z mniejszą już rezerwą.

- Poznali się chyba około czterdziestego roku. Ojciec zginął zaraz na początku wojny, a matka pracowała wtedy w ministerstwie, tam gdzie i pani ojciec. Nie w tym samym dziale, ale spotykali się na zebraniach i przy innych okazjach. Wszystko musiało się wtedy zacząć. Mnie razem ze szkołą ewakuowano do Walii, więc nieczęsto się z matką widywałam, ale na wakacje wynajmowała letnisko, jakiś domek, gdzie mogłyśmy być razem. Odwiedzał nas wtedy i takie są moje pierwsze wspomnienia o nim. Byłam oczywiście jedynaczką, mama i ja miałyśmy tylko siebie. Zabawne, prawda, jak te rzeczy się powtarzają - teraz tak samo jest ze mną i Jan. Czasami zastanawiam się... - umilkła na chwilę. - Można się trochę bronić, ale pewne rzeczy są nieuchronne, nikt nie może nic poradzić - spojrzała na Annę. - Mój mąż odszedł z inną kobietą, kiedy Jan miała cztery lata.

- To przykre.

- Ale pani przecież nie przyszła słuchać o mnie. Nie jestem podobna do matki. O, to zdjęcie - podeszła do biurka i przyniosła fotografię - zrobiono w czasie wojny.

Twarz niezbyt ładna, ale pozostająca w pamięci. Ciemne włosy, ciemne, trochę grube brwi, wystające szerokie kości policzkowe. Nic nie mówiący wyraz twarzy, wywołany być może konfrontacją z obiektywem. Anna odłożyła fotografię i zapytała:

- Jaka... jaka ona była? Przepraszam, na to pytanie nie może pani odpowiedzieć.

- Była sympatyczna, to wiem na pewno, ogólnie lubiana, zdobyła sobie mnóstwo przyjaciół. Stale była czymś zajęta, pochłaniało ją wiele spraw, miała dużo zainteresowań, wciąż angażowała się w to czy tamto. Energiczna... i pogodna. Nawet kiedy już była bardzo chora, do końca starała się dowcipkować. Rozśmieszała pani ojca, trochę się z nim przekomarzała. Żartowała z niego, ale w miły sposób.

- Nie mogę sobie tego wyobrazić - powiedziała Anna. - Od dawna nie żyje?

- Od dziewięciu lat. Bardzo mi jej brak. Cóż, taki los... Jeszcze kawy?

- Dziękuję. O czym zazwyczaj rozmawiali? Pani Barron zapatrzyła się w dal.

- Pyta pani o nią i ojca? Boże, trudno mi sobie przypomnieć. Ale mówili bez przerwy, to pamiętam. Spierali się, moja matka miała zdecydowane poglądy. Rozmawiali o polityce, malarstwie i podobnych rzeczach, muzyce. Matka kochała muzykę, jako mała dziewczynka bardzo dobrze grała na pianinie, potem to zarzuciła. A ojciec pani żywo interesował się muzyką, prawda?

- Nie - powiedziała Anna. - Nie przypuszczałam, że się interesował. Byłam pewnie w błędzie.

- Zabawne - powiedziała pani Barron - kiedy zaczynam mówić, powracają wspomnienia. Widzę ich teraz oboje, jak siedzą w ogrodzie domu w Twickenham, gdzie mieszkaliśmy tuż po wojnie, i słuchają koncertu promenadowego przez radio. Akurat wtedy zaczęłam naukę w studium nauczycielskim. Ojciec pani i tym razem bardzo mi pomógł, wyszukiwał informacje o szkołach, kursach itp. Właśnie tego brakuje teraz Jan, a szkoła, przyznam pani, robi bardzo niewiele - przez chwilę smutno wyglądała przez okno. - A pani pracuje?

- Proszę nazywać mnie Anną. Do niedawna uczyłam, sądzę, że niedługo zacznę znowu.

- Mnie na imię Shirley. Zamięczam Jan tą maturą. Nawet, chyba, za bardzo ją sztorcuję, ale przecież ona sama musi poważnie myśleć o sobie. W jej wieku młódzież nie zdaje sobie z tego sprawy, prawda?

- Pewna jestem, że da sobie radę, jeśli, jak mówisz, przykłada się do nauki.

- Mam nadzieję.

- Kiedy...? Mówisz, że ostatnio rzadko widywałaś ojca.

- Tak, raczej. Po śmierci mamy byliśmy w kontakcie, dzwonił od czasu do czasu albo przyjeżdżał na niedzielę. Zostali przyjaciółmi, nawet jak już wszystko inne się między nimi skończyło. Kiedy dorosłam, zawsze

wydawało mi się to dziwne, taka przyjaźń między kobietą i mężczyzną. Myślisz, że to się często zdarza?

- Nie wiem - odpowiedziała Anna. - Przyznam szczerze, że nie wiem.

- Mnie to się wydaje dziwne, ale nie mogę wyzbyć się uczucia zazdrości, może nie zazdrości, ale w pewnym sensie podziwu. Matka zawsze mogła się do niego zwrócić ze swoimi sprawami - długo, długo po tym, jak już nic między nimi nie było. Uważam, że to dobrze. - Spojrzała ostro na Annę. - Czasami ciekawa byłam, jacy jesteście, ty i twój brat.

- A więc wiedziałaś...

- O tak, wiedziałyśmy. Mama nigdy o was nie wspominała. Myślę, że czuła się... wiesz, czuła się winna.

- Tak, rozumiem.

- Ale ja o was myślałam. Byłam chyba trochę zazdrosna. Bardzo lubiłam twój ojca. Można by chyba powiedzieć, że kiedy byłam mała, pragnęłam, żeby był moim ojcem. - Nieśmiało dodała: - Nigdy nie przyszło mi nawet do głowy, że ty nie wiedziałaś o naszym istnieniu. To musi być szokujące odkrycie. Pewnie ci żal, żal twojej matki.

Na chwilę zapadła kłopotliwa cisza.

- Naprawdę nie sądzę - odezwała się Anna - żeby obecnie uczucia moje czy twoje miały tutaj jakieś znaczenie, szczególnie uczucia jak gdyby w imieniu kogoś innego. Tak, myślę, że mi jej żal. Ale ona nigdy nie dowiedziała się prawdy, chociaż tyle dobrego.

- Mnie też to cieszy - powiedziała Shirley Barron. I po chwili dodała: - Nie możemy sądzić innych, prawda? Nie wiemy, co nimi powoduje.

W hallu dziewczęcy głos ciągnął przez telefon ledwo słyszalny monolog. Shirley powiedziała: - Wciąż jej powtarzam, żeby dzwoniła wieczorem, kiedy jest taniej. Przepraszam cię na chwilę.

Za na wpół przymkniętymi drzwiami matka i córka sprzeczały się, nieznacznie tylko ścisząc głosy:

- Nie zabrałoby ci pięciu minut, gdybyś pofatygowała się do Hilary, zamiast trwonić pieniądze na telefon.

- Muszę przecież odrobić matkę, nie?

- Nie ma spraw, które nie mogłyby poczekać do jutra.

- Dlaczego ja nie mogę rozmawiać z moimi przyjaciółmi, a tobie wolno?

Ten niewielki, robiący przygnębiające wrażenie dom, był jak klosz, który odgradzał je nawet od życia owej ulicy na przedmieściu, pełnej małych dzieci na rowerkach i kobiet z siatkami zakupów. Trudno było zrozumieć, jak kobieta ze zdjęcia, rzekomo otwarta i lubiana, mogła stworzyć w swojej rodzinie taką nieprzytulną atmosferę. Kiedy się nad tym zastanawiała,

starając się jednocześnie nie słuchać wymiany zdań za drzwiami, przychodziły jej do głowy ironiczne, nic nie znaczące frazesy: ktoś musi cierpieć, gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą. Kiedy tylko Shirley Barron wróciła do pokoju, Anna pospiesznie powiedziała:

- Nie będę zabierać ci zbyt wiele czasu. Mam nadzieję, że się nie gniewasz za to najście.

- Ależ skądże. Przyznam, że byłam zaskoczona, ale się nie gniewam. Nigdy nie miałam nikogo, z kim mogłabym o różnych sprawach porozmawiać - jej by to nie zainteresowało - ruchem głowy wskazała drzwi - a męża obchodziło tyle co zeszłoroczny śnieg. Matka nigdy go nie lubiła, w swoim czasie mówiła, że popełniam błąd. Ja oczywiście byłam bardzo młoda, miałam dziewiętnaście lat. Czasami boję się, że Jan robi to samo starając się udowodnić mi, że jest, no wiesz, dorosła i że ja jestem jej niepotrzebna.

- Nie powinnaś myśleć, że ludzkie losy aż do tego stopnia się powtarzają - pocieszała ją Anna zażenowana sytuacją.

- Miejmy nadzieję, że masz słuszność.

- Jak długo byli ze sobą?

- Matka i wujek James? Niedługo, naprawdę, jeśli policzyć... mniej więcej około dziesięciu lat. Od czasu do czasu, kiedy udało mu się wyrwać, spędzali wspólnie noc. Bywało, że nie widywała go miesiąc, nawet dwa. Ale mówiłam ci, nie przesiadywała rozpaczając z tego powodu, to nie było w jej stylu. Zabawne, ale nie wyszła drugi raz za męża, sądzę, że może nie chciała. Mogła. Wydaje mi się, że nie chodziło nawet o twój ojca. Dawała sobie radę sama i to jej najbardziej odpowiadało.

- Jak się nazywała? - spytała Anna.

- Mama? Dziwne, że nie wiesz. Ale niby skąd, prawda? Mansell. Betty Mansell.

Wszyscy oni, myślała Anna, albo nie żyją, albo nie są w stanie pamiętać tych zdarzeń. Matka. Pani Mansell. Ojciec. Ale to z ich powodu siedzimy tutaj, dwie kobiety zupełnie ze sobą nie związane, i rozmawiamy o tym, co jest tylko i wyłącznie naszą sprawą, bardzo odległą i jednocześnie, w jakiś sposób, tak bardzo dla nas obu ważną. Nagle ogarnęło ją przygnębienie. Shirley Barron chusteczką do nosa wycierała z wypolerowanej powierzchni stołu ślad po filiżance, znowu mówiła o córce, zegar na kominku delikatnie wydzwonił w pół do czwartej, krople deszczu zabębniły o szyby. Anna wytłumaczyła, że musi już iść, i razem podeszły do drzwi.

- Cieszę się, że doszło do naszego spotkania - powiedziała Shirley Barron. - I, jeśli do ojca coś dociera, przekaz mu ode mnie serdeczne

pozdrowienia. Aha, zawiadam bank, żeby przestali przysyłać pieniądze. Ojciec zrobił już dla mnie wystarczająco dużo, a są inne cele.

- Jestem przekonana, że... - zaczęła Anna.
- Tak wołę. Proszę. I informuj mnie o jego stanie, dobrze?
- Zawiadomię cię oczywiście.

Na ulicy Anna stwierdziła, że nie wie, w którą stronę ma iść. Jadąc tutaj zbyt była zaabsorbowana swoimi myślami, by przyglądać się okolicy. Teraz błędziła przez kilka minut zdezorientowana, aż w prześwicie między domami dostrzegła sylwetkę katedry i poszła w tamtym kierunku. Chmury zakryły niebo stwarzając ołowiane tło dla bujnej zieleni drzew i ognistej barwy kamiennych ścian kościoła. Wciąż czuła się przytłoczona martwością domu Shirley Barron. Dochodząc do skweru przed katedrą zobaczyła Dawida, który stał u szczytu schodów i przez chwilę jego widok nie wywołał w niej żadnych uczuć, jakby był obcym człowiekiem w nieznanym tłumie.

RS

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Judy, z kamiennym wyrazem twarzy, siedziała w samochodzie. W pewnym momencie powiedziała:

- Stracę francuski, wuef, dwa angielskie i matkę.

- Nie szkodzi.

- Wiem. Daleko jeszcze?

- Zbliżamy się do celu - powiedziała Anna. - Staniemy? Chcesz soku? - Zjechały z drogi i usiadły na poboczu usianym kwiatami.

- Spójrz - mówiła Anna - spójrz na nie wszystkie: firletka, gwiazdnica, bodziszek. A ten mały żółty kwiatusek, Judy? Jak to się nazywa? Pamiętasz, kiedy miałaś osiem, może dziewięć lat, byliśmy w Krainie Jezior? Oszalałaś na punkcie polnych kwiatów, zbierałyśmy je wszystkie, a ty wyszukiwałaś nazwy i zapisywałaś.

- Tak? Nie pamiętam.

- Naprawdę? Złościłaś się, bo nazwy roślin nie trzymały mi się głowy. To musisz pamiętać.

- Coś mi się majaczy - powiedziała Judy. Przyglądała się kwiatom. - Będę mogła w przyszłym roku pojechać z Mary i całą paczką na wakacje rowerami? Spalibyśmy w schroniskach młodzieżowych.

Wchodząc do domu opieki Anna powiedziała: - Obawiam się, że dziadek może nie wiedzieć, kim jesteś - nie przejmuj się tym. I nie zdziw się jego wyglądem, bardzo się zmienił.

Kiedy były już w pokoju ojca, dostrzegła nagle przerażenie na twarzy dziewczynki i poczuła wyrzuty sumienia, że ją ze sobą przywiozła. Jednak dobrze, pomyślała, powinna go jeszcze raz zobaczyć, nie można, to błąd udawać przed dziećmi, że życie jest inne niż w rzeczywistości. A może i dla niego te odwiedziny będą miały jakieś znaczenie? Powiedziała do ojca: - Tato, Judy przyjechała. Wiesz przecież, kim jest Judy. To twoja wnuczka.

Ojciec odwrócił głowę i zobaczył kobietę z dziewczynką idące w jego kierunku. Martwił się o dziecko. Nie była jego córką, ale czuł się za nią odpowiedzialny. Nie miał wobec niej żadnych obowiązków, pomyślał jednak, że mógłby coś dla niej zrobić. Spojrzał pytająco na kobietę - kłopoty? A Betty skinieniem głowy i grymasem twarzy odpowiadała - tak, znowu fochy. „Wiesz co? - zwrócił się do dziewczynki - może byśmy się gdzie wypuścili razem, ty i ja? Mama się nie pogniewa, jak ją raz zostawimy samą. Pojedziemy po południu nad morze, co ty na to?” Dąsy znikły i dziewczynka wpatrywała się w niego rozpromieniona, a on pomyślał: to nie jest dla niej łatwe, dla żadnego z nas, możemy się tylko

starać, by stała się jej jak najmniejsza krzywda. Nad morzem pływali w podmuchach wiosennego wiatru, a potem w zadymionej kawiarni patrzył, jak opycha się jedzeniem i trajkocze. Nareszcie, myślał, zachowuje się jak normalne dziecko, jak, na przykład, moja Anna. Żałuję, chciał jej powiedzieć, żałuję tego, za co ja ponoszę winę. Gdyby można było zrobić coś więcej, zrobiłbym. Powstrzymał się od tego wyznania i rozmawiał z nią o szkole, której nie lubiła, o przyjaciółce, która rzuciła ją dla innej, i (aczkolwiek niechętnie) o matce, do której nie zdołała się upodobnić. „W porządku - obiecał - pomówię z twoją mamą, zobaczymy, czy nie da się zrezygnować z łaciny, żebyś mogła skoncentrować się na przedmiotach ścisłych, skoro lepiej ci idą, zgoda?”

Wracali do domu wieczorem, dziewczynka śpiąca i zadowolona, on wybiegał myślą naprzód - po raz pierwszy od wielu tygodni był już z Betty rozkoszując się jej bliskością.

- Nie poznał mnie, prawda? - spytała Judy.

- Obawiam się, że nie. Pomylił cię chyba z kimś, kogo znał dawno temu. To się czasami zdarza starszym ludziom. Łatwiej im pamiętać przeszłość niż to, co się zdarzyło niedawno.

- Żal mi, że jest chory. Lubiłam dziadka - Judy miała łzy w oczach.

- Och, kochanie... Nie myśl tak. On nie jest nieszczęśliwy.

- Nie? Pewna jesteś?

Nie, myślała Anna, wcale nie jestem pewna, tak tylko mówię, jak przełożona i pielęgniarki używam łagodnych i nęcących słów otuchy. Wsiadła do samochodu przy akompaniamencie krakania gawronów i warkotu kosiarki do trawy, a odgłosy te, podobnie jak szum rzeki w Starbridge, usłyszane na żywo wydawały się mniej rzeczywiste, niż kiedy rozpamiętywała je we wspomnieniach. Podkreśliła szybko odcinając się od tych dźwięków i siedziała wpatrzona w szybujące bezgłośnie ptaki.

- Dlaczego zagryzasz tak wargę? - spytała Judy. - Ostatnio często to robisz, masz już czerwony ślad. Gdzie jedziemy teraz?

- Do Starbridge. Aha, zapomniałam ci powiedzieć, prawdopodobnie wpadnie ktoś, kto był przyjacielem dziadka - niejaki pan Fielding. Przychodzi łowić ryby, ma wędkę dziadka. Myślę, że przyprowadzi ze sobą syna. Tom jest niewiele od ciebie starszy.

Szli razem w dół, w kierunku rzeki, dzieci trzymały się boku swoich rodziców. Na pięć pytań Dawida, zadanych raczej po to, żeby zachęcić ją do rozmowy, Judy odrzekła „nie”, a dwa skwitowała krótkim „tak”. Teraz milczeli wszyscy, tylko Tom pogwizdywał demonstrując znajomość życia i tężyżnę fizyczną, a może też dla podkreślenia, że trzyma sztamę z ojcem.

Judy usiadła drąc na kawałeczki plastikowe foremki po maśle. - Czekaj - powiedział Dawid - zaplątała się. - Stał z głową tuż przy głowie syna, obaj pochyleni nad linką, a Anna z przyklejonym do twarzy uśmiechem odwróciła się wypatrując na wodzie śladów ryb podpływających do powierzchni, ptaka nurka albo lustrzanego odbicia siebie samej.

- Nie chciałaby pani spróbować? - zaproponował Tom (dobrze ułożony chłopiec, czy jednak nie zachowuje się trochę zbyt protekcyjnie?).

- Z chęcią - odpowiedziała - ale jestem fajtłapa, zawsze byłam.

Stojąc w zimnej wodzie, bezskutecznie próbując zarzucić wędkę, czuła jego milczącą wzgardę (a może rozbawienie) i pomyślała ze złością: ciekawa jestem, czy twoja matka poradziłaby sobie lepiej, o ile w ogóle zechciałaby spróbować? A potem zawstydziała się.

- Judy! - zawołała - teraz twoja kolej. Pamiętasz, jak dziadek cię uczył?

Ale Judy siedząc z nachmurzoną miną na brzegu potrząsnęła odmownie głową. Drapała się w nogę.

- Coś się stało?

- Końska mucha mnie ugryzła. Idziemy już?

- Niedługo. Judy, mogłabyś się postarać być bardziej miła. Proszę cię.

- Ale to boli. Pewnie zrobi się zakażenie.

Anna odeszła kawałek brzegiem i usiadła przyglądając się mgłom wstającym nad dalekimi polami, po drugiej stronie. Nad wodą niósł się świst linki - zarzucanej, unoszonej prądem, wyciąganej. Dłonią zabijała komary siadające na kostkach jej nóg, myślała o Grahamie, w którego głosie, kiedy zatelefonował, słyhać było przygnębienie. Obserwowała Toma i Dawida, a na widok ich długich włosów, tak samo opadających z tyłu aż na kark, poczuła smutne wzruszenie.

- Hej! tato! - wołał Tom - tam coś bierze, widzisz? Dawid w wysokich gumowych butach, poruszając się jak astronauta, z chrzęstem minął Annę nie patrząc w jej stronę i znikł za zakrętem. Nie widziała ani jego, ani Toma, ale od czasu do czasu słyszała ich głosy. Mgła zgęstniała, zrobiło się zimno. Markotna Judy siedziała jakieś dziesięć metrów dalej.

Anna wstała i przeszła dalej w dół rzeki ku łowiącym.

- Nie macie ochoty na kawę? - zapytała. - Wypijemy już w domu. Robi się trochę chłodno.

- Chcesz już iść? - spytał Dawid. - Jasne, Tom pakuj się. Idziemy.

Chłopak odwracając się zaczął coś mówić, a kiedy Dawid zawołał: - Patrz! Bierze! - gwałtownie odkręcił się z powrotem. Szarpnął zbyt późno, ryba plusnęła o powierzchnię wody, pusty haczyk zawadził w locie o

zwisające nad rzeką gałęzie olchy. Tom ze złością wyplątał go i wdrapał się na brzeg, gdzie czekali.

- Pech, synku - powiedział Dawid.

- Mnie tak zawsze. Stało się coś?

- Nasze panie marzną.

- Przykro mi - wtrąciła Anna. - Nie chciałam...

- W porządku. Nie szkodzi - powiedział Tom.

- Czekaj. Zostańmy jeszcze chwilę.

- Nie. Naprawdę nie szkodzi. Możesz chwilę potrzymać wędkę, tato?

W drodze powrotnej przez pole Tom zapytał:

- Przyjdziemy jutro?

- Jasne - obiecał Dawid.

W domu, przygotowując kawę, Anna zapytała:

- Co z tobą, Judy?

- Nie czuję się dobrze.

Była rozpalona, miała wypieki, miejsce wokół ukąszenia na nodze spuchło i pulsowało. Anna znalazła termometr i zmierzyła jej gorączkę, miała prawie 38 stopni. Położyła ją na górze do łóżka, a Dawid i Tom wypili kawę w milczeniu. Kiedy do nich zeszła, Dawid powiedział:

- Najlepiej będzie, jeśli zostawimy was w spokoju, naprawdę.

- Dziękuję pani bardzo za pożyczenie wędki - powiedział Tom w drzwiach. - To bardzo uprzejmie z pani strony. Jest dużo lepsza od naszej.

- Jestem pewna, że ojciec ucieszyłby się wiedząc, że ktoś miał z niej frajdę.

- Tak - wtrącił się Dawid. - Mam nadzieję, że Judy wyzdrowieje...

- Na pewno.

- Przeziębła się?

- Nie sędzę. Jest trochę uczulona na ukąszenia owadów. Jutro zabiorę ją do naszego lekarza.

- Daj mi znać, jak się czuje. Dobranoc.

- Dobranoc.

Droga do Cuxing wiodła znanymi nużącymi odcinkami. Judy powiedziała:

- Fajnie, że znów czuję się dobrze, bo jutro mamy z Susie jazdę konną. Mamo, czemu tak pędzisz?

Przyszła fala upałów. Mijały ciężkie od gorąca dni, a Anna zgadzała się z powszechną opinią, że pogoda jest wyśmienita. W ogródkach w Cuxing wyrosły parasole i leżaki, krzak dzikiej róży wystrzelił w górę ogarniając całą ścianę domu jak płomień, Paul i Judy co chwila wpadali do kuchni i

litrami pili sok owocowy. Wydawało się, że od wypełnionego głośnym świergotem ptaków świtu, do tykania zegara o północy, kiedy wszyscy padali ze zmęczenia, mija czterdzieści osiem godzin. Każdego lata, o tej mniej więcej porze, czekała na wakacje, cieszyła się na zapas, planowała, wiedząc, że później zgodnie z odwieczną koleją rzeczy nadejdzie jesień, wcale nie taka nieprzyjemna, bo jesień należałoby stosowniej określić jako początek, a nie jako koniec naturalnego cyklu.

Ale w tym roku było inaczej.

Przeszłość. Nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki. Zmienne koleje losu przeobrażają wewnątrz nas samych czasami tak głęboko, że nie ma już powrotu do dawnego ja. Dnie przemijają, myślała Anna, nie można wymazać ich treści, a mnie już nikt nigdy nie odbierze moich przeżyć. Nie ma powrotu do czerwca zeszłego roku, kiedy miałam trzydzieści dziewięć lat, byłam niewinna i, jak sądzę, szczęśliwa. Ten proces nazywa się doświadczeniem i dowodzi, że nie jesteśmy bardziej stabilni niż ameba. Dojrzewamy, myślimy, formułujemy opinie, zajmujemy stanowisko, różnie reagujemy w różnych sytuacjach - i nagle pod wpływem przypadkowego ślepego działania czasu to wszystko wali się w gruzy. Minuta, godzina, dzień burzą spokojny obraz, a potem z kawałeczków układają inny. Rok temu mój ogród wyglądał prawie tak samo, może tylko rośliny były trochę mniejsze, tu czy tam wyrósł potem jakiś kwiat, ale teraz kiedy patrzę wokół, te same co w zeszłym roku kształty i kolory przesycone są wspomnieniem miesięcy, które od tego czasu minęły. Na nieczułym trawniku nakłada się wizerunek ojca w miękkim uścisku szpitalnych poduszek, twarz Dawida wзира ku mnie z obojętnych liści kasztana.

- Przyszedł list z pensjonatu w Szkocji. Potwierdzają naszą rezerwację. I jest kartka do ciebie - powiedział Don odwracając widokówkę. - „Dom urodzenia doktora Johnsona”.

- Do mnie?

„Zadzwoń do mnie w wolnej chwili, proszę. Zauważyłem wybitą szybę w domu twojego ojca, może mógłbym coś na to zaradzić.” I dalej: „Zastaniesz mnie pod numerem 57698, twój Dawid F.”

- Stało się coś? - zapytał Don.

- Ach nic. To ten nauczyciel, były sąsiad ojca. Prosi, żebym zadzwoniła w sprawie wybitej szyby. Drobiazg.

- Wróć dziś późno.

- Późno - powiedziała. - Chciałbyś coś specjalnego na obiad?

- Niekoniecznie.

- Zrobię stek, co tam.

- Zdaję się na ciebie.
- W takim razie kupię stek.

Dawid powiedział:

- Przepraszam, ale czułem się trochę przygnębiony tym raczej niefortunnym wieczorem. Jak Judy?

- Dobrze. Już następnego dnia świetnie się czuła. Nie udał się nam spacer, prawda?

- Kiedy cię zobaczę?

- W przyszłym tygodniu, we wtorek. We wtorek wieczorem.

Na dwupasmowej A 46 (kilka minut za Warwick i Kenilworth znikającymi już w oddali, po prawej i lewej stronie drogi) silnik zakrzuszył się gwałtownie i zgasł. Zjechała na pobocze i podniosła maskę, teraz krajobraz stanął nagle w bezruchu, a samochody ze świstem mknęły dalej. Lichfield nie było już oddalone zaledwie o pięćdziesiąt minut, lecz aż o pięćdziesiąt kilka kilometrów, samochód nie był już sprawny, pewną maszyną, lecz stał się problemem, z którym nie umiała sobie poradzić. Kiedy więc z tyłu zatrzymała się niewielka furgonetka, z wdzięcznością przyjęła zaoferowaną pomoc. Kierowca obiecał zatrzymać się przy pobliskiej stacji obsługi i poprosić, żeby kogoś przysłali. Anna usiadła w słońcu na poboczu zastanawiając się, jak długo to wszystko potrwa. W końcu nadjechała ciężarówka pomocy drogowej, mechanik zajrzał do silnika i oświadczył, że przepaliła się cewka. Obiecał uporać się z tym mniej więcej na piątą. Była prawie dwunasta. Doholował samochód do warsztatu gdzieś na typowym przedmieściu, a Anna deliberowała, co zrobić. Wsiąść w autobus do Lichfield, a wieczorem wrócić razem z Dawidem? Przeczekać w tym przygnębiającym otoczeniu? Ale do Lichfield nie było żadnego autobusu. „Gdyby chciała pani skoczyć do Coventry - podpowiedział usłużny mechanik - to autobus odchodzi co pół godziny”, a Anna pomyślała: racja, dlaczegożby nie? Jest tam katedra, a ja nie byłam w Coventry od czasu wycieczki z ojcem, wieki temu. Z powodzeniem mogę spędzić w Coventry cztery godziny i wrócić na piątą.

Był rok sześćdziesiąty trzeci, przypomniała sobie. Boże Narodzenie. Matka została w Starbridge, żeby pilnować dwuletniego Paula i kilkumiesięcznej zaledwie Judy. I tak nie chciała jechać, a ja, myślała Anna, miałam ochotę. Taki układ zadowalał wszystkich - mama uniknęła trwającego całe popołudnie zwiedzania, ja skorzystałam z okazji, żeby się wyrwać. To był przyjemny dzień, utkwił mi w pamięci, wyróżniał się spośród całego tamtego pobytu u rodziców. Nie przeszkadzało mi, że ojciec

ma inne zdanie na temat katedry, lubiłam dyskutować, lecz nie miałam z kim, Don nigdy by nie...

Wybraliśmy się w czwórkę, Graham (znudzony, nie potrafiący ukryć niecierpliwości, z jaką wyglądał powrotu do Londynu i do prawdziwego życia - otrzymał właśnie swoje pierwsze pełne engagement jako kierownik produkcji i rozpierała go ambicja), ja, Don (też chyba znudzony) i ojciec. To był jego pomysł. „Czas już - powiedział - na własne oczy zobaczyć dzieło Spence'a, chociaż nie sądzę, żeby mi przypadło do gustu.” Idąc z parkingu przez centrum handlowe (tam, gdzie wówczas ziemia pokryta była walającymi się śmieciami, teraz Anna mijala fontanny otoczone kępami drzew i krzewów) ojciec wykrzykiwał: „Spójrz tylko na to! Potworność! Równie dobrze mogłoby to być kino, te olbrzymie szare ściany, nie ma w nich nic uduchowionego, wybudowali po prostu stodołę. I to zestawienie - ruiny starej katedry, czy facet nie wie, że ten kontrast demaskuje jego brak wycucia formy?”

„O to właśnie chodzi, tato - odpowiedziała wchodząc z nim po schodach (po których teraz wspinała się otoczona gromadą turystów) - rzecz w tym, żeby zachować przeszłość wzbogacając ją: szanować zabytki, lecz jednocześnie dodawać coś od siebie. I nie zgadzam się z tobą, uważam, że to wspaniałe dzieło. Ten kamień znakomicie wygląda. A masywność bryły robi olbrzymie wrażenie. Rzeczywiście nie przypomina katedr, do których przywykliśmy, ale jaki jest sens bezmyślnego powtarzania architektonicznych form? Katedry gotyckie już mamy. Ta w samym założeniu ma być inna.”

„I jest inna”, narzekał wchodząc do kruchy i skręcając w prawo pod olbrzymią taflą rytego szkła (ku której Anna zwróciła się teraz myśląc: tak, ten fragment nadal jest piękny, podoba mi się). „Anno, spójrz, ani nawy głównej, ani naw bocznych, tylko filary, których równie dobrze mogłoby tu nie być. A co to, tam w głębi, jeśli wolno zapytać?” - „To gobelin z Sutherland, tato - odpowiedziała - nie spiesz się tak, za chwilę tam dojdziemy.” Musisz przyznać, że jest tu cudowne poczucie lekkości i przestrzeni. A te wspaniałe stalle w prezbiterium wyglądają jak stado ptaków.”

Przystając na wprost witrażowego okna w kaplicy Chrztu Świętego, w której znajdował się głaz z Betlejem starała się sobie przypomnieć, gdzie wtedy byli Don i Graham. Czy kolory nie są zbyt ostre? Kiedy zastanawiała się nad tym, wróciło wspomnienie sześćdziesiątego trzeciego roku, obok niej stał Don, a ojciec zwracał się do niego z pytaniem: „A ty, Don, co o tym wszystkim myślisz? Anna jest za, ja w zasadzie przeciw, chociaż

przyznaję, że kamień ma swoje walory, ale witraż? Czy jest w tym jakaś wizja? W moim przekonaniu witraże powinny przedstawiać jakieś zdarzenie. Weźmy katedrę w Canterbury.”

„To jest abstrakcja, tato - wtrąciła poirytowana. - To rozwinięcie tradycji, a nie powtarzanie wciąż tego samego. Przecież nikt nie zamierza imitować Canterbury czy innego kościoła.”

Odwracając się teraz od okna (słusznie, te kolory istotnie są zbyt jaskrawe), idąc dalej tą samą nawą szukała w pamięci odpowiedzi Dona. Co on odczuwał? Co powiedział? Lecz wówczas kilka kroków w przódzie był tylko ojciec studiujący gobelin z wyrazem dezaprobaty na twarzy, uznał go za zbyt krzykliwy. „I można dostać oczopląsu od tych klatek, w których umieszczono figury.

A czemuż ta postać tak dziwacznie kuca, co mają oznaczać te jego ręce?”

„To Chrystus w pełnym majestacie, tato. Moim zdaniem robi duże wrażenie.”

„Nie widzę tu żadnego majestatu, jeśli mnie o to pytasz.”

„Odwróć się, tato, spójrz za siebie. Stąd widać okna, na tym polega koncepcja wnętrza: stojąc przy ołtarzu dostrzegasz okna wbudowane pod kątem w zygakowate ściany. Czy to nie wspaniałe?”

I wciąż zachwyca, myślała dzisiaj, mając przed sobą całą perspektywę katedry. Nagle widać, skąd bierze się światło, a ściany przestają być monolitem. Z pamięci wyłonił się Graham, z rękami w kieszeniach kosztownego garnituru, przyglądający się kolumnom zieleni i błękitu. Podeszła do niego zagadując: „Czy te okna nie są wspaniałe?” „Mmm, efektowne” - odpowiedział, myślami będąc, jak się zorientowała, gdzie indziej. Tak było zresztą przez całe święta, tolerował rodzinną atmosferę, lecz nudziły go dzieci i ciągłe zamieszanie, jakie wprowadzały. Od czasu do czasu przekomarzał się z Anną, Dona traktował protekcjonalnie i z niecierpliwością wyglądał ranka dwudziestego siódmego, kiedy będzie mógł pomknąć do Londynu.

Nie wiem, myślała, wszystko wydaje mi się inne, wcale nie takie, jak pamiętałam. Podobają mi się okna, ale reszta... cóż, nie rozumiem, jak mogłam zachwycać się gobelinem, teraz wydaje mi się szkaradny, a elementy drewniane też nie są rewelacyjne. Taka Wystawa Brytyjskiego Wzornictwa. Stalle w prezbiterium wyglądają jak sprowadzone z domu meblowego Healsa - drewno tekowe i mosiądz. Tak, teraz już widzę, o co ojcu chodziło - całość przypomina stodołę. Nie kryje w sobie żadnych niespodzianek. Nie odsłania powoli swoich tajemnic, jak powinna katedra. Zabawne - wydaje mi się nie ta sama, całkiem inna, niż zapamiętałam.

Wyszła i skierowała się ku ruinom starej katedry. Było upalnie popołudnie. Usiadła na ławce (gdzie dołączyło do niej troje hinduskich nastolatków, mówiących po angielsku z tak czystym akcentem z Birmingham, jak gdyby to był ich język od pokoleń) i przyglądała się wróbelkowi zanoszącemu pożywienie potomstwu w gnieździe uwitym wysoko w pogruchotanym maswerku okna gotyckiego. Oczywiście, myślała, to nie katedra się zmieniała. Budowle się nie zmieniają, chyba że wskutek nieuniknionego procesu starzenia albo kataklizmu jak tutaj. To ja musiałam się zmienić, a jeśli katedra wydaje mi się inna niż we wspomnieniach, przyczyna tego tkwi w pamięci, nie w murach. Katedra jest taka sama jak w sześćdziesiątym trzecim roku, ja nie, i gdzieś po drodze musiałam stracić upodobanie do takich rzeczy. Przysłuchiwała się rozmowie nastolatków, mówili o futbolu i egzaminach maturalnych, zastanawiali się, jak dojeść do stacji. Wróble niestrudzenie transportowały w górę ku rozbitym oknom swój bagaż różności. Na sąsiedniej ławce rozsiadły się dwie kobiety obładowane plastikowymi torbami od Marksa i Spencera, Bootsa i Mac Fisheries. Chłopcy włączyli radio tranzystorowe i słuchali bełkotliwego sprawozdania z meczu krykieta. Anna myślała o ojcu, dzieciach, o Dawidzie.

Naraz wróciła do katedry i kupiła kilka widokówek, a następnie wolnym krokiem poszła przez centrum handlowe na dworzec autobusowy. Przed wpół do piątej była z powrotem w warsztacie, zanim wybiła ósma, leżała już w swoim łóżku w Starbridge czując Dawida głęboko w sobie.

- Wiesz - odezwał się Dawid - mógłbym dziś z tobą zostać. Chłopcy wyjechali i uprzedziłem, że mogę nie wrócić na noc.

Uprzedził Mary. Tylko dwukrotnie słyszałam, pomyślała Anna, jak wymawia jej imię.

- Dobrze - ucieszyła się. - Cudownie. Co za wspaniała niespodzianka.

Kiedy się obudziła, była sama, a usłyszawszy zatrzymujący się i odjeżdżający samochód zmartwiała.

- Dawidzie - zawołała i kiedy z łazienki odezwał się jego głos, poczuła niewysłowioną ulgę. - Co robisz? Słyszałam samochód, myślałam, że pojechałeś.

- Nie, gołę się tylko. Ktoś zatrzymał się chwilę w uliczce. Zrobić kawę?

- Nie - odpowiedziała. - Wracaj, mam ochotę na co innego. Kawa może poczekać.

- Przywiozłam ci widokówkę z katedrą w Coventry, tato. Pamiętasz, jak wybraliśmy się tam w któreś święta Bożego Narodzenia? Byłam tam

wczoraj, przypomniało mi się nasze wspólne zwiedzanie i to, że tobie niezbyt przypadła do gustu. Zresztą tym razem mnie też mniej się podobała.

Ręka przytrzymująca dotąd kubek herbaty przy jego ustach (za mało słodkiej, ale jak im o tym powiedzieć?) pojawia się znowu i wtyka mu w dłoń prostokątną barwną pocztówkę. Rozmawiają o katedrach. Podnosi zdjęcie do oczu i naraz z łamigłówek kolorów wyłania się różowawy masyw jakiejś budowli i drzewa. Kino? Szkoła? Anna, o której od czasu do czasu myśli z troską, mówi o witrażach i jakimś gobelinie i nagle niepokój o nią i obrazek w ręce stapiają się ze sobą i już wie, gdzie jest: wchodzą razem po schodach tej dziwacznej budowli, a on kątem oka sprawdza, czy ten nudziarz, jego zięć, jeszcze z nimi idzie, czy już zrejterował.

Coś się stało z Anną. W ciągu ostatniego roku jakby przygasła. Można to do pewnego stopnia wytłumaczyć przyjściem na świat dzieci, ale... W czasie świąt ani razu nie starli się z bratem, kilka jego ostro prowokujących uwag puściła mimo uszu. Graham zachowuje się wyzywająco, to prawda, zawsze taki był, ale teraz idzie na całego chwalać się swoją wątpliwą karierą. Chociaż mogę się mylić, przecież nie wszystko, co pokazują w tym pudle, jest bezwartościowe, jednak myślałem o innej przyszłości dla niego. Graham potrafi chodzić koło swoich spraw i z pewnością zadba o własny interes. Co innego Anna.

Zobaczmy, mówi do siebie w duchu, czy uda się wykrzesać z niej trochę tego dawnego ognia. Więc, kiedy wchodzi do środka, z miejsca wypowiada swoje zdanie na temat katedry. Anna połknęła haczyk, może więc ta dawna pełna życia dziewczyna przyczaiła się tylko, może pogrążona w letargu czeka na lepsze czasy? Ale czy lepsze czasy nadejdą? „Cóż, Don - zwraca się teraz do jej męża - jakie jest twoje zdanie?” Lecz Don najwyraźniej nie ma zdania. Ukradkiem spogląda na zegarek, a obejrzenie Kaplicy Pojednania, kruchty z rytego szkła i teraz Baptysterium, zabrało mu za każdym razem tyle samo czasu, poświęcił im tyle samo uwagi. „Hmm - odpowiada Don - myślę, że masz trochę racji mówiąc, że kolory są zbyt mocne, ale mnie nie rażą.” To nie wystarczy, myśli James Stanway, to absolutnie za mało. Odchodzi nawą (lub raczej przejściem, które pełni tę funkcję) zastanawiając się, jak doszło do ich małżeństwa i do czego to wszystko doprowadzi. Usiłuje przypomnieć sobie imię chłopaka, którego Anna sprowadzała do domu jeszcze na początku studiów, taki ciemny, gadatliwy. Dlaczego za niego nie wyszła? Anna lubi rozmawiać i to wcale nie o błahostkach, jest kobietą myślącą, niewykluczone, że myśli dużo więcej niż jej brat, a ten cały Don milczy jak grób. Zawsze można rozmawiać ze sobą, jednak o wiele lepiej tego nie robić. Och, Anno, myśli,

mógłbym ci niejedno powiedzieć. Ale cóż, nie mogę. Niestety człowiek niewiele może zdziałać.

„No to - mówi do całego towarzystwa przechodzącego razem przez oszkloną kruchę - co powiecie na filiżankę herbaty gdzie tutaj? W tym centrum handlowym na pewno jest jakaś kawiarnia Lyonsa albo coś w tym rodzaju.”

Graham podniósł z wycieraczki widokówkę, pismo z urzędu podatkowego i szarą kopertę z nadrukiem szpitala Charing Cross i zaniósł to wszystko do kuchni. Czekając, aż kawa się zaparzy, przeczytał korespondencję. Annie właśnie tutaj zepsuł się samochód en route do Lichfield i spędziła godzinę czy dwie na zwiedzaniu miasta. „Pamiętasz to Boże Narodzenie wieki temu?” pisała. Kiedy odwrócił pocztówkę, okazało się, że przedstawia katedrę w Coventry z figurą świętego Michała rozpiętą jak motyl na ścianie absydy.

Pamiętam, myślał Graham, i to dobrze. Zabawne. To było na początku lat sześćdziesiątych, właśnie zacząłem pracować dla Thames. Byłem wtedy z Fanny. Trzymając widokówkę (kawa bulgoce nie pilnowana) Graham wraca myślami do Coventry, a twarz Fanny majaczy przez chwilę, tak jak wtedy na tle zieleni i błękitu jakiegoś gigantycznego witraża. Boże, pragnę jej, pragnę naprawdę. Nie mogę czekać do przyszłego tygodnia, jak przeżyć jeszcze trzy cholerne dni gnijąc tutaj? Anna mówi o witrażach albo czymś podobnym, Graham odrywa wzrok od twarzy Fanny i zwiedza z siostrą katedrę myśląc: tym razem to co innego, Fanny jest inna, ją trzeba traktować poważnie.

Mogłaby mnie rzucić, nagle uświadamia to sobie, przerażony. Ona nie będzie się pakowała w bezsensowne układy. Może dlatego tak mnie pociąga.

Potem idąc razem ze wszystkimi przez skwer i zagłębiając się coraz dalej w jakąś dzielnicę handlową o przerażających futurystycznych kształtach myśli: mógłbym poprosić, żeby za mnie wyszła.

Graham przygląda się Annie, siedzi naprzeciw niej, jedzą drożdżówki, popijają kawę i widzi, że małżeństwo dało jej w kość. To albo dzieciaki. Oczywiście, rozumując trzeźwo, człowiek nie musi mieć dzieci i on sam już dobrze dopilnuje, żeby ich nie mieć. Ale dlaczego musiała sobie wybrać akurat Dona, tego się nigdy nie dowie. Wygląda, że nie mają ze sobą o czym rozmawiać, ale może to nie jest aż takie ważne? Czy Fanny zgodzi się wyjść za mnie? Nie wiem, myśli, nieszczęśliwy, i zastanawia się, czy będzie miał dość siły, żeby ją zapytać. Wyobraża sobie twarz Fanny na poduszce zwróconą ku niemu i słyszy jej uprzejmy głos: nie, Graham, ogromnie mi

przykro, ale nie. Dziękuję. Wie, że nie zniósłby tego. Wyobraża ich sobie jako małżeństwo zamieszkałe gdzieś w Notting Hill, w typowym małym domku, dwa pokoje na dole, dwa na piętrze, przykutych do siebie, może też obarczonych wrzeszczącym na górze bachorem (bo, jak wynika z obserwacji, to sprawy nie dadzą się aż tak dalece kontrolować, jak się niektórym wydaje), i zastanawia się, czy to także potrafiliby znieść... Och, Fanny... myśli słodząc kawę i patrząc przez stół na Annę i ojca, którzy wciąż dyskutują na temat katedry.

Graham zatknął pocztówkę za półkę w kuchni i zdjął kawę z palnika. Otworzył zawiadomienie ze szpitala i dowiedział się, że wyznaczono mu wizytę na osiemnastego lipca. Proszono również o zastosowanie się do załączonej instrukcji oraz przybycie do przychodni przyszpitalnej o godzinie 9.30 rano. Zadzwoił telefon (już drugi raz tego ranka - poprzednio telefonował jego asystent z wiadomością, że aktorka, którą chcieli zaangażować do roli w nowej sztuce, znowu upiera się przy stawce o połowę wyższej, niż mógł jej zaoferować, teraz dzwoniли ze studia zawiadamiając o grożącym strajku maszynistów sceny, żołądek dawał mu się już we znaki i tak będzie z przerwami przez cały dzień). Nalał sobie kawy, z filiżanką w ręku podszedł do okna i zatrzymał się myśląc o Annie, jej dzieciach (miły chłopak ten Paul, a dziewczynka za rok, dwa będzie niczego sobie) i o ojcu. W weekend pojedą do Lichfield, postanowił.

- Pokazała ci się z najgorszej strony - powiedziała Anna do Dawida. - W rzeczywistości wcale taka nie jest. Jest... och, trudno mówić komuś o własnych dzieciach.

- Wiek dojrzewania nie jest najwdzięczniejszym okresem w życiu.

Wiem, pomyślała Anna, lekko rozdrażniona. Nie musisz mi mówić. Zresztą uważam, że Tom...

- Szkoda, że nie widziałeś jej kilka lat temu, była taka miła. Interesowała się wszystkim i bez przerwy paplała. To oczywiście minie. Ty na pewno też miałeś problemy z Tomem?

- Od czasu do czasu - odpowiedział Dawid. - Pamiętaj, że dziewczynki to nie znany mi gatunek stworzeń, którymi nie zajmowałem się ani zawodowo, ani prywatnie. Jak spędziłaś czas w Coventry?

- Poszłam do katedry oczywiście.

- Oczywiście - powtórzył Dawid. - Jak mogłabyś przepuścić okazję obejrzenia katedry? - Uśmiechając się położył dłoń na jej ramieniu: Judy i Tom odeszli jak gdyby na dalszy plan, a Anna zajęła się bieżącymi sprawami - trzeba było gdzieś zaparkować samochód i zdecydować, w którym kierunku pójść.

Przyjechali do Tamworth.

- Nie widzieliśmy jeszcze wszystkich ciekawych miejsc w okolicy - stwierdził Dawid - chociaż niedługo nic nam już nie zostanie do zwiedzenia.

- Nie musimy wciąż gdzieś jeździć. Powinnam była poprosić cię o pomoc w porządkowaniu domu w Starbridge. Jest jeszcze mnóstwo roboty.

- Daj spokój - powiedział - mamy lipiec, lato. Należą się nam wakacje. Zjemy lunch i spróbujemy dowiedzieć się czegoś o historii Tamworth.

Rok szkolny skończył się dzień przedtem. W przyrodzie czuło się już nagły zwrot. Z murów zamku Tamworth rozciągał się wokół widok na spłowiełe już pola poprzedzielane żywopłotami, których intensywna zieleń świadczyła o pełni lata. Na poboczach zakwitły trawy, drzewa zaczynały pochylać gałęzie, granica między wzrastaniem a umieraniem została przekroczona.

- Zbliżają się wakacje. Dwudziestego trzeciego wyjeżdżacie do Szkocji? - zapytał Dawid.

- Zgadza się - odpowiedziała Anna myśląc: a ty do Walii na tygodniową wędrowną podróż z nie znanym mi przyjacielem Jimem Hiltonem (nie znam nawzajem swoich przyjaciół). I z synami.

- Przyznam, że cieszę się na te wakacje w Walii. Mamy już opracowaną trasę i wydaje się, że czekają nas tam piękne widoki. A chłopcy chcieliby zwiedzić niektóre zamki.

- Cieszysz się, to dobrze - powiedziała Anna dodając w myśli: nie mogę tego samego powiedzieć o sobie.

Na chwilę zapanowała cisza.

- Jak Mary spędza wakacje?

- Jedzie do matki, do Londynu - odpowiedział Dawid. - W Kent mieszka jej dawna przyjaciółka ze szkoły, może na dzień, dwa do niej wpadnie.

Aha. Nie wypada mi oczywiście zapytać, od kiedy nie spędzacie wspólnie wakacji ani co Jim Hilton (czy którykolwiek z twoich przyjaciół) sądzi o Mary, ani też, jak ona wygląda, jak się do niej zwracasz, czy sypiacie razem i jak często się kochacie, ani też napomknąć o czymkolwiek, co od razu wywołuje na twojej twarzy ten smutny wyraz, który napawa mnie lękiem. Jestem z tego wszystkiego wykluczona, tak jak i ja muszę wykluczyć ciebie z moich spraw.

- Czy w domu opieki powiedzieli coś nowego o ojcu? - zapytał Dawid.

Odpowiedziała mu, co zaszło. Tego ranka, kiedy siedziała u ojca, zajrzała siostra przełożona i wyjaśniła, że zdaniem lekarza nastąpiło pogorszenie, chociaż Anna nie zauważyła żadnej zmiany. Raz jest prawie całkiem przytomny, to znów zapada w stan bliski śpiączki. Serce słabnie. Musi mieć

bardzo silny organizm, stwierdziła przełożona. Dawła taktownie do zrozumienia, że większość ludzi w jego stanie nie wytrzymałaby tak długo, że nie pozostało mu już wiele życia. Kiedy tak rozmawiały, ojciec odwrócił się nagle, przyglądał się im przez chwilę i powiedział coś o kawie.

- Jest nas czworo - powiedział do siostry - prosimy cztery kawy.

Przełożona uśmiechnęła się do Anny.

- Nie całkiem zdaje sobie sprawę, kim jesteśmy, prawda? - Zwracając się do chorego dodała: - Zjadł pan właśnie podwieczerek. Jeszcze herbaty?

Ale ojciec pogrzyżył się już we własnym świetle, oczy miał zamknięte, a palcami nieustannie skubał prześcieradło.

Anna i Dawid spędzili spokojne popołudnie w Tamworth, jakby drętwa krajobrazu udzieliła się im. Annę trochę bolała głowa. Dawid sprawiał wrażenie zubożniałego. Do Starbridge wrócili wcześniej i wtedy okazało się, że spotkają się dopiero po wakacjach.

- Myślałem, że będziesz za tydzień.

- Mówiłam ci już, pewnie zapomniałeś. Do Judy przyjeżdża na kilka dni koleżanka, nie mogę zostawić dziewczynek samych. Nie sądziłam, że musisz już iść, spodziewałam się, że dziś wieczór zostaniesz.

- Żałuję, Anno, obiecałem chłopcom, że zawiozę ich do Birmingham. Wtedy nie skojarzyłem, że przyjedziesz. - Całując ją dodał: - Będzie mi cię bardzo brakowało.

- Przyjemnej wędrówki w Walii.

Wstała o szóstej i wczesnym rankiem wyruszyła w drogę powrotną do Cuxing, jadąc to w słońcu, to pod posepnym, zasnutym chmurami niebem. Kiedy dotarła na miejsce, Judy z ponurą satysfakcją oświadczyła, że w nocy dom Splatta zrównano z ziemią. (Sandra aż się cała gotuje, miota się i dzwoni do wszystkich, wczoraj wieczorem, kiedy dowiedziała się, że ciebie nie ma, rozmawiała nawet z tatą...) Po południu Anna poszła sprawdzić, jak to wygląda. Zobaczyła koparkę leniwie pracującą przy górze tynku, listew i cegieł, o wiele większej, wydawałoby się, niż sam dom. Spośród gruzu sterczały połamane belki, przegniłe i zjedzone przez korniki. Odnieść można było wrażenie, że dom waląc się odkrył swą słabość jednocześnie powiększając jak gdyby masę. Wszędzie panował nieopisany bałagan. Minie wiele dni, zanim oczyszczą plac i przygotowują pod nową budowę. Koparka podgryzała brzegi hałdy zrzucając następnie ładunek na ciężarówkę. Anna przyglądała się temu przez kilka minut: widziała, jak połowa porcelanowej umywalki, zgniecione drzwi i mnóstwo belek stropowych ładuje w wywrotce. Na skraju pola stało zaparkowane Mini. Przy furtce rozkwitł właśnie różany krzew, wszystkie kwiaty przysypane

były pyłem. Przy drodze umieszczono reklamę firmy budowlanej ogłaszającą sprzedaż bez ograniczeń pięciu bungalowów w tym atrakcyjnym prywatnym osiedlu. Z jednej strony rumowiska, oparty o zwały strzechy, stał nie zniszczony fragment ściany. Jak w skansenie widać było szkielet z belek i listew obłożonych tynkiem. Kiedy Anna ostrożnie się zbliżała, żeby mu się lepiej przyjrzeć, kierowca zjechał koparką na ścieżkę i wyłączył silnik, kończąc najwyraźniej pracę. Anna pociągnęła za najdłuższą belkę i wtedy cała ściana przechyliła się w jej stronę z zadziwiającą lekkością. Osypał się tynk, ukazując szkieletową konstrukcję listew, spomiędzy których wystawały wymłócone kłosa. Kierowca, który nagle pojawił się kilka metrów obok, powiedział:

- Są tu spore kawałki, niech się pani nie krępuje, jeśli szuka pani drewna na podpałkę.

- Patrzę, jak kiedyś budowano. Wygląda na siedlisko myszy - wskazała puste kłosa.

- Raj dla myszy, na pewno - mężczyzna roześmiał się - ale to nie one przyniosły kłosa. To izolacja. Ludzie brali, co im w rękę wpadło: strąki grochu, słomę i wpychali w ściany, żeby zatrzymać ciepło. Raz w jednym takim domu widziałem kości z kurczaka.

- Rozumiem - powiedziała Anna. Poczuli się trochę głupio.

- Niech pani uważa, pełno tu potłuczonego szkła - ostrzegł ją na odchodnym.

Z drewnianych belek wyciągnęła kilka gwoździ i schowała do kieszeni. Gwoździe z piętnastego wieku, czy to możliwe? Z drugiej jednak strony wyglądały niezwykle współcześnie. Kierowca koparki wsiadł do swojego Mini i odjechał zostawiając maszynę rozkraczoną obok szczątków domu Splatta. Odchodząc dróżką Anna odwróciła się raz jeszcze i zobaczyła żółty korpus lśniący w słońcu. Ze zdziwieniem stwierdziła, że cała ta historia jej nie obeszła. Musiało się tak skończyć, pomyślała. W gruncie rzeczy nie można było temu przeszkodzić, chociaż mieli słuszność próbując, i źle się stało, że nie zaangażowałam się w to bardziej. Łyżka koparki rzucająca długozębny cień na gruzowisko wyglądała jak prehistoryczne zwierzę. Dostrzegła teraz, że na samym szczycie hałdy wylądował jeden ze szklanych kłosa, które widziała w sypialni na piętrze. Zadziwiające, że z tak małego domu powstało tak olbrzymie rumowisko. Chcąc sobie przypomnieć, jak dom wyglądał wewnątrz, z irytacją stwierdziła, że nie pamięta, chociaż oglądała go zaledwie kilka miesięcy temu. Dwie czy trzy sypialnie? Wejście od frontu i od tyłu czy tylko od frontu? Trzeba było

narysować plan, pomyślała, albo zrobić zdjęcie. Trzeba go było przynajmniej w jakiś sposób uwiecznić, zanim znikł z powierzchni ziemi.

RS

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Na drogowkach w Szkocji odległości wypisane były zawsze dwiema cyframi: Inverness 31, Fort William 48, Edinburgh 70 mil. Wszędzie było daleko. W jednej z tych brązowo fioletowych dolin, skąd wyjeżdżało się tą samą drogą, którą wjeżdżało w miejscu połączonym z realnym światem jedynie szeregiem słupów telegraficznych ginących na horyzoncie, Don zapytał:

- A więc, jakie mamy plany? Jedziemy na północ czy na zachód?

Zwykle, pomyślała Anna, to ja biorę sprawy w swoje ręce i mówię: „Dziś robimy to czy tamto” albo „Fajnie by było pójść tam, prawda?”, albo „Zawsze chciałam zobaczyć te miejsca”. Zamiast tego siedzę tu jak mumia, a po obu stronach samochodu umykają w tył wzgórza, rzeki i osiedla ludzkie. Pełne grozy widoki nie robią na mnie większego wrażenia. Każdy na miejscu Dona zastanawiałby się pewnie, dlaczego tak jest, czułby się trochę poirytowany obwożąc po okolicy żonę i córkę, obie pogrążone w milczeniu.

Anna zwróciła się do Judy: - Nic nie mówisz. Nie widzisz, jak tu pięknie? Spójrz na kolor wrzосу tam w górze.

A Judy wciśnięta w róg tylnego siedzenia samochodu kiwa głową, zerka spoде łba na Dolinę Jakąś tam i wraca do swoich nieprzeniknionych myśli.

- O czym myślisz?

- O niczym.

Góry w Walii są oczywiście łagodniejsze niż tutaj. A gdzieś wśród nich wędruje z miejsca na miejsce wesoła grupka złożona z samych mężczyzn, dwóch młodych, dwóch w średnim wieku, uzbrojonych w mapę i zgodnych. Co do siebie nawzajem mówią? Co oglądają? Czy tam niżej ich twarze owiewa taki sam chłodny, pachnący torfem wietrzyk łagodnie muskający skórę wilgotną mgiełką? Przed nimi odpoczynek w jakimś pubie, kufel piwa i pogawędka (o czym?), a pod koniec tygodnia czeka ich zwiedzanie jakiegoś zamku.

- A może - powiedziała do Dona - znaleźlibyśmy coś innego do oglądania poza widokami. Można mieć dosyć.

- W Szkocji nie ma okazałych rezydencji.

Ale pomocny rozdział w atlasie samochodowym pt. „Co warto zwiedzić” - podsuwa pomysły.

- Już mam. Nigdy nie widziałam brochów. Piszą, że lepiej niż tutejsze wieże zachowała się tylko ta na Szetlandach. Pojedźmy je zobaczyć.

Jazda tam trwała kilka godzin (a może w tym stanie zawieszenia poza czasem - dni), godzin spędzonych to w roli kierowcy, to pasażerki. Droga wiodła wśród dziewiczych piargów i wrzosowisk, a widok wciśniętych pomiędzy nie stacji benzynowych lub kempingów wywoływał zdumienie. Długi sznur samochodów posuwał się wolno. Od czasu do czasu zza ich wnętrza - kierowcy ubrani w koszulki z krótkimi rękawami, dzieci gramolące się na oparcia siedzeń, termosy, płaszcze i poduszki - migał fragment górskiego jeziora lub zbocza góry, jak gdyby stanowiąc miał jedynie panoramyczne tło dla spraw bardziej absorbujących uwagę wczasowiczów. W kolejce do promu Anna gapiała się apatycznie na owce, które pasły się nie opodal na skraju asfaltowej drogi i na polne kwiaty rosnące na zboczu niczym w skalnym ogródku. Oglądane z samochodu przykuwały uwagę jak zdjęcia z filmu przyrodniczego. Otworzyć jednak drzwi, wysiąść, przyjrzeć się im z bliska, to zbyt duża fatyga. Ale dla obserwatora studiującego je przez szybę miały to samo terapeutyczne działanie co dla inwalidy życie toczące się za oknem - ciekawe, lecz nie wymagające aktywnego udziału. Chmury bardzo małych pszczołek siadały na kwiatkach, owce miały głęboko ukryte pod runem, niemożliwe do odcyfrowania wytatuowane cechy, szary mech pędami długimi jak wodorosty oplatał różowawe głazy. Tak jest naprawdę przyjemnie, uznana, siedząc w samochodzie, nie myśląc o niczym, dopóki to trwa, nie ma żadnego problemu, absolutnie żadnego.

Kiedy dotarli do brochów, zobaczyli srogie, jakby skarłowaciałe kominy fabryczne (albo wieże chłodnicze górujące nad wjazdem na A 446, tuż za skrajem w kierunku Brownhills na drodze do Lichfield...).

- Jesteśmy u celu, tak? - zapytał Don. - Można tu kupić jakiś przewodnik albo coś w tym rodzaju?

Lecz w cichej, zawieszanej między morzem, niebem i górami dolinie nie sprzedają żadnych przewodników. Nie można też się spytać (Anna nie potrafi sobie teraz nic o tych wieżach przypomnieć - kiedy, kto i dlaczego je budował?) ani tej wysepki wrzosu, na której parkują samochód (ostrożnie, żeby nie ugrzązł), ani tamtej kępy sosny, ani ogromnego czarnego ptaka krążącego w górze (może to nawet kruk?). Muszą oglądać budowle zdając się na siebie, wszystkie domysły są równie dobre. Judy przycupnięta na kamieniu z nosem w książce kupionej w Oban nie ma zdania. Anna ma dwie lub trzy sugestie, ale ich nie wypowiada. Don przypuszcza, że powstały w średniowieczu, możliwe, że wcześniej. Wraca do samochodu, podnosi maskę, żeby ochłodzić silnik, droga przez góry była stroma.

Z wierzchołka wieży rozciąga się widok na dolinę i prosto ku morzu. To, myśli Anna, zadecydowało, że zbudowano je w tym właśnie miejscu, a nie

gdzie indziej. Stała na chwilę, spojrzała w dół, odrobinę zakręciło się jej w głowie. W perspektywnym skrócie zobaczyła Judy przewracającą kartkę książki. Don, z rękami w kieszeniach, zadarł głowę i krzyknął:

- Uważaj!

- Tak - zawołała - cały czas uważam. Przyglądał się, jak schodziła, i czekał na nią na dole.

- W porządku? - zapytał.

- Tak. Znakomicie.

- Niebrzydkie miejsce.

- Prześliczne.

- Anno? - zaczął Don.

- Mmm...

- Od pewnego czasu chciałem z tobą o czymś porozmawiać.

Stojąc u podnóża wieży też można dojrzeć morze w końcu doliny, szaroniebieską wklęsłość między wrzosowymi stokami. Tak, to bardzo ładny zakątek. Lecz widok gór, do tej pory działający tak kojąco, teraz powoduje, że grunt umyka spod nóg. A z tej chmury może być deszcz.

- Słucham.

- Może to nie jest odpowiedni moment.

- Uważam, że każdy moment jest dobry.

- Ostatnimi dniami żyjesz jakby w oddaleniu.

- Tak - przytaknęła. - Chyba masz rację. Przepraszam cię, Don widzisz, ja...

- Dzwoniłaś wczoraj do domu opieki?

- Nie - odpowiedziała - pomyślałam, że odłożę to na dzisiaj. Sądziłam, że może byłoby...

- Tegoroczne lato - przerwał jej Don - nie szczydziło ciężkich przeżyć.

Don oczywiście nie daje się ponieść emocjom. Jego uwaga wypowiedziana jest tak samo chłodnym i spokojnym tonem, jak gdyby oświadczał, ostrożnie, z obawy, by nie wywoływać niepotrzebnej paniki lub niepokoju, że sąsiedni dom się pali albo że wojna wydaje się nieunikniona. Jego ton może znaczyć wszystko i nic. Szczyt w oddali wciąż jeszcze odrobinę drga, Anna z trudem łapie oddech, co może być oczywiście spowodowane całkiem forsowną wspinaczką na wierzchołek brochów.

- To prawda.

- Ale życie musi iść swoim torem, zdajesz sobie z tego sprawę, Anno.

Tak, myśli Anna, mój skurczony żołądek też uważa, że życie toczy się swoim torem. Jest tych torów kilka, każdy dla innej sprawy. I nagle spoglądając mimochodem na rojącą się od pszczoł kępę wrzosu przypomina

sobie rośliny posadzone w ogrodzie u ojca w Starbridge - kwitnienie lipiec/sierpień” - i wyobraża sobie czarnuszkę, nagietki i malwy posłusznie wypuszczające kwiaty, których nikt nie ogląda.

- Chciałem z tobą porozmawiać - mówi Don - o kupnie domu. Nie wspominałem o tym dotąd, ale widzisz, Jim Thwaites zdecydował wcześniej wycofać się z interesów, co oznacza, że szybciej, niż się tego spodziewaliśmy, zostanę starszym współnikiem. Moglibyśmy więc już teraz pomyśleć o przeprowadzce do większego domu, może za miastem, zamiast czekać z tym jeszcze kilka lat. Co o tym myślisz, Anno?

- Och - odpowiedziała - uważam, że to znakomity pomysł. Tak, mój drogi, przeprowadźmy się, jeśli ci na tym zależy. Oczywiście.

Szczyt góry jest już teraz znowu nieruchomy, a tamta czarna, nie większa od męskiej pięści chmura, która groziła deszczem, rozwiła się. Aura wróciła do dawnego stanu - nijaka, obojętna.

- Sądziłem, że nie wzbudzi to twojego zapału - w głosie Dona słychać było niespotykane u niego zdziwienie. - Już raz kiedyś nie zdradzałaś entuzjazmu, ale jeśli się zgadzasz, to zaraz po powrocie zaczniemy rozglądać się za czymś odpowiednim. W cenie, myślę, około trzydziestu pięciu tysięcy. Oczywiście pod warunkiem, że jesteś pewna, że tego chcesz.

- Bardzo mi się ten pomysł podoba - zapewniła go - naprawdę.

- Dobrze będzie, właśnie teraz, mieć przed sobą jakiś cel.

Czy ta uwaga ma jakieś ukryte znaczenie, czy nie? Czy spojrzenie, które towarzyszy jego słowom, spowodowane jest tym, że kiedy idą w kierunku samochodu, Anna znajduje się pomiędzy Donem a miejscem dla kierowcy, i teraz starając się ją wyminąć, zmuszony jest odwrócić się ku niej, a może czeka na odpowiedź?

- Tak - odzywa się Anna - masz rację. - I wsiada do samochodu, a potem odwraca się do tyłu, żeby otworzyć drzwi Judy. Dziewczynka założyła książkę gałązką wrzosu (lata później gałązka wysunie się spomiędzy stronic przywołując wspomnienie brochów i dzisiejszego popołudnia, które wydawało jej się tak nieważne).

- Pewna jestem, że masz rację - powtarza Anna. - Zawsze zapominam, że życie płynie w dwóch kierunkach - naprzód i wstecz. Studiowanie historii nie na wiele mi się chyba przydało.

A Don wyczuwając żartobliwy ton poklepuje ją po kolanie mówiąc:

- Nie mów, jakby nie patrzeć, zyskałaś na tym wiele. Jadą z powrotem doliną zostawiając za sobą brochy, które służąc nieodgadnionym celom w przeszłości, teraz odegrały tajemniczą rolę w kształtowaniu przyszłości.

Graham leżał w zaciemnionym pokoju na stole z plastikowym blatem, wpatrując się w sufit, z którego zwisały najrozmaitsze przewody, bloczki i prowadnice. Mężczyzna w białym fartuchu powiedział:

- Proszę się nie ruszać. Nabrać powietrza i nie oddychać.

Słychać było stukot i brzęczenie aparatury.

- Może pan oddychać - powiedział lekarz.

Graham posłusznie wypuścił z płuc powietrze i ukradkiem spojrzął na zegarek. Było kilka minut po dwunastej, przy odrobinie szczęścia zdążę z powrotem do studia przed drugą, pomyślał.

- Przechyłę odrobinę stół - powiedział lekarz - z prawej strony na ekranie monitora zobaczy pan, jak kontrast wypełnia jelita.

I Graham, kołysany łagodnie w przód i w tył, patrzył zafascynowany na swój żołądek świecący na dziesięciocalowym ekranie telewizora. Chryste, myślał, niezbyt przyjemny widok, dobrze, że normalnie zachowujemy go dla siebie.

- Proszę się przez chwilę nie ruszać - mówił lekarz. Stół zachybotał, ekran jarzył się wesoło, wypełniony pulsującymi liniami.

- Prawie gotowe, proszę pana, mamy już kilka dobrych czystych zdjęć.

- Świetnie - wybełkotał Graham.

Mdliło go i ciekaw był, czy to też widać na ekranie. Co teraz, zastanawiał się. Ze zdjęciami w garści pędem do laboratorium zająć się montażem? Podpisy powinny wypaść interesująco. Nasza dzisiejsza sztuka - „Intymny świat Grahama Stanwaya”. A może lepiej zatrzymać zdjęcia do jakiegoś filmu dokumentalnego. „Wprowadziliśmy nasze kamery głęboko w jelita Stanwaya i otrzymaliśmy zadziwiający film o tajemnym rytuale i zaskakujących zwyczajach panujących w tym nieznanym rejonie.” To wcale nie jest takie cholernie zabawne, myślał, co na przykład, znaczy ta czarna plama w prawym górnym rogu? Lekarz ustawiając stół z powrotem w poziomie powiedział:

- To wszystko, proszę pana. Dziękuję. Pielęgniarka zaprowadzi pana do szatni, a doktor Hicks zbada pana jeszcze raz przed wyjściem.

Szkocja miała wiele atrakcji do zaoferowania. Zdawało się, że podobnie jak wszystkie okolice, w których ludzie chętnie spędzają wakacje, została specjalnie ukształtowana w taki sposób, by dostarczać miłych wrażeń pomagających oderwać się od codziennych spraw. Zmęczeni podziwianiem krajobrazu mogli posiedzieć na plaży. Judy ciągnęło do zimnego morza, lecz spróbowałszy kąpieli, zrezygnowała. W Edynburgu były galerie sztuki, muzea, koncerty i teatr. Historia nie szczędziła miastu różnego typu dramatycznych przeżyć. Pomimo astronomicznych obecnie, narzekał Don,

cen biletów, te kilka funtów stanowiło niewspółmiernie drobną opłatę za możliwość zagłębiania się w katastroficzne koleje losu innych ludzi. A jeśli osiemdziesiąt pensów od osoby okazywało się zbyt wygórowaną ceną za wstęp do zamku czy opactwa, przenosili się do Glencoe, gdzie na dodatek można było urządzić wygodny piknik i to za darmo. Edwardiańskie hotele najeżone rogami jeleni na tle szkockiej kraty należały do innego, sympatycznego, świata: jedynie wiadomości z gazet i telewizji przypominały, że czas nie stoi w miejscu. Poruszano w nich wydarzenia też nie całkiem rzeczywiste, jakby rozgrywały się one gdzie indziej. Oczywiście należało z daleka omijać Glasgow i naprawdę udawało się zapomnieć o tym, że mieszkają tu i pracują jacyś ludzie, mają osobiste kłopoty, produkują biszkopty, statki albo części do samochodów. Przez dziesięć dni można beztrudno podróżować tu i tam odczuwając jedynie podziw dla znakomitej organizacji tego wesołego miasteczka. Nigdy nie powinno się jeździć na wakacje do miejsc naznaczonych prozą życia.

Kiedyś, wspominała Anna, kiedy byłam mniej więcej w wieku Judy i chyba tak samo jak ona nietowarzyska, pojechaliśmy na kontynent i przyznam się, że nie wiem, do jakiego kraju. Były tam góry i jeziora, ale to też nie pomaga mi sobie przypomnieć, czy to była Szwajcaria, Austria czy Włochy. Nie pamiętam ani jednego zasłyszanego wtedy słowa, więc język też nie może być wskazówką. Na łące przy drodze stała koza z dwoma rozkosznymi kozłętami, ja z przejściem robiłam na drutach coś w paski z różnokolorowej włóczki, różowo-fiołkowo-niebieskiej. W dużej hotelowej restauracji z wykrochmalonymi serwetkami i wypolerowanymi szklankami rodzice rozmawiali wyłącznie o jedzeniu i robili plany na następny dzień.

Mówią, że podróże poszerzają horyzonty myślowe.

Czekałam, tak jak najprawdopodobniej teraz Judy, aż dorosnę. Co robili matka i ojciec? Mama na swój sposób lubiła wakacje jako okres, kiedy rodzina jest razem (gdzie był wtedy Graham? Pewnie gdzieś daleko, wtedy już na wpół opierzony, jak obecnie Paul, wypuszczony na obóz szkolny w okolicy Snowdon). Wówczas sądziłam, że ojcu takie wakacje też sprawiają przyjemność, ale teraz nie jestem taka pewna. Utkwiła mi w pamięci spokojna postać siedząca na półce skalnej obok szlaku, najwyraźniej podziwiająca widoki. Mógł rozmyślać o zupełnie innych sprawach. Teraz nie dowiem się już prawdy.

Anna spacerowała wzdłuż kamienistego brzegu jeziora. Było długie i wąskie, na mapie miało wyraźny i przyjemny dla oka kształt przypominający bumerang, a teraz, kiedy późnym popołudniem tu zajechali, wydawało się położone w idealnej symetrii względem otaczających je gór, a

jego łuk w naturalny sposób prowadził wzrok ku krańcowi cypla, gdzie rosło pochylone wichrami drzewo, a za nim w dali wznosił się górski szczyt. Woda rozбивała się o brzeg drobnymi regularnymi falami, które dodawały temu zastygłemu, sprzyjającemu zadumie, obrazowi idealnie odmierzony element ruchu. Wyrzucone na brzeg, zbiegające jak kości kawałki drzewa wyglądały jak rzeźby obok kęp sitowia i stert błyszczących kamieni. Od czasu do czasu nad jeziorem wolno przelatywała mewa, nieskazitelnie biała na tle wyblakłej, równej szarości nieba i ziemi. Nie było tu śmieci ani hałasu, słycać było jedynie meczenie kóz i krzyk ptaków, ludzie rzadko odwiedzali ten zakątek nie polecany w żadnym przewodniku jako szczególnie malowniczy czy interesujący. Anna przysiadła na kamieniu (akurat odpowiedniej wysokości, znajdującym się dokładnie tam, skąd rozpościerał się najprzyjemniejszy dla oka widok) i doszła do wniosku, że to miejsce jest kwintesencją romantycznego pejzażu. Don spacerujący trochę niżej nad wodą powinien przesunąć się odrobinę w lewo, przebrać w strój z ubiegłego stulecia i szerokim gestem wyrażającym podziw obejmować góry.

- Don - zawołała - mógłbyś udawać romantyczną postać!...

Lecz Don, zbyt oddalony, żeby usłyszeć, uśmiechnął się i pomachał ręką, zdjął buty i skarpetki i ostrożnie wszedł do zimnego jeziora.

Mamie by się tu nie podobało, pomyślała Anna. Uznałaby, że tu smutno. Lubiła miejsca wesołe - schludne przedmieścia tonące w kwiatkach i plaże pełne rozbieganych dzieci albo uzdrowiska z lat dwudziestych zeszłego stulecia z szeregami białych, lśniących w słońcu willi. Otoczenie w równym stopniu co pogoda wpływało na jej nastrój. „Ponure miejsce, ponury dzień - jedźmy gdzie indziej, miejmy nadzieję, że jutro pogoda się poprawi.” Kiedyś chciała przenieść się na starość gdzieś, gdzie jest więcej słońca, do Hiszpanii albo w podobne miejsce. Była pewna, że poczują się o wiele lepiej, jedna z jej przyjaciółek zamieszkała na Malcie i stała się zupełnie inną kobietą.

Nie czuję się odmieniona, myślała Anna. Nic na mnie nie działa. Patrzę na te wszystkie zjawiska, obserwuję ich naturę, a wciąż robię to, co przedtem. Dzień po dniu analizuję, co się między nami wydarzyło, co on powiedział, a czego nie, za każdym razem, kiedy spojrzę na Dona, odczuwam wewnętrzny skurcz. Co drugi, trzeci dzień dzwonię wieczorem do domu opieki i dowiaduję się, że sytuacja się nie zmieniła. A jutro już będzie sierpień.

- Która godzina? - James Stanway zapytał pochyloną nad nim kobietę, która poprawiała mu ubranie. Irytowało go to. Rozdrażniony czepiał się jej ręki, a ona zdecydowanym ruchem odsunęła jego dłoń.

- Już późno, złociutki. Spróbujemy zasnąć, dobrze? A może jeszcze coś do picia?

- Nie piję dużo - mówił do Betty - wiesz dobrze. Ale po tym wszystkim napiję się, jeśli pozwolisz. Whisky proszę. Dlaczego? Dlaczego po tylu latach? - pytał. - Dlaczego teraz?

Betty, ubrana w biało-niebieską sukienkę, wstała i podeszła do kredensu. Szybкими zręcznymi rękami wyjęła szklanke, butelkę i wodę sodową. Od ostatniego spotkania obcięła włosy i nagle wydawała się młodsza, przypominała siebie z okresu kiedy się poznali piętnaście lat wcześniej. Piętnaście lat.

- Czemu teraz?

Usiadła gładząc kwiaty na kretonowym obiciu fotela. Mówiła coś o zmianach.

- Ja się nie zmieniłem - odparł. - Myślę, że ty też nie. Przyznaję, życie jest zagmatwane, teraz jestem tutaj z tobą, ale tamci też zawsze istnieli. Pod tym względem także nic się nie zmieniło.

A ona przeczesując palcami włosy, jak to miała w zwyczaju, uśmiechając się mówiła teraz o przyjaźni.

- Och, Betty! - wykrzyknął - co się z tobą dzieje? Przyjaźń... - Nawet kiedy wypowiadał te słowa, oddalała się jak gdyby coraz bardziej uciekając od intymności w zażyłą familiarność, zmieniając się z osoby bliskiej w zwykłą znajomą.

- Masz może rację - powiedział - mówiąc, że życie biegnie swoim torem, ale przysięgam na Boga, chciałbym, żeby tak nie było.

Whisky miała smak mleka, ciepłego mleka. Odsunął od siebie szklanke i usłyszał krzyżujące się głosy rozmawiające o kimś, kto jest dzisiaj wzburzony i komu nie zaszkodziłby środek uspokajający. Odwrócił się na poduszce i zobaczył ryby pływające tam i z powrotem po zasłonach, a może to była mielizna w korycie rzeki.

Zbliżając się do skrzyżowania na Sheffield, Don jeszcze raz zapytał:

- Na pewno nie chcesz wracać przez Lichfield? Oszczędziłoby ci to jazdy za tydzień.

A Anna ponownie zaprzeczyła:

- Nie, myślę, że nie. To nie byłoby rozsądne, wyruszyliśmy trochę późno. Paul wraca przed szóstą, a ja i tak muszę się tam wybrać w przyszłym tygodniu. Jest kilka spraw do załatwienia, powinnam porozumieć się z

dyrektorem banku, poza tym przychodzi rzemieślnik zreperować ciekącą rynnę w domu w Starbridge...

- Dobrze - zgodził się - dobrze, rób, jak ci wygodnie. Tak tylko myślałem.

Zależy mu? Gniewa się? A może to tylko ta długa jazda, duży ruch na autostradzie i perspektywa powrotu do biura już jutro o 9.30?

W Cuxing trawa wyrosła wysoko, z kwiatów sypały się nasiona. W poniedziałek rano po śniadaniu Anna przeszła się po ogrodzie. Zrywając zwiedle łebki bratków stwierdziła, że krzak róży pnącej się po ścianie domu przez lato obumarł i powinno się go wyciąć. W tym miejscu ładnie wyglądałby bez. Ale prawda, przecież nie będziemy tu mieszkać aż tak długo, prawie zapomniałam. Ktoś inny zdecyduje, co zrobić z różą. A ja będę wkrótce musiała zajrzeć do szaf, powyrzucać stare rzeczy, postanowić, co zatrzymać, a co jest dla nas bezużyteczne. Ciekawe, co przy okazji odkryję?

Okno jej sypialni otworzyło się i Paul zawołał:

- Dzwoni Sandra.

- Już idę - odskrzyknęła i weszła do domu wciąż myśląc o szafach, które straszą swoją zawartością: nie noszone ubrania, zapisane zeszyty, lalki, klocki, samochodziki, karabiny maszynowe, pocztówki i fotografie. Zajmę się tym wszystkim wtedy, kiedy będę gotowa, zdecydowała, i nie wcześniej. Kiedy to mnie będzie odpowiadało, dopiero wtedy.

- Hej - przywitała ją Sandra - a więc wróciłaś. Wyobrażam sobie, jakie mieliście cudowne wakacje. Słuchaj, nie mogę teraz długo rozmawiać, strasznie dużo czasu zajmuje mi obecnie szpital, organizujemy miejscowy Klub Pacjentów. To, co się dzieje w naszym szpitalu, pozostawia wiele do życzenia. Chyba dobrze się złożyło, że spędziłam tam tych kilka dni, wiesz z nogą, przynajmniej zobaczyłam na własne oczy. Ale dzwonię, żeby cię zawiadomić, że Komitet Ocalenia Domu Splatta się rozwiązuje. W czwartek u Pickeringów mamy ostatnie zebranie. Wpaść po ciebie?

- Rozwiązuje się?

- Chyba nic więcej nie możemy zrobić, prawda? Chodzi o to, że ze zbiórki na transparenty, ogłoszenia w gazecie i tak dalej zostało trochę pieniędzy, więc musimy to wszystko uporządkować. A Hugh Sidey wraz z mną bardzo się teraz zaangażował w sprawę szpitala. Przyznam, że jego osoba to dla naszego miasteczka cenny nabytek.

- W czwartek chyba nic nie mam - powiedziała Anna. - Tak proszę, wstąp po mnie. Skończyli już rozbierać ten dom?

- Oczywiście. Nie myślę jednak, że będą budować dokładnie w tym miejscu. Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek chciał tam zamieszkać.

- A dlaczego nie?

- Prawda! - wykrzyknęła Sandra. - Oczywiście, nie mogłaś przecież o tym słyszeć! Wszystko okazało się nieco makabryczne. Kiedy zaczęli kopać rowy w ogrodzie, wiesz, pod instalacje czy coś innego, znaleźli dwa szkielety. Tuż obok kuchennego wejścia. Szkielety dzieci - dwa. Policja zabrała je i po zbadaniu stwierdzili, że prawdopodobnie pochodzą z początku dziewiętnastego wieku. Potworne. Jedno z dzieci musiało być maltretowane, miało połamane kości, czy coś w tym stylu. I były strasznie niedożywione, najwyraźniej na wpełzanie zagłodzone. Pisali o tym w gazecie. Wyjaśniali, jak ze składu kości można dowiedzieć się, co ludzie jedzą i tak dalej. Jakiś historyk z uniwersytetu napisał, że dzieci mogły być nawet zamordowane, kiedy ceny zboża skoczyły w górę, czy coś takiego. Na wsiach panował głód, więc nie mogli wyżywić dzieci, no wiesz. Pisał bardzo skomplikowane rzeczy o zmiennych cenach chleba i prawach o ubogich, przyznam, że nie przeczytałam dokładnie, bo to było raczej nudne. Inna sprawa, że na samą myśl skóra cierpnie, nie? Dom był taki okropnie ciekawy, mógłby być, gdyby o niego zadbać, ale kiedy pomyśleć... W każdym razie po tym wszystkim nikt nie będzie chciał tam mieszkać, na pewno nikt stąd, bo o całej tej sprawie było oczywiście raczej głośno. Mówią, że z tego powodu Pym będzie musiał obniżyć trochę cenę tych, pozał się Boże, bungalowów. Chociaż taki pożytek z tej całej historii. Dobrze mu tak. No to do czwartku. Muszę pędzić.

No, no, myślała Anna. Jak sprytnie sam domek o siebie zadbał. Można powiedzieć, że odniósł w końcu zwycięstwo z zaświatów. Muszę zdobyć ten artykuł.

- Słyszałaś? - zwróciła się do Judy, która nagle wyrosła w drzwiach kuchni - o domu Splatta?

- O kościotrupach? Tak. Susie mi powiedziała. Miałam rację, prawda?

- Myślałam, że chodziło ci o węgorze.

- O coś nieprzyjemnego, to właściwie to samo. Idziesz gdzieś?

- Do miasta. Nie na długo.

Anna szła główną ulicą Cuxing, minęła uwięziony za żelaznymi sztachetami krzyż na placu targowym, starannie odrestaurowany dom z pruskiego muru, siedzibę Barclays Bank, oraz mniej zadbane, ceglany, osiemnastowieczny budynek, gdzie w sklepie z jarzynami zrobiła zakupy. Przy pomniku Bohaterów Wojny, na którym, zachowując hierarchię społeczną, wypisano nazwiska najbardziej godnych upamiętnienia

obywateli miasteczka, spotkała Mary Pickering. Mary zatrzymała się na chwilę, by zdać żartobliwą relację z wakacji spędzonych na kempingu we Francji.

- Do zobaczenia w czwartek - powiedziała. - Przyprowadź męża, jeśli będzie miał ochotę. Myśleliśmy, żeby potem urządzić małe przyjęcie, bo nie ma aż tak wiele spraw do przedyskutowania.

Anna poszła dalej. Zauważyła, że zamiast narożnej, staroświeckiej pasmanterii, gdzie miesiącami trwała wyprzedaż z powodu likwidacji sklepu, jest teraz „Jarmark Staroci”. Zajrzała przez drzwi i zobaczyła rzędy oczyszczonych z olejnej farby sosnowych komód, narożnych szaf, wiktoriańskich stołów kuchennych. Wzdłuż ścian ciągnęły się półki zastawione miedzianymi rogami myśliwskimi, dzbankami, szkandelami i mosiężnymi ozdobami końskich uprząży, do zawieszenia na belkach pod sufitem w pubie albo restauracji. Do starych skrzyń z jasnego drewna i małych, poręcznych, solidnych kredensów przykręcono nowe mosiężne uchwyty odlane według osiemnastowiecznych wzorów, świeżo pomalowane podwozie dziewiętnastowiecznego dziecięcego wózka przerobiono na żardynierę, wypolerowaną dębową maślnicę ustawiono w charakterze dekoracji na marmurowym blacie meblowej umywalki, też oczyszczonej z politory i zaopatrzonej w nowe uchwyty do szuflad. Każdemu z tych przedmiotów odebrano jego przeszłość, wystawiając na pokaz to, co minęło, zamieniając użytkowe sprzęty w ozdoby, zniszczono jak gdyby ich funkcjonalność. Społeczeństwa mniej rozwinięte usiłują zjednać sobie przodków, składając im ofiary błagalne, my robimy z nich ekspozyty w muzeum czyniąc ich tym samym nieszkodliwymi, traktujemy ich jak rodziców, których ostrzeżenia bezpiecznie można ignorować wiedząc już, że przemoczenie nóg nie musi kończyć się katarem.

Anna poczuła, że ktoś za nią stoi. Odwróciwszy się zobaczyła pana Jewkesa z Wydziału Planowania Przestrzennego.

- Wyobrażam sobie te ceny - powiedział.

- Tak. Lubiłam stary sklep Hapgooda. Było to ostatnie ze znanych mi miejsc, gdzie sprzedawano bawełniane nici w szpulkach, a wszystkie rzeczy trzymano w maleńkich szufladkach z szybkami, które zapełniały całe ściany.

- I gdzie sprzedawczynie ubrane były w czarne fartuchy - zniecka dodał pan Jewkes.

Uśmiechnęły się do siebie.

- Ostatni raz widzieliśmy się w związku z domem Splatta. Co za zbieg okoliczności, właśnie wczoraj myślałem o tej sprawie. W gazecie ukazał się ciekawy artykuł o znalezionych tam szkieletach.

- Nie czytałam go - powiedziała Anna. - Byliśmy wtedy na wakacjach.

- Muszę poszukać, czy go jeszcze gdzieś mam. Zainteresowałby panią.

Poszli dalej razem, a pan Jewkes tłumaczył Annie, że zwrócono się do niego o pozwolenie na wybudowanie w Cuxing osiedla złożonego z czterdziestu domów. Przyjechał obejrzeć teren.

- I da pan zgodę? - zapytała Anna.

- Powiem pani w zaufaniu, wątpię. Projekt osiedla nie pasuje do charakteru miasteczka, nie podoba mi się także pomysł rozszerzania zabudowy w stronę Reading. Przyznam - mówił - że lubię Cuxing. Wydawało mi się zawsze, że to jedno z tych miejsc w Berkshire, którym się poszczęściło, w tym sensie, że mało tu domów z lat dwudziestych i trzydziestych. Zdaję sobie sprawę, że w pani odczuciu przepisy dotyczące nadzoru budowlanego bywają opacznie stosowane, ale jestem przekonany, że i pani nie chce, by wróciła anarchia z lat przedwojennych - popatrzył na nią znad okularów w złotej oprawce i uśmiechnął się przekornie.

- Nie, z całą pewnością nie chciałabym tego - odwzajemniła uśmiech, nie da się ukryć, sympatyczny człowiek ten pan Jewkes.

- Powiem panu - dodała - niewykluczone, że stąd wyjedziemy. Mąż chciałby kupić większy dom gdzieś w okolicy.

- Zaraz, zaraz - powiedział pan Jewkes - nie wiem, o jaki dom chodzi... ale właśnie wracam z miejsca, które może mogłoby go zainteresować. Firma Pym z Wallingford, wie pani, to brat waszego Pyma, zwróciła się do nas o zezwolenie na przebudowę wozowni znajdującej się trochę dalej w dół rzeki. Jadąc tutaj rzuciłem okiem na ten budynek i nie widzę żadnych przeciwwskazań. Nie używany od Bóg wie kiedy, pięknie położony, z rozległym widokiem na wyżynę. Przedstawiono całkiem przyjemny, opracowany z gustem, projekt adaptacji, nie zmieniający prawie niczego z zewnątrz. Może mąż zechce skontaktować się z nimi, zanim dadzą ogłoszenie - takie oferty są obecnie natychmiast rozchwytywane.

- Tak. Ma pan rację, powiem mężowi. Dziękuję.

- Nie ma za co. Po naszym ostatnim spotkaniu skojarzyłem pewne fakty. W swoim czasie uczyła pani w liceum mojego najstarszego syna. Lubił pani lekcje, historia to jego hobby.

- Miło mi - powiedziała Anna. - Ale ja już nie uczę - i wyjaśniła okoliczności, w jakich została zwolniona.

Pan Jewkes dawał wyraz swojemu oburzeniu i żalowi.

- Czy to znaczy, że będzie pani szukała nowego zajęcia? - spytał.

- Chyba tak. Prawdę mówiąc jeszcze o tym nie myślałam. Ostatnio byłam trochę zajęta innymi sprawami. Mój ojciec choruje i dopóki ten stan trwa, trudno mi jest skoncentrować się na czymkolwiek. - Co za eufemizm, pomyślała. Co za głupi, samooszukańczy eufemizm, i to pod każdym względem.

- Oczywiście - przytaknął pan Jewkes lakonicznie. - Proszę przyjąć wyrazy współczucia. Ojciec pani, rozumiem, jest już w podeszłym wieku.

- Tak, jest bardzo stary.

Zatrzymali się teraz przy wejściu na parking.

- Miło mi było znowu panią spotkać - powiedział pan Jewkes i zawahał się moment, jakby nie wiedząc, jak się pożegnać. Trzymając rękę w kieszeni pobrząkiwał kluczykami od samochodu.

- Zdaje się, że studiowała pani kiedyś historię, tak? - zapytał. - Przepraszam, nie chciałem zachować się impertynencko.

- Tak - odpowiedziała Anna zaskoczona. - Skończyłam historię. - Coś zmusiło ją do dodania: - Dawno temu oczywiście. - Zabrzmiało to głupio.

Pan Jewkes skinął potakująco głową. Dziwnie sztywno podali sobie ręce i pan Jewkes odszedł do swojego samochodu.

Anna wracała do domu. Dochodząc do rogu ulicy, zobaczyła listonosza roznoszącego popołudniową pocztę, zatrzymał się przy ich furtce, przejrzał plik listów trzymany w ręce i podszedł do frontowych drzwi. Bardzo wolno pokonała resztę drogi, zatrzymała się, by przeczytać ogłoszenie na słupie latarni i porozmawiać z małym synkiem sąsiadów. W przedpokoju, na macie, połyskiwała widokówka. Nie patrząc wzięła kartkę i zaniósła do kuchni. Tam przeczytała, że matka Dona jest na kilkudniowych wakacjach w Devon i nie może doczekać się spotkania z nimi już za kilka tygodni, we wrześniu.

Ogarnęło ją uczucie tęsknoty i przygnębienia. Stała przy stole z pocztówką w ręce i myślała o niezmiernym dystansie dzielącym Cuxing od Lichfield. Słyszała głos Dawida, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak wygląda.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

W czwartym tygodniu sierpnia Anna ruszyła w drogę do Lichfield. Ostatni raz jechała tędy, w przeciwną stronę, dwadzieścia siedem dni temu. Z pól zebrano już zboże, jabłonie w sadach obsypane były owocami, w przydomowych ogródkach bujnie rozkwitły michałki i chryzantemy. Zatrzymała się, żeby kupić benzynę w tej samej stacji co w czasie pierwszej ze wszystkich wypraw i gdzie od tamtej pory zawsze się zaopatrywała (oto jak mimowolnie tworzą się przyzwyczajenia), a obsługujący ją mężczyzna podając jej przez okno resztę zagadnął:

- Po wakacjach znowu do pracy. Ma pani pewnie dużo spraw, prawda?

- Co? - zapytała zdumiona.

- To pani nie jeździ służbowo?

- Ależ nie - odpowiedziała.

- Zauważyłem po prostu, że tego roku podróżuje pani regularnie tą trasą, i pomyślałem, że to interesy panią do nas sprowadzają.

- Nie - wyjaśniła Anna. - Jeżdżę do ojca. Choruje ostatnio.

- Aha. Przykro mi. Mam nadzieję, że to nic poważnego. Cztery dziewięćdziesiąt. Dziękuję.

Ojciec leżał z zamkniętymi oczami, oddychał z trudem. Pielęgniarka przechodząc od łóżka do umywalki powiedziała:

- Chyba nie uda się nam go obudzić, kochana.

Pochyliła się nad śpiącym, przemówiła do niego i po chwili pokiwała przecząco głową.

- Wychodząc proszę zajrzeć do siostry przełożonej, chciałaby z panią porozmawiać.

- Lekarz, który badał go dziś rano - powiedziała siostra przełożona - stwierdził nieznaczną poprawę. W nocy nastąpił kryzys, myśleliśmy, że to już koniec. Zadzwoniłabym, ale wydawało mi się to bezcelowe. Nie poznałby pani, a i tak miała pani rano przyjechać... Zdziwiające, jak on się trzyma. Wiem, że dla pani to bardzo ciężkie przeżycie, ale myślę, że to już nie potrwa długo...

Anna przeszła przez park obok pensjonariuszy siedzących w słońcu na ławkach i leżących tak samo jak w kwietniu, kiedy po raz pierwszy tu przyjechała. Rozpoznała jedną z kobiet i się do niej uśmiechnęła. Większości tych ludzi nie znała, mogli już tu wtedy mieszkać albo dopiero się wprowadzili. Jestem niespostrzegawcza, nic do mnie nie dociera, myślała. Przełożona wyglądała na bardzo zmęczoną, miała podkrążone oczy, może całą noc była na nogach, kiedy ja leżałam w Cuxing też nie

śpiąc. W nocy był bliski śmierci... Jak dalece sam jest tego świadomy? Trochę? Wcale?

W Starbridge czekając na Dawida przechadzała się po ogrodzie. Od pewnego czasu nie padało, jej kwiaty zwiędły i wyschły prawie całkowicie. Zamiast spodziewanej feerii barw zastała płataninę zwiędłych badyli koloru brązu. Tyle zachodu i w końcu wcale ich nie widziałam, pomyślała. Przed furką zatrzymał się samochód i Annę przeszedł lodowaty dreszcz oczekiwania. Ze sztywnym uśmiechem podeszła kilka kroków w kierunku Dawida, a on zdziwiony zapytał:

- Co się stało? Już mnie tu nie witają?

- Och, Dawidzie... - powiedziała i czując napływające łzy odwróciła głowę, żeby ich nie dostrzegł.

Tak jak w maju kochali się po południu, promień słońca ukośnie padał na nagie udo Anny i ramię Dawida. Zauważyła cętki światła na jego włosach, a przyglądając się własnemu ciału nawet w takim jak ten momencie pomyślała, że wrześnie słońce jest inne, całkiem inne, nie można się pomylić, według słońca da się określić porę roku. Później podzieliła się tym spostrzeżeniem z Dawidem, a on powiedział, że wrzesień jeszcze się przecież nie zaczął.

- Już prawie. W niedzielę.

- Więc nie zaczynajmy go wcześniej, niż trzeba. Szkoła i w ogóle. A jak było w Szkocji?

- Nie wiem. Nic prawie do mnie nie docierało. Wkładając koszulę usiadł na brzegu łóżka.

- Moi chłopcy mieli świetne wakacje. Dali mi w kość. Jednego dnia Tom przeszedł trzydzieści kilometrów z hakiem. - Spojrzał w dół na twarz Anny i dotknął jej ramienia. - Tęskniłem za tobą. Myślałem o tobie - och, w różnych dziwnych miejscach. Żałowałem, że cię z nami nie ma. - Przez chwilę wpatrywał się w okno i nagle powiedział: - Nie wiem, nie wiem, Anno, a ty...?

- Czego nie wiesz, Dawidzie?

- Nic. Jestem ostatnio trochę przygnębiony. Ale nie zamierzam ciebie tym obarczać. Widziałas ojca?

- Powiedzieli, że to już niedługo.

Ze wzrokiem znów utkwionym w okno skinął potakująco głową.

Kłamie, myślał Dawid. Kręć. Robię uniki. Wpierw wobec chłopców. Teraz wobec Anny. Jakoś nie potrafię być uczciwy. Kłamstwo, unik są zawsze tak o wiele łatwiejsze, o wiele mniej bolesne niż mówienie prawdy. W moim osobistym życiu zawsze tchórzyłem. Na zewnątrz nie - szkoła,

uczniowie - na tamtym polu sprawdzam się wystarczająco dobrze. Jeśli chodzi o inne sprawy, przeciwnie.

Zatrzymał samochód na betonowym podjeździe przed garażem, nie wysiadł, siedział przed własnym, pogrążonym w ciemnościach domem i nie miał ochoty wchodzić do środka. Nienawidzę tego domu, myślał, zawsze go nienawidziłem. Od mniej więcej pięciu lat sypiam w nim i jadam, i nigdy nie przyjrzałem mu się wystarczająco dobrze, by nie zerkając wpierw na numer móc powiedzieć, że to właśnie ten. W tej chwili tylko rower Toma przy żywopłocie jest dla mnie wskazówką. Ona pewnie już wróciła, myślał, i się położyła. Jutro przy śniadaniu spojrzy na mnie przez stół, żeby sprawdzić, czy dokładnie zrozumiałem. Czy przeczytałem, to i owo sobie zaznaczyłem, nauczyłem się na pamięć i czy w duchu to wszystko przetrwałem.

Siedział pogrążony w bólu, a słowa jej listu dudniły mu w głowie:

„...myślę, że lepiej wyrazić to w liście, przed powrotem do domu. Chcę zupełnie jasno przedstawić swoje stanowisko, co nie zawsze się udaje, kiedy rozmawiamy twarzą w twarz... wyobrażam sobie, że to nie po raz pierwszy, poprzednio miałeś więcej szczęścia, nie znalazł się nikt na tyle uprzejmy (czy na tyle nieuprzejmy), żeby mi donieść... dowiedziałam się tego i owego, głównie, że też ma dzieci... nie chcę rozwodu, z powodów mi tylko znanych, przeżyliśmy jakoś osiemnaście lat i możemy ciągnąć to dalej.”

Dokładnie osiemnaście i pół, pomyślał, w grudniu będzie dziewiętnaście. Ale nie o to chodzi.

„...okazuje się, że w świetle nowego prawa nie mogę cię powstrzymać, jeśli do tego dążysz... ale równie dobrze teraz mogę cię ostrzec raz na zawsze... Tom i Alan... jej dzieci także... jej mąż... pogarda... niemożliwe, żeby uszanowano... postaram się obrzydzić życie i myślę, że wiesz...”

Wiem.

„...winien mi to jesteś za osiemnaście lat harówki i znoszenia przy tym... nie zawsze najlepiej wychodziło, ale nie widzę, dlaczego to ja mam być wszystkiemu winna... można przywiązywać nadmierną wagę do fizycznej strony i ja osobiście... a co więcej, nie rozumiem, dlaczego mam cierpieć upokorzenie z powodu... absolutnie szczerą z Tomem i Alanem i nie wątpię, że oni będą myśleli to samo... a więc będę się czuła w prawie i obowiązku skontaktować z jej mężem... nie widzę powodu, żeby pozostawić go w stanie błogiej nieświadomości... ich dzieci także... z drugiej jednak strony, jeśli... gotów zakończyć i żyć dalej po staremu... w ciągu najbliższych tygodni zdecyduj, czego chcesz.”

Po staremu. To znaczy jak, zastanawiał się. Żyjąc od kwietnia w ciągłej rozterce zapomniałem. Nie mogę sobie przypomnieć, jaki byłem przedtem. Co czułem. Byłem nieszczęśliwy? Nie wydaje mi się. Dawałem sobie radę: praca, różne inne sprawy, chłopcy. Wszystkie dni bardzo do siebie podobne, rzadko temperatura dochodziła do wrzenia. Było aż tak źle?

Na pewno nie, mówił do siebie, na pewno nie. Wpatrywał się w ciemne okna, za dwoma z nich spali jego synowie. Nie wiem, zastanawiał się, nie wiem...

- Och, Graham! - wykrzyknęła Anna - tak mi ciebie żal, biedaku. Ale przynajmniej wiesz, co ci dolega. I mogło być o wiele gorzej. Czy to znaczy, że będziesz miał operację?

A Graham gdzieś tam w Londynie odpowiedział, że specjalna dieta, złożona, jak się zdołał zorientować, z jakichś cholernych papek, jak dla niemowląt, i bez kropli alkoholu, jest dla niego gorsza niż operacja.

- Przyjedź do nas w ten weekend, tak cię proszę. Ale okazało się, że właśnie kręcą w Suffolk, potem na trzy dni jedzie do Berlina na jakiś festiwal telewizyjny, a potem musi non stop być w Londynie, bo pracują nad nowym serialem.

- Ty wpadnij, zjemy razem lunch - zapraszał. - Postawię ci ekstra żarcie. Bardzo chciałbym, żebyś przyjechała.

- Dobrze - zgodziła się - dobrze, przyjadę. Za dwa tygodnie. I uważaj na siebie, Graham. Bądź rozsądny z jedzeniem i w ogóle.

- Tak jest, ciotuniu - odpowiedział. Anna odłożyła słuchawkę myśląc: wraca do formy, teraz już bardziej przypomina siebie.

Biedny Graham, to nic przyjemnego chorować i nie mieć przy sobie nikogo bliskiego.

Poprzedniego dnia wróciła z Lichfield. Dawid zawiadomił ją telefonicznie, że nie może się z nią spotkać w mieście na lunchu, tak jak było umówione. „Przepraszam - tłumaczył - ktoś musi zawieźć Toma i Alana do Birmingham, a Mary nie ma czasu. Anno, przykro mi.” „Ależ nic nie szkodzi - odparła, a po trwającej ułamek sekundy przerwie Dawid zapytał: „Kiedy znowu przyjedziesz?” „Nie jestem pewna - powiedziała - dam ci znać, zadzwonię do szkoły albo zostawię wiadomość.” W powrotnej drodze jechała szybko, niewiele albo zgoła nic nie widząc i nagle ze zdziwieniem znalazła się przed własną furtką w Cuxing.

Kiedy tego wieczoru przyjechała Sandra, żeby zabrać ją do Pickeringów, Anna zwierzyła się jej:

- W tym roku los uwziął się na moją rodzinę. Graham ma wrzód żołądka. Graham, wiesz, mój brat.

- Co za wstrętny pech! - wykrzyknęła Sandra. - Naprawdę nigdy nie sądziłam, że i on jest z tych, co zachorują.

- A są tacy?

- Rozumiesz, czasami wiadomość, że pewnym osobom coś się przytrafiło, nie wywołuje takiego zdziwienia - to w pewnym sensie leży w ich charakterze. Ta biedaczka pani Hedges, na przykład. Jej mąż, czterdzieści lat zaledwie, właśnie wtedy, kiedy ona rodzi kolejne dziecko, ma atak serca i na dodatek traci pracę, jedno do drugiego pasuje. Albo takie dzieci, które wciąż chodzą potłuczone, pokaleczone, połamane. Prawdę powiedziawszy - ciągnęła - spodziewałabym się prędzej, że to ciebie złapie jakieś choróbko, a nie twojego brata. Nie gniewasz się chyba, że tak mówię?

- Nie sądzę, żeby mi coś dolegało - powiedziała Anna - w każdym razie nic, o czym warto by wspominać.

- Och, nie mówię, że źle wyglądasz. Po prostu zawsze sprawiasz odrobinę tajemnicze wrażenie, to jest, nie dasz się tak łatwo rozszyfrować jak większość ludzi. Teraz już mogę ci to powiedzieć, ale kiedy się poznałyśmy, odrobinę się ciebie bałam. Wyglądałaś na cholernie inteligentną.

- Przykro mi - powiedziała Anna. - Nie chciałam. Mam nadzieję, że teraz już tak nie jest.

- Oczywiście, że nie - zaprzeczyła Sandra - no i w końcu nasz stosunek do ludzi też się zmienia. Boże, mam nadzieję, że nie brzmi to zbyt niegrzecznie.

- Ani trochę - uspokoiła ją Anna. - Taka tajemniczość całkiem mi odpowiada, dopóki mam pewność, że nie chodzi o jakąś tajemniczą chorobę.

- Ależ jestem przekonana, że nic ci nie jest - powiedziała Sandra. Skręciła w podjazd przed domem Pickeringów. Żwir pryskał spod kół samochodu.

- Patrz, ustawili już tę maszynę, czy to nie fantastyczne!

Oświetlona pojedynczym reflektorem zainstalowanym na bocznej ścianie domu, wtopiona w betonową podstawę, starannie zamaskowana doniczkami i skrzynkami sezonowych kwiatów stała ogromna maszyna. Pobielona ściana dobudówki stanowiła tło dla lśniącej, naoliwionej, wypolerowanej i świeżo pomalowanej maszynerii, której tłoki i koła rzucały ostre cienie. Kiedy wysiadały z samochodu, z otwartych drzwi frontowych wyszedł Brian Pickering, a Sandra powiedziała:

- Przyznam, że to szalenie efektownie wygląda. Uważam, Brian, że miałeś znakomity pomysł.

- Ładna, prawda? - odpowiedział pytaniem.

- Co to jest? - zainteresowała się Anna.

- Maszyna parowa. Z wczesnego okresu rewolucji przemysłowej. Likwidowano fabrykę gdzieś w Czarnym Zagłębiu i kiedy pewien mój kumpel o tym usłyszał, wybrał się na miejsce, żeby poszperać w poszukiwaniu różnych kawałków nadających się do rzeźbiarskich kompozycji. Powiedział mi o tym urządzeniu. Więc oczywiście od razu pomknąłem i odstąpił mi ją za setkę. Kilku części brakuje, inaczej warta by była o wiele więcej, do muzeum, do jakiejś kolekcji czy czegoś w tym rodzaju.

- Jak to działa?

- Aha - westchnął Brian - poddaję się. Mechanika to nie moja specjalność. Te części poruszają się oczywiście w górę i w dół, napędzając tamto urządzenie. Nie bardzo się orientuję, do czego to służy. Przyznam, że wnętrze mojego samochodu też stanowi dla mnie tajemnicę. Ale nie mogłem się oprzeć - tkliwie pogładził błyszczące żelazo.

- Nie mam ci tego za złe - powiedziała Sandra. - Ale lepiej zaczynajmy. Są już wszyscy?

Weszli do środka.

- Myślałam, że twój mąż też przyjdzie - Mary Pickering przywitała Annę.

- Niestety, nie mógł się wyrwać.

- Panny Standish też nie będzie. Napisała przepraszając, że nie widzi, w jaki sposób mogłaby jeszcze być w czymkolwiek pomocna.

- Przecież zaprosiliśmy ją do naszego komitetu kierując się wyłącznie poczuciem przyzwoitości - powiedziała Sandra. - Starowina nie bardzo się już orientuje, o co chodzi. Ale dobrze będzie zawiadomić ją, co zrobimy z pieniędzmi. Hugh, mógłbyś po kolei zreferować sprawę?

Popijając smaczne piwo uwarzone przez Briana Pickeringa, członkowie Komitetu Ocalenia Domu Splatta wysłuchali, że w kasie pozostało cztery funty siedemdziesiąt pięć pensów, które, nie dyskutując, zdecydowano wpłacić na konto Towarzystwa Ochrony Angielskiego Pejzażu. Pełniący funkcję sekretarza profesor stwierdził z ubolewaniem, że protest grupy nie odniósł skutku. Jednakże, jego zdaniem, członkowie komitetu mogą sobie pogratulować, że zajęli zdecydowane stanowisko w obronie sprawy, w którą głęboko wierzą. Pokazaliśmy, mówił, że są w Cuxing ludzie, którzy nie mają zamiaru siedzieć z założonymi rękami, kiedy się narusza i niszczy dziedzictwo przeszłości. Jego słowom towarzyszył szmer poparcia. I nawet

jeśli w pewnym sensie straciliśmy czas, to pokazaliśmy pazur i jesteśmy gotowi do następnego ataku („Absolutnie” - stwierdziła poważnie Mary nie podnosząc głowy znad swojego patchworku). W tym przypadku może nie zmobilizowaliśmy się wystarczająco wcześniej, następnym razem musimy być gotowi wkroczyć do akcji, jakby to powiedzieć, zanim przeciwnik zdąży zrobić pierwszy ruch. Chciałby zaproponować, żeby komitet zamiast się rozwiązywać dokonał raczej przegrupowania albo przekształcił się w grupę obserwującą poczynania w Cuxing i okolicy, sporządzono by listę wszystkich obiektów starych i ewentualnie tych zagrożonych i czekano by w pogotowiu.

- Znakomity pomysł - wyszeptała Sandra - ale czy w ten sposób nie będziemy dublować działalności Towarzystwa? Nikt nie chciałby deptać im po piętach.

Zdaniem profesora takie niebezpieczeństwo w ogóle nie istnieje. Mówiąc szczerze nie chodziło mu, jak niektórzy mogliby się spodziewać, o sporadyczne wystąpienia jakiejś pozostającej w cieniu organizacji, lecz o działalność bardziej bojową. (W tym momencie Sandra z mądrą miną skinęła potakująco głową.) A może, po namyśle, zdecydujemy te cztery funty siedemdziesiąt pięć pensów zatrzymać (tu Sandra znów milcząco przytaknęła). I, ciągnął profesor, uważam, że powinniśmy rozwinąć działalność bardziej popularyzatorską. Podejrzewam, że za wieloma przejawami obojętności i wandalizmu kryje się ignorancja. Weźmy takiego Pyma, miejscowy chłopak, który do czegoś w życiu doszedł, z siłą przebiccia i inicjatywą. Takich ludzi, zamiast z nimi walczyć, potrzebujemy po naszej stronie. Trzeba ludziom otworzyć oczy, pokazać im świat, w którym żyją. Nauczyć szanować zabytki, a nie odwracać się od nich. Musimy organizować odczyty i wystawy, wyjść z historią do ludzi. Musimy nauczyć ich doceniać wagę przeszłości w ich życiu. („Dolać komuś?” - spytał Brian Pickering sotto voce, otwierając drzwiczki pieca chlebowego, za którymi kryły się kieliszki i butelki. „Jest whisky, jeśli ktoś woli.”) Musimy uczynić Cuxing bardziej au fait nowoczesnej wrażliwości.

- A propos współczesnej wrażliwości - wtrąciła Anna. - Zetknęłam się właśnie z opinią, że historia to przeżytek.

- A pani się z tym zgadza? - ostro zapytał Hugh Sidey.

- Oczywiście, że nie. Wydaje się jednak, że ludzie różnią się w poglądach na historię. Nie wiedzą, jakie zadania ma spełniać i jak ją należy traktować.

- Nie bardzo panią rozumiem.

- Otóż - wyjaśniła Anna - straciłam pracę w liceum, ponieważ moja metoda nauczania historii jest już najwyraźniej nie do przyjęcia. Ujęcie

chronologiczne podobno się nie sprawdza, dzieci nie są w stanie tego pojąć. Więc albo nie uczy się ich historii wcale, albo wyklada się im ją w łatwostrawnych porcjach: tematy przekrojowe, referaty, uczy się ich o rewolucjach, wojnach domowych itp.

- Rzeczywiście - wtrąciła Sandra - tradycyjne lekcje historii były śmiertelnie nudne, daty i w ogóle. Pewnie dlatego jestem taką okropną ignorantką. Gdyby uczone mnie tak jak teraz moje dzieci, mogłoby to mnie zainteresować - rozejrzała się po pokoju oczekując poparcia.

- Nie mówię o tabelach i datach - powiedziała Anna poirytowana - ani o zaletach czy wadach różnych koncepcji metodycznych. Chodzi mi o zwrócenie uwagi państwa na to, co się w rzeczywistości stało.

- Obawiam się, że odeszliśmy trochę od naszego tematu - powiedział Hugh Sidey. - Rozumiem jednak, że popiera pani nasze zamierzenia?

Anna rozejrzała się po pokoju, spojrzała na Briana Pickeringa, który stał obok kowadła i przygotowywał drinki, potem na jego żonę siedzącą po turecku na poduszce zajęta szyciem, potem na profesora (on chyba uczył angielskiego), potem na Sandrę. Ponownie zwróciła uwagę na zbiór fotografii z epoki wiktoriańskiej, bliscy obcych nam ludzi tworzący gustowną dekorację salonu, na wystawę narzędzi rolniczych i kolekcję porcelanowych filiżanek z napisem „Pamiętka z...” wykaligrafowanym pochyłym dziewiętnastowiecznym pismem.

- Co macie zamiar zrobić z tymi ocalonymi budynkami? - spytała.

- To, ma się rozumieć, zależy - odpowiedział profesor. - Większość z nich przypuszczalnie da się jakoś zaadaptować. Zobaczymy. A co pani proponuje?

Teraz wszyscy patrzyli na Annę. Fatalnie, pomyślała. Zakłóciłam harmonię ich miłego, spokojnego zebrania. Wcale nie o to mi chodziło.

- Nie mam na ten temat wyraźnie sprecyzowanego zdania - zaczęła na wpół przeprasającym tonem. - Sama czuję się w tym wszystkim zagubiona. Po prostu drażni mnie bezkrytyczne czepianie się reliktyw przeszłości, czy to będą domy, czy... czy co innego. Czasami wydaje mi się, że nie bardzo wiemy, dlaczego to robimy, ani nie mamy też właściwie pewności, co chcemy ocalić. Jednocześnie sądzę, że właśnie uświadomienie sobie tego jest bardzo ważne, chodzi o głębokie zrozumienie istoty zagadnienia, nie tylko o mętne pojęcie albo przerabianie starych sprzętów, by służyły naszym celom. - Boże, pomyślała, nie powinnam była o tym wspominać. Z poczuciem winy spojrzała na Briana Pickeringa, ale on wydawał się bardziej zaciekawiony niż rozgniewany.

- Muszę przyznać, Anno, że jesteś dziś śmiertelnie poważna - stwierdziła Sandra.

- Tak, jestem. Przykro mi i mam nadzieję, że nie wezmą mi państwo za złe, jeśli wycofam się z komitetu. Prawdę mówiąc i tak pewnie się stąd wyprowadzimy, więc nie wiem, czy spełniam odpowiednie warunki. - Wstała i uśmiechnęła się pojednawczo. - Jeśli państwo pozwolą, pójdę już, obiecałam Donowi, że nie wrócę późno. Nie kłopotz się, Sandro, przejdę się, to przecież blisko, a świeże powietrze dobrze mi zrobi.

Nie było jeszcze całkiem ciemno, ścieżki majaczyły w niezbyt mocnym świetle księżycy zbliżającego się do pełni (minęło całych pięć dni, od chwili kiedy patrzyłam nań przez okno w Starbridge...). Anna szła szybko omijając kałuże, raz czy dwa uskoczyła przed przejeżdżającym samochodem przywierając do żywopłotu. Kiedy dochodziła już do Cuxing, zobaczyła z daleka nieładny, ale niezaprzeczalnie stary fronton dziewiętnastowiecznego magazynu, pozbawione szyb okna zabito deskami. Oto obiekt bezsprzecznie zagrożony. Niech zaczną od niego, pomyślała, nadaje się jako numer jeden na ich liście: magazyn, circa 1840, cegła, trzypiętrowy, dachówka, w zachodnim skrzydle dwudziestowieczna dobudówka z betonu i blachy falistej. Dalej mamy kaplicę baptystów, zamkniętą na cztery spusty i od dawna nie używaną, pewnie nie ma już w naszym mieście baptystów. Można ją pięknie przerobić na obiekt odpowiadający wymogom miejsca i czasu. Skręcając w główną ulicę minęła wiktoriańską szkołę z rozświetlonymi oknami, jej nie trzeba przerabiać, w złotym okresie handlu nieruchomościami wykupiono ją za jakąś nieprawdopodobną sumę. Zamieszkał tu pewien architekt z licznym potomstwem, przez odsłonięte okna widać było niebieskawe światło płynące z ekranu telewizora, a przed nim ciemne sylwetki zadowolonych z życia dzieci. Może kiedyś chodziły do tej szkoły mniej szczęśliwe dzieci z domu Splatta (a może były jeszcze za małe?). Przyznaję, przeszłość jest przykra, nic dziwnego, że wolimy trwać w niewiedzy. I atakuje zniecka, w najmniej spodziewanych chwilach, wiele trzeba wysiłku, żeby się do niej dopasować, przetrwać. Albo zawisa kamieniem młyńskim u szyi i nie można uwolnić się od wspomnień, nawet jeśli się chce. Nawet jeśli wiesz, że tego chcesz. A Dawid? Czy on chce? Czy kiedykolwiek pragnął? Teraz przez pewien czas nie pojedę do Lichfield, zdecydowała, chyba że coś się stanie z ojcem. Zostanę tutaj. Przynajmniej spróbuję zostać.

Weszła do domu. Don był w kuchni zajęty bojlerem. Odwrócił się i powiedział:

- Anno, dzwonił z domu opieki, stan nie jest zbyt dobry, prosili żebyś zadzwoniła.

Rzeka wezbrała, wystąpiła z brzegów. Woda grzmiała w uszach Jamesa Stanwaya, kiedy zarzucał wędkę, jak jakiś tropikalny huragan, a nie spokojny angielski strumień, w którym łowi się pstragi. Prąd wody zniósł linkę daleko, tak że stracił ją z oczu, rozwijała się i znikwała coraz dalej i dalej, i na pewno zaraz się skończy, kołowrotek musi już być pusty... Rzuciwszy kołowrotek i wędkę wspinał się teraz na brzeg uciekając od tego szumu i od wody sięgającej już kolan, gdyby nie miał się na bacności, rzeka mogłaby go ze sobą porwać, zwalić z nóg, wessać w wir i nieść jak tanto polano. Ale on oparł się, wydostał na brzeg, gdzie z książką na kolanach siedziała jego żona. Zaskoczyło go to, ponieważ nigdy z nim tu nie przychodziła, nigdy nie zostawiał jej samej na kocu na długie godziny wyczekiwania, jak inni mężowie. Usiadł więc obok, wyjął fajkę i zaczął mówić próbując wszystko wytłumaczyć. „Słuchaj - zaczął - nie oczekuję twojego przebaczenia ani może nawet zrozumienia. Chcę po prostu te sprawy uporządkować na tyle, na ile ja mam prawo wprowadzić w nie trochę ładu, i dlatego chcę ci wyjaśnić, jak to się stało. Nie chodzi o to, że ciebie nie kocham. Ani o to, że ją kocham bardziej. Spanie z nią sprawiało mi chyba więcej przyjemności, ale to nie wszystko, absolutnie nie wszystko, to nawet może nie jest najważniejsze. Rozmawiało mi się z nią łatwiej niż kiedykolwiek z tobą, ale nie wydaje mi się, bym zawierzył jej coś, czego nie powiedziałem czy nie powiedziałbym tobie, gdybyś zapytała. To nie twoja wina - ciągnął - absolutnie nie. Rzecz nie w tym, że do mnie nie pasujesz, ani nie w tym, że byłem z tobą nieszczęśliwy. Widzisz - mówił - zawsze prowadziłem raczej zwyczajne życie, pracę miałem ciekawą, nawet pobudzającą do działania, ale czasami czułem, że nie jestem właściwie wykorzystany. Och, nie uważam się za jakiegoś geniusza, któremu podcięto skrzydła, znam granice swoich możliwości. Na ogół byłem całkiem zadowolony z tego stanu rzeczy. Ale pozwól mi spróbować wytłumaczyć.

Dawno temu, kiedy byłem chłopcem, wyratowałem z rzeki psa. Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, bo wtedy, a i teraz też, wydawało mi się to głupotą. Rzeka była głęboka i rwąca, a ja nie za dobrze pływałem, ryzyko utonięcia było znaczne, a moje życie znaczyło więcej niż życie psa. Nie byłem też szczególnie miłośnikiem zwierząt. Pociągało mnie ryzyko, pomyślałem, że jeśli tego nie zrobię, coś mnie ominie. Niektórzy nazwaliby to odwagą, nie zgodziłbym się. Mówię ci to - tłumaczył - ponieważ ten incydent świadczy o pewnym aspekcie mojej osobowości, którego prawdopodobnie sama nie odkryłaś. Tobie wydawałem się chyba zawsze

ostrożnym, lubiącym umiar mężczyznę. Ogólnie rzecz biorąc, taki właściwie jestem. Ale raz czy dwa razy w życiu tamta cecha wzięła górę, popchnęła mnie, żebym posunął się do ostateczności, sięgnął po to, co było do zdobycia. Pies nie jest może najlepszą analogią do Betty, w jej przypadku nie chodziło ani o ryzyko, ani o ocalenie. Ten przykład wystarczy, by zilustrować ci prawdę o mnie, i w pewnym sensie ani Betty, ani pies nie są ważni.”

Odwrócił się i spojrzał na żonę siedzącą z książką nad brzegiem rzeki. Nie odzywała się. „Tak bardzo żałuję - wyznał - że zataiłem przed tobą część siebie, to jest może najbardziej niska ze zdrad.”

RS

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W pewnej chwili wydało się Annie, że się odezwał. Pochyliła się i przemówiła do niego, lecz chrapliwe dźwięki, jeśli w ogóle chciał coś powiedzieć, ustały. Oddychał głośno przez otwarte usta. Dochodziła jedenasta, wstała o szóstej i jechała pustymi jeszcze wczesnym rankiem drogami. Teraz siedziała przy łóżku ojca i trzymając go za rękę obserwowała gawrony szybujące nad ogródkami. Na drzewach wykwiły już jesienne barwy.

Zasnęła siedząc wyprostowana w wiklinowym fotelu i śniła, że idą z ojcem trzymając się za ręce po rozległej plaży i widać tylko paseczek morza. Ma dziesięć lat. Doszli do falochronu i Anna chce z niego zeskoczyć, ale się boi. Przeszując z nogi na nogę stoi na kamienistym nasypie, a ojciec woła do niej z dołu: „No, Aniu, zdecyduj się, skaczesz czy nie?” „Złapiesz mnie? - pyta. - Obiecuj, że mnie złapiesz.” Na co on swoim rozsądnym, rzeczowym głosem odpowiada, że nie może tego obiecać, bo jak? Jeśli chce skakać, niech skacze, wolna wola, albo to robi, albo nie, jej sprawa. Anna dygocze na krawędzi falochronu, z czystego, przesyconego solą nieba chytrymi oczkami patrzają na nią mewy, a w oddali fale zderzając się z błyszczącym piaskiem zwijają się w białe grzywy.

Obudziwszy się nie wiedziała, czy to był sen, czy wspomnienie. Drzwi otworzyły się i do pokoju weszli siostra przełożona z lekarzem. Podczas badania Anna stała przy oknie. Lekarz stwierdził, że puls jest teraz wyraźniejszy, lecz oddech bardzo słaby.

- Może pojedzie pani do domu odpocząć trochę i wróci później - zaproponowała przełożona. - Mamy numer telefonu do Starbridge, prawda?

- Chyba tak zrobię - odpowiedziała Anna.

W domu zastała kartkę od Dawida, bez daty. „Zadzwoń - prosił - do szkoły, gdyby mnie nie było, zostaw wiadomość.”

Był.

- To ty, Anno... - zdziwił się - przyjechałaś... Myślałem... nie uprzedziłaś. Sądziłem, że będziesz dopiero w przyszłym tygodniu.

Zacząła mu wyjaśniać. W tle słychać było otwieranie i zamykanie drzwi, jakieś głosy. Dawid cicho powiedział do kogoś na boku, że już zaraz kończy. A potem znowu do słuchawki:

- Wpadnę wieczorem, koło ósmej. Będziesz wolna?

- Chyba tak - powiedziała. - Gdybym nie mogła czekać, zostawię kartkę.

Usiadła w ogródku w Starbridge, tuż pod oknem gabinetu, tak żeby usłyszeć dzwonek telefonu. Zamierzała poświęcić mniej więcej godzinę na

przeoglądanie papierów ojca, lecz pudełka stały nietknięte. Później będzie na to wystarczająco dużo czasu, pomyślała. W końcu może zrobię to, co sugerował Graham - wyrzucę wszystko precz.

Wybijała trawa, z której sypały się nasiona, była koloru wyschniętego siana. Róże kwitły już wielokrotnie i wypuściły w górę olbrzymie, soczyste zielone pędy. W gąszczu chwastów i trawy nie można było dostrzec grządek, trudno będzie teraz to wszystko doprowadzić do ładu. Rosnący z jednej strony kwietnika powój do połowy wypełnił betonowe cembrowanie zsypanego na węgiel, opasał pojemnik na śmieci i wpełzał już na podwórze za domem. Jak to wszystko rośnie w ciągu jednego lata, myślała Anna. Taka masa trawy, liści, kwiatów i nasion, wszystko to gwałtownie wystrzela w górę, czy chcemy tego, czy nie. Przez krótką chwilę widziała postać matki wśród dali na tamtej grządce w rogu, wbijającą paliki, podwiązującą krzewy, dalej wciąż kwitły, wyłaniały się z morza chwastów. Ogródu nie da się ujarzmić, jego anarchiczna natura zwycięża natychmiast, jak tylko się człowiek odwróci. To ludzie wymyślają ogrody, myślała przypominając sobie iluminowane średniowieczne modlitewniki, sztywne dworskie ogrody elżbietańskie, ogrody zielarskie, ogrody Wschodu. Ogród to wytwór fantazji - układ roślin podporządkowany jest naszym wyobrażeniom o tym, jakie powinny być, a nie temu, jakie w rzeczywistości są. A czas przywraca oczywiście naturalny porządek. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś sama założy ogród. Nie mam do tego serca, stwierdziła w myśli, już nie.

Później wróciła do Lichfield. Przy łóżku ojca zastała pielęgniarkę.

- Miał niewielki wylew, proszę pani - poinformowała. - Lekarz uważa, że teraz to już kwestia godzin.

Twarz ojca pociemniała, zdawało się, że prawie nie oddycha.

- Pewnie nie ma żadnej szansy, żeby... żeby cokolwiek zrozumiał? - spytała Anna.

- Och, nie, proszę pani - nie w obecnym stanie. Nawet pewnie nie wie, że pani przysłała.

Anna posiedziała trochę w wiklinowym fotelu, odczuwała dziwny spokój, znalazła się jak gdyby poza czasem i cierpieniem. Uwierzyła teraz zapewnieniom pielęgniarki, że do ojca nic już nie dociera. Kiedy usłyszała dzwonienie naczyń na wózkach, którymi rozwożono kolację, i pobrząkiwanie basenów zwiastujące wieczorny rytuał, wróciła do Starbridge.

Szli w dół, w stronę rzeki.

- Wstawiłem wędkę z powrotem do składziku - powiedział Dawid.

- Koniec z łowieniem?

- W tym roku tak.

Jak już kiedyś przedtem, stojąc obok Dawida, Anna zobaczyła jego sylwetkę odbitą w wodzie na tle drzew zawieszonych koronami w dół, przypominających dziewiętnastowieczne drzewa na pociemniałych płótnach. Wizerunek Dawida w obramowaniu z trawy i trzciny wiązał się w myśli z innym jego rzeźnym portretem, zacierającym się już w pamięci. Wyraz twarzy trudno było określić, rysy załamywały się pod wpływem nieznacznego falowania na powierzchni wody. Właśnie odwrócił się do niej z uśmiechem, lecz kiedy skierowała wzrok w dół, ku wodnemu odbiciu, uśmiech uległ zniekształceniu. Tam z głębi rzeki patrzył na nią odpychająco, jakiś obcy, którego nie mogła znać.

- Przepraszam, mówiłeś coś?

- Pytałem, czy rozglądałaś się już za nową pracą?

- Jeszcze nie. Nie miałam do tego głowy.

- Dzwonili z domu opieki?

- Jak dotąd nie.

Szli brzegiem, minęli miejsce, gdzie kiedyś przysiedli popijając herbatę z termosu Dawida i widzieli ptaka nurka.

- Myślę, że nie będę dalej uczyć. Przynajmniej nie historii - powiedziała.

- Chyba nie mówisz poważnie - zdziwił się. - Nie możesz się teraz wycofywać. Historia ci się już nie podoba?

- Nie. Jeśli coś mi się nie podoba, to ja sama. Zatrzymała się zrywając listki z gałązek wierzby (żółto nakrapiane, wrześniowe liście) i jeden po drugim puszczała je na wodę.

- Już nie wiem - wyznała - czy mam jeszcze jakikolwiek sprecyzowany pogląd na temat przeszłości. Co ona dla mnie samej znaczy. Jednego natomiast jestem pewna - nie czuję się wystarczająco przygotowana, żeby uczyć dzieci. Nie wiem, czy przeszłość jest człowiekowi ciężarem, czy podporą w życiu. Czasami wydaje mi się, że tylko budynki skutecznie radzą sobie z przeszłością. Na przykład katedry. Ludzie tacy jak ja czy ty ustawicznie noszą ją w sobie, w różnej formie.

- Sądziłem, że rozmawiamy o przeszłości, a nie o nas.

- Wolałabym mówić o ludziach. Może być o nas.

- Posłuchaj, Anno - powiedział Dawid. - Uważam, że to nie jest odpowiednia chwila...

- Bo mój ojciec umiera? Mój ojciec umiera od momentu, kiedy się poznaliśmy.

- Tak, chyba masz rację.

- A jak, brutalnie mówiąc, umrze - dodała - bo można sobie pozwolić na brutalność, prawie wszystko wokół nas takie jest - więc jak umrze, nie będziemy się już więcej widywać, prawda, Dawidzie?

- A myślisz, że jakieś inne rozwiązanie kiedykolwiek było możliwe? - odparł po chwili.

- Nie mam pojęcia.

- Mówiłem ci, że jestem tchórzem.

- Nie jesteś tchórzem - powiedziała Anna - nie większym niż inni.

Wracali przez łąki w kierunku domu.

- Tydzień temu widziałem tutaj chłopaka, który strzelał z wiatrówki do czajek. To chyba zabronione.

- Chyba tak.

- Powiedziałem mu, żeby tego nie robił.

- Dobrze zrobiłeś.

- Słuchaj - powiedział, kiedy dotarli do ogrodzenia. - Zobaczą cię jeszcze?... Kiedy?

- To zależy...

- Dasz mi znać o ojcu?

- Prawdopodobnie.

- Anno - powiedział - naprawdę nie chcę teraz wszystkiego roztrząsać, nic dobrego dla nikogo z tego nie wyniknie. Mary się w jakiś sposób dowiedziała.

- Spodziewałam się czegoś podobnego. Nie mówmy już o tym, Dawidzie - naprawdę nie chcę tego słuchać. - Dotknęła jego ramienia i od razu cofnęła rękę. - Zawiadomię cię, co z ojcem.

Niedługo potem, kiedy podgrzewała sobie zupę z puszki, zadzwoniła siostra przełożona z wiadomością, że ojciec zmarł spokojnie kilka minut przedtem, nie odzyskawszy przytomności.

Posiedziała chwilę nad stygnącą zupą, a potem podeszła do telefonu, żeby wykrecić numer Grahama.

Podróż z powrotem do Cuxing przebiegała ustalonymi etapami, z Staffordshire przez Warwickshire do Oxfordshire. Żadnych niespodzianek, żadnych nieoczekiwanych miasteczek wyłaniających się z prawa czy z lewa, żadnych przesuających się wzgórz ani wędrujących rzek. Przynajmniej krajobraz jest niezmienny. Tam, spostrzegła, są wieże chłodnicze, a tam znów światła, przy których, wciśnięta między ciężarówkami, nuciłam melodie z Wesela Figara, tutaj miejsce, gdzie ni stąd, ni zowąd, w połowie czerwca, tak jaskrawo kwitły maki. „Musisz znać tę trasę jak własną kieszeń”, zauważył kiedyś Don. Och tak, myślała, istotnie znam ją. Teraz już się od

niej nie uwolnię, tak jak od wielu innych przeżyć. Niesie ze sobą różne skojarzenia, nic na to nie poradzę, tak samo Lichfield na wieki kojarzyć się będzie z Samuelem Johnsonem. Miejsca nie istnieją w psychicznej próżni, jak gotowi jesteśmy sądzić.

Wycieńczona nadmiarem wrażeń, uważna, lecz nic nie widząca, skrzyła z szosy A 446 w A 41, a następnie w A 423.

„Wpadnij do Londynu - namawiał Graham. - Nie siedź w domu taka przygnębiona. Annie, rozumiem, że cię to trochę rąbnęło, ale ojciec nie chciałby tego, wiesz dobrze. «Nie trzeba robić tyle zamieszania», pamiętasz? Tak by powiedział. Słuchaj, przyjedź i spotkamy się w studio, a potem wyjdziemy gdzieś na lunch, rozerwać się trochę. Jemu spodobałby się taki pomysł. Co ty na to?”

Przez szklane drzwi weszła do przestronnego hallu, gdzie ludzie, ubrani w tym samym co Graham stylu, siedzieli w rozstawionych tu i tam skórzanych fotelach albo znikali za wahadłowymi drzwiami, nad którymi zapalały się światełka i przechodzili do niewidocznych rejonów, gdzie najprawdopodobniej pracowano.

- Graham Stanway - powtórzyła dziewczyna za biurkiem - jest pani umówiona?

- Pracuje dziś w studio, proszę pani...

- Aha, rozumiem. Zawołam portiera, żeby panią tam zaprowadził. To w Jedyńce, Londyńska Tower.

- Słucham? - spytała Anna zdezorientowana.

- Londyńska Tower - powtórzyła dziewczyna - to tytuł serialu. Jim, zaprowadź, proszę, panią do Grahama Stanwaya do Jedyńki.

Co za niesamowite miejsce, myślała Anna, idąc za portierem przez korytarze i schody, mijając oślepiające reflektory i przeskakując przez kable. To dziwne pracować tutaj, przychodzić i spędzać dzień na wymyślaniu świata, który nie istnieje. Za zamkniętymi drzwiami stuknęła maszyna do pisania przybliżając na moment ten świat do rzeczywistości dającej się wyrazić literami i cyframi. - Tędy, laluniu - powiedział portier i zaraz znaleźli się w jakimś pomieszczeniu podobnym do lochów, gdzie w silnym świetle reflektorów widać było malowane na tekturze dekoracje planu imitujące ściany z kamienia, zakratowane okno zaznaczone kilkoma pociągnięciami pędzla, sprzęty udające historyczne meble oraz mężczyznę w dżinsach i podkoszulce manipulującego przy świeczniku. Reszta pomieszczenia ginęła w mroku, z niewidocznego sufitu spływały przewody, ludzie uwijali się wśród kamer i kabli. - Nie ma go na planie - powiedział ktoś, lepiej zaprowadź tę panią na górę do reżyserki. - I nagle u stóp

kręconych schodów niespodziewanie wyrósł Graham wołając: - Cześć, Annie! Przepraszam, nie mogłem zejść do recepcji, więc tu ciebie wypatruję. - I wtedy miała ochotę się rozplakać.

- Wejdz na górę i przypatrz się - zaprosił - mniej więcej za pół godziny zrobimy przerwę i wtedy będziemy mogli wyjść na lunch. Jak się masz, Annie? W porządku?

- Wszystko dobrze - odpowiedziała - a co u ciebie, jak twój żołądek?

- Cholerna sprawa, daje mi się we znaki - odpowiedział - ale nie mówmy o tym. Och, nie martw się, jestem pod dobrą opieką.

Znaleźli się w chłodnym, ciemnym, przypominającym akwarium dla złotych rybek pokoju z rzędami monitorów i ludzi siedzących w obrotowych fotelach, wpatrzonych w pokrętła i przełączniki. Z prawej i lewej strony za szybą widać było innych jeszcze ludzi, wszyscy w dżinsach i samych tylko koszulach. W ciemności krzyżowały się głosy.

- Tutaj - wskazał Graham - usiądź sobie tutaj, uwaga stopień, to jest monitor kontrolny, żebyś wiedziała, ten pośrodku. Pokazuje obraz, który idzie na wizję, reszta to ujęcia z różnych kamer. Z tyłu usłyszysz, jak rozmawiamy z planem, przynajmniej Maggie wciąż coś gada - to ona reżyseruje. Później cię przedstawię. No, a teraz muszę iść. OK, kocie? Niedługo kończymy. Mówiono mi, że to całkiem zabawne, jeżeli nie musi się tego oglądać codziennie.

- Co to jest? - spytała - Co to za film?

- Taki popularny serial historyczny - wyjaśnił Graham. - Dzieje londyńskiej Tower w ośmiu odcinkach. Dotarliśmy już do szesnastego wieku, ten tam to sir Walter Raleigh, zbliża się teraz do drugiej kamery, w rzeczywistości wychodzi to całkiem przyzwoicie. Mamy już w puszcze zupełnie dobry materiał. W zeszłym tygodniu nakręciliśmy znakomite zdjęcia w Epping Forest.

- To akcja nie toczy się tylko w Tower? - zapytała Anna.

- Boże, nie! Robimy wypadki w różne miejsca. Tower służy za główny temat, wiesz, trzeba mieć jakiś konkretny, jakieś miejsce na przykład i pokazać, jak akcja rozgrywa się wokół niego, to wypróbowany sposób, służy do pokazania prawie wszystkiego. Taka recepta na dobry sprawdzony film kostiumowy, na którym można zarobić, bo wszyscy to lubią. Annie, zobaczmy się za jakieś pół godziny, zgoda?

- Dobrze - odpowiedziała Anna i rzeczywiście po jeździe pociągiem, a potem metrem ten obity skórą miękki fotel okazał się bardzo wygodny. Ciemność działała kojąco, można było siedzieć niczego nie odczuwając, po prostu śledzić ten świat fantazji ukazany na licznych ekranach najpierw pod

jednym, a zaraz potem pod innym kątem. Jak Rashomon, pomyślała, to samo zdarzenie opowiedziane z różnych punktów widzenia, wielowymiarowo, w bardzo symboliczny sposób. Albo jak przeszłość, jeśliby głębiej rozpatrywać to zagadnienie, ale z tym dam sobie jednak spokój. Chcę posiedzieć, doszła do wniosku, i absolutnie o niczym nie myśleć. Przez pół godziny albo nawet dłużej, cały dzień i jutro też mogą sobie na ten luksus pozwolić.

Ekran pierwszego monitora wypełniają teraz czyjeś obciążone dzinsowym materiałem pośladki. Monitor drugi pokazuje dwóch potężnych mężczyzn przewożących na wózku kawałek tekturowych schodów. Na innych ekranach widać brzeg karcianego stolika, dalej fragment kotary z mikrofonem przyczajonym w prawym górnym rogu jak wścibski owad, sir Waltera Raleigha pogrążonego w rozmowie z trzymającym notatnik mężczyzną, który ma na uszach słuchawki. Z foteli za nią dochodzi nieustanny gwar. Głos Grahama pyta: ujęcie czternaste przez jeden, tak? Coś mi się pomieszało. Inny głos prosi: mogę ich na sekundę zobaczyć w kadrze, dobrze? Nie, te otwarte drzwi są niepotrzebne. OK, już w porządku. Możemy kręcić? - pyta jeszcze ktoś inny. - Tak - odpowiada jakaś kobieta - kręcimy, chłopcy. Ken, uważaj na wózek mikrofonowy. No to świetnie. Więc teraz ktoś odlicza: zaczynamy - dwadzieścia sekund, piętnaście, dziesięć, dziewięć, osiem, siedem... - Na dużym, centralnie umieszczonym monitorze widać sir Waltera Raleigha, który siedzi przy stole i coś pisze, a po chwili zbliżenie tego, co pisze albo właśnie napisał - oryginalny, pełen zawijasów, dokument elżbietański, teraz przerzut na obraz z pierwszej kamery - otwierają się drzwi i wchodzi jakiś więzień. Na tle rozmów dochodzących zza pleców Anny głosy aktorów brzmią głośno i czysto: ujęcie dwudzieste ósme przez trzy, dwudzieste dziewiąte przez jeden, trzydzieste przez dwa, nie podoba mi się ten obrót, nawet bardzo. On jest za daleko, trzydziści jeden przez jeden, mamy kłopoty z wózkiem mikrofonowym, coś poważnego, dobrze, to trzeba będzie powtórzyć, cięcie. Środkowy ekran gaśnie, a na pozostałych znowu widać krzątanicę w studiu - mężczyzna z notatnikiem udziela wskazówek przebranemu w kostium aktorowi, tył czyjejś głowy, martwa natura przedstawiająca marynarkę przewieszoną przez oparcie krzesła.

- Uwaga do Lady Agnes - odzywa się kobiecy głos z tylnego rzędu - wchodząc zrób dodatkowe pół kroku, bo inaczej nie mieścisz się w kadrze. I chcę mieć tam zbliżenie, żeby pokazać twoją reakcję, zrozumiałaś, Liz? - Głos Grahama stwierdza, że były jakieś zakłócenia. - Prawda? Nieznaczące, ale jednak. Inne głosy pytają siebie nawzajem, czy istotnie. Czy ktoś coś

zauważył? I tak głosy krzyżują się w ciemności, jak gdyby, myśli Anna, umarli zaczęli coś mamrotać czy wydawać nieartykułowane dźwięki na ulicy. Tylko że to też jest przywidzenie, żalosne, a może nie, umarli nie mamrocą, nie wydają żadnych dźwięków, nie żyją i już.

Na ekranie środkowego monitora widać teraz ojca siedzącego na zboczu jakiejś góry w Alpach, wiatr unosi dym z jego fajki. Obok, dwukrotnie mniejszy obraz z trzeciej kamery pokazuje matkę, ale trudno dostrzec, czym jest zajęta, wszystko jest jakieś niewyraźne. Może, o to im chodzi, kiedy mówią, że mają zakłócenia. Kamera pierwsza przekazuje wizerunek Betty Mansell, takiej jak na zdjęciu w domu córki w Gloucester, kobiety o wyrazistej twarzy, patrzącej w zamyśleniu z ekranu. Są też Anna i Graham na rowerach, odjeżdżający w dal ulicą, nastolatki o pulchnych udach. Na prawo od nich pojawia się Shirley Barron, ale ona nie jest młoda, lecz w średnim wieku i z markotną miną ściera ze stołu ślady po filiżankach. Po obu stronach znajduje się jeszcze kilka ciemnych ekranów. Do czego służą, zastanawia się Anna i przypomina sobie wyjaśnienia Grahama, że dziś nie wszystkie kamery pracują.

Stało się coś, co umknęło jej uwagi. Znakomicie - mówi głos za nią - kupuję pomysł. Dziękuję studio, to było dobre ujęcie. Przechodzimy do sceny w sypialni, tak? Przygotujcie się do nagrania. Na monitorach widać dzikie kołowanie i migotanie, świat wiruje, aż w końcu wszystko ponownie trafia na swoje miejsce i oto widać już łożo z baldachimem, wokół którego uwija się gromada ludzi na drabinach, a ubrana w nocną bieliznę dziewczyna przysiadła na brzegu, podczas gdy kamery próbują sfotografować ją pod rozmaitymi kątami.

Dziewczyn w nocnych koszulach jest kilka, są i bez koszul, są też starsze kobiety, widać także przygotowującą o klaustrofobię małą sypialnię na poddaszu, gdzie Anna kochała się i kłóciła z Patrykiem, pokój przy Leckford Road z nagim Donem pochylającym się, żeby zdjąć buty i skarpetki, i Anna pamięta, że czuła wtedy nie pożądanie, lecz rozdrażnienie. On sam nie wiedział, a Anna nie potrafiła mu powiedzieć, że rozbierać należy się w odwrotnej kolejności. Jest też sypialnia w Langdale Villas w Londynie, a obok ich pokój w Cuxing, Dona w nim nie widać, a może jego obraz zniknął w wyniku kłopotów z wózkiem mikrofonowym albo innych zakłóceń. A teraz, chociaż Anna się bardzo przed tym broni, widać Dawida leżącego na łóżku w Starbridge, odwracającego się ku niej. Pojawia się na wszystkich ekranach po kolei, jego twarz powtarza się w dwóch rzędach, jeden nad drugim, czarno-biała i w kolorze. Anna siedzi, lzy płyną jej z

oczu. Nagle Graham pochyła się nad nią i mówi: - Dobra, tak to wygląda, teraz mamy przerwę, nie nudziłaś się chyba?

Zamówił wino.

- Graham... chyba nie powinienes pić.

- Jeden kieliszek mi nie zaszkodzi. Zresztą nie mogę pozwolić, żebyś zalała się w pojedynkę. To nie po dżentelmeńsku.

- Nie mam zamiaru się zalewać.

- Dlaczegożby nie? Siedziałaś tam tonąc we łzach, więc równie dobrze możesz pójść na całość. Słuchaj - powiedział. Wyciągnął rękę i pogłaskał jej dłoń. - Słuchaj, głowa do góry, nie róbmy przedstawienia, jemu by na tym nie zależało, prawda?

- Wiesz co? - powiedziała Anna pół godziny później - tak naprawdę to jesteś całkiem sympatyczny. Nigdy tak o tobie nie myślałam, ale jesteś.

- Dziękuję. Miło wiedzieć, że w końcu zostałem doceniony. - Uśmiechnął się do niej znad resztek jedzenia. - A może chodzi ci o to, że z wiekiem zmieniłem się na lepsze, co?

- Nie wierzę, że ludzie się zmieniają. Albo przynajmniej... och, sama już nie wiem. Powiedz mi... powiedz mi, jaka właściwie była mama.

- Mama? Rany boskie, Annie. Znałaś ją równie dobrze jak ja.

- Zastanawiam się - odpowiedziała - czy w ogóle ją zauważałam. Takie wyznanie brzmi trochę zaskakująco, prawda?

- Nie całkiem. - Graham milczał przez chwilę, - Wiem, co masz na myśli. Zawsze byłaś bardzo zajęta, już jako dziecko pochłonięta swoimi sprawami, a kiedy skończyłaś osiemnaście lat, wyfrunęłaś z domu na studia, do pracy, potem małżeństwo itd...

- Och - obruszyła się - jesteś niesprawiedliwy. Zawsze...

- Zawsze wpadałaś zobaczyć, czy wszystko u nich w porządku. Oczywiście, że tak. Nie krytykuję cię, traktowałaś ich o wiele lepiej niż ja.

- Zawsze byłeś ulubieńcem mamy.

- Pewnie uważała, że o mnie musi się bardziej martwić. Ciebie się odrobinę bała - byłaś ostra jak brzytwa.

- Naprawdę? Nie zdawałam sobie z tego sprawy.

- Ludzie nigdy nie widzą, jacy naprawdę są - odparł Graham - tak mi przynajmniej mówiono. Czekaj, wypijemy jeszcze pół butelki.

- O czym oni z ojcem rozmawiali? Nie mam zupełnie pojęcia - powiedziała Anna - nie mogę sobie ich przypomnieć rozmawiających.

- Może o domu? Wakacjach? O tobie i o mnie? Czy nie o takich sprawach mężowie i żony rozmawiają ze sobą?

- Nie.

- W tej dziedzinie masz więcej doświadczenia ode mnie. Moje wyobrażenia są trochę stereotypowe, w głównej mierze biorą się ze scenariuszy i pewnych własnych obserwacji, które, nie muszą dodawać, każdy interpretuje opacznie. Zatem o takich sprawach się nie rozmawia?

- Może się mówi, ale to nie jest rozmowa.

- Aha - Graham napelnił oba kieliszki, wyjął z paczki ostatniego papierosa i patrzył przez stół na siostrę.

- Mama... - odpowiedziała Anna. - Zaczynaj.

- Powiem ci jedno. Myślę, że była szczęśliwa, nie mniej niż większość ludzi.

- Szczęśliwa? Może. Pamiętam ją w dobrym lub złym nastroju, ale nie aż takim, by sądzić, że były to bardzo głębokie uczucia.

- Może nie. Mama przyjmowała wszystko po prostu, wydarzenia, ludzi, takimi, jacy byli. Może dlatego wydaje ci się, że jej nie znałaś. Miała zwyczaj jak gdyby wtapienia się w tło.

- Tak, to prawda. Masz rację. Była zawsze obecna, lecz nie ona nadawała ton. Poddawała się, przygnębiona, jeśli dzień był brzydki, radosna w miłym otoczeniu.

- Stanowiła biegun ujemny - dorzucił Graham. - Ojciec zaś był biegunem dodatnim.

- A on był szczęśliwy, jak ci się wydaje?

- Tego nie wiem. W tej kwestii nie umiem się wypowiedzieć. Wydaje mi się, że z kolei ja jego nie zauważałam. A ty jak myślisz?

- Cieszę się, że miał kogoś takiego jak Betty Mansell.

- Cieszysz się? - Graham był zdumiony. - Sądziłem, że byłaś raczej przygnębiona tą całą historią.

- Z początku tak. Ale w końcu zaczęłam na to patrzeć pod trochę innym kątem.

- Dlaczego?

- Ach, nie wiem. Wiele się na to złożyło. Nie mówiłam ci, że widziałam się z jej córką, z Shirley Barron, prawda?

- Jaka ona jest?

- Całkiem sympatyczna. Chociaż sprawia trochę deprymujące wrażenie. Chyba chciałyby być na pogrzebie albo przynajmniej zostać powiadomiona.

- O Boże! - wyrwało się Grahamowi. - Chciałyby? - Siedział bawiąc się kieliszkiem, odrobinę niezadowolony.

- Odeszliśmy od tematu.

- Istotnie. Powiem ci coś jeszcze - matka nigdy nie dowiedziała się o tej ojca przyjaciółce. Poza tym nie dopuściłaby do siebie takiej myśli.

- Nie dopuściła?
- Nawet przez moment nie potrafiłaby w to uwierzyć. Takie rzeczy przerastały jej wyobrażenie o świecie, przytrafiały się innym ludziom albo jedynie w książkach. A obraz ojca, jaki sobie ukształtowała, tkwił głęboko w tej jej wizji świata. Więc niepotrzebnie się martwił, jeśli w ogóle się tym przejmował. I jego poczucie winy, jeśli czuł się winny, co przy jego charakterze jest wysoce prawdopodobne, poszło na marne.
- To uczucia mogą iść na marne?
- Chryste, jesteś tak samo egzaltowana, jak kiedy miałaś siedemnaście lat. Nie mogę jeszcze raz przez to wszystko przechodzić, miejże trochę litości. Wystarczająco dużo wtedy przeżyłem.
- Myliłam się - powiedziała Anna - wcale nie jesteś sympatyczny.
- Opląciło się czekać. Uśmiechasz się dzisiaj dopiero po raz pierwszy.
- Och, Graham...
- Na litość boską, nie rozplącz się znowu. Masz, napij się jeszcze wina.
- Już do. Tak (T) 027 T (6) 056 (4) 811 120 (0) 222 (0) 2 (0) 42 (0) 13 (0) 11 (0) 11

Patrzyła, jak oddalał się ulicą, w butach na gumowych podszwach, z rękami w kieszeniach wyblakłych niebieskich drelichowych spodni, z włosami rzednącymi na ciemieniu, leciutko przygarbiony. Chodzi troszeczkę jak ojciec, pomyślała, nigdy przedtem tego nie zauważyłam. Ta myśl ogrzała ją trochę i podtrzymywała na duchu w powrotnej drodze do Cuxing.

RS

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Po śmierci osoby bliskiej los odrobinę lituje się nad nami. Towarzyskie zobowiązania niczym żałobny rytuał u społeczeństw pierwotnych wypełniają czas i pochłaniają energię, wplatając całe zdarzenie w bieg codziennego życia. Anna, pochłonięta pisaniem listów, rozmowami telefonicznymi, zawiadamianiem tej czy innej osoby, prawie bezboleśnie dotrwała do piątku, do siódmej rano: śniadanie w kuchni w Cuxing, strugi deszczu spływają po szybach, Don w nowym, ciemnym garniturze sprawdza coś na mapie.

- Nie będzie nam potrzebna, znam drogę.

- Myślałem tylko, że można by ominąć Banbury. Ruszamy, dobrze?

Wyszła z domu ubrana w krępującą ruchy, nietwarzową szarą sukienkę, która wydawała jej się jedynym odpowiednim strojem. Latami wisiała nie noszona w głębi szafy, jak gdyby złowróźnie czekając na tę okazję. A dzisiejszy dzień wyrastał przed Anną jak drabina, na którą musi się wspiąć. Powinien istnieć jakiś narkotyk, myślała, na chwile takie jak ta, odurzający specyfik, pozwalający beznamietnie wykonywać konieczne czynności. Dwanaście godzin później, już po wszystkim, można by się obudzić jak po operacji, a uprzejme twarze nachylałyby się i mówiły: już dobrze, już po wszystkim.

- Idziesz? - zawołał Don z samochodu - Anno, jest już po wpół do siódmej.

Podniosła z wycieraczki szarą kopertę zaadresowaną do siebie i nie otwierając wepchnęła ją do torebki. Deszcz bębnił o przednią szybę. Gdzieś w lewo od Oksfordu Don stwierdził:

- Pogoda też nie poprawia nastroju.

- Tak - zgodziła się. - Wszystko do siebie pasuje.

- Na wieczór, kiedy będziemy wracali, zamówiłem dla nas stolik w restauracji w Warwick. Pomyślałem, że może się trochę odprężysz.

- Naprawdę? - odpowiedziała wzruszona. - Miło z twojej strony. Dziękuję. - Kątem oka spojrzała na niego, lekko pochylony do przodu, żeby lepiej widzieć przez zalaną deszczem szybę, całą uwagę skupił na drodze. Ogarnęło ją palące poczucie winy, jak gdyby do bólu zęba dodać ostry atak artretyzmu. Czy nie ma w tym wszystkim miary? Ile się może na człowieka zwalić? - zastanawiała się. Czy nie ma takiego przeżycia, wobec którego wszystko inne blednie? Z Oxfordshire wjechali w Warwickshire, a deszcz zmienił się w porywisty wiatr, który sprawiał, że cała okolica zdawała się falować.

W Starbridge czekali na Grahama w salonie, skępowani, jak gdyby niezwykle charakter uroczystości i ich własny niecodzienny wygląd wytworzyły między nimi jakiś dystans. Anna odezwała się:

- Na Boga, kiedy ostatni raz miałeś na sobie ten garnitur? To nie ten sam, który nosiłeś jeszcze w Oksfordzie, prawda?

A Don odpowiedział, że nie, to nie ten sam. O ile sobie przypomina, tego garnituru nie wkładał od czasu, kiedy mieszkali w Londynie, nigdy go zbyt nie lubił. Pomyślała o bracie, ciekawa, w czym on uzna za stosowne wystąpić, i właśnie wtedy podjechał samochód. Graham wysiadł ubrany w ciemnozielony garnitur, zażenowany jak chłopiec, którego po raz pierwszy wystrojono w szkolny mundurek.

- No wiesz, wyglądasz tak dziwnie - skomentowała.

A Graham, poprawiając zbyt ciasny pasek bąknął, że musiał pożyczyć ubranie od przyjaciela i Anna roześmiała się.

- Boże - westchnęła - jakie to idiotyczne. Dlaczego uważamy, że musimy się tak wystroić...?

Stali we trójkę przed drzwiami frontowymi, Don proponował, żeby zabrali się jego samochodem zamiast jechać dwoma i przez jedno mgnienie zobaczyła ich wszystkich siedemnaście lat przedtem, w tym samym miejscu, tak samo odświętnie ubranych, lecz wówczas radosnych z okazji jej ślubu. Stali między rodzicami, a ojciec, trzymając szary cylinder w ręce, badawczo (tak jej się przynajmniej wydaje we wspomnieniach) przyglądał się Donowi. Śluby i pogrzeby, myślała (i chrzty, chociaż do nich nie przywiązywaliśmy dużej wagi). Dlaczego trzeba podnosić rangę uroczystości poprzez odświętny ubiór? A może po to, by ludzie nie zapomnieli o znaczeniu chwili?... Ojciec. Świadomość, że nigdy więcej nie porozmawiają jak dwoje ludzi, jak ojciec i córka, którą podczas jego choroby i postępującej starczej demencji w pewnym sensie się nie czuła, ścisnęła ją za gardło. Wsiadła do samochodu zajmując miejsce obok Dona i w ponurym milczeniu wpatrywała się w targane wiatrem drzewa i żywopłoty. Graham wszedł do domu, żeby zatelefonować do zakładu pogrzebowego. Karawan miał przyjechać prosto do kościoła.

„Kto dokładnie - spytał Don poprzedniego dnia wieczorem - tam będzie?” Odpowiedziała, że cóż, prawie nikt poza nimi trojgiem. „Wiedzieliśmy, że ojciec nie życzyłby sobie zamieszania, dużej uroczystości, sam wiesz... Napisałam więc do kuzyna Edwarda, który przyjedzie ze Stafford, na miejscu jest kilka osób, z którymi ojciec był zaprzyjaźniony. Skontaktowałam się z panem Hammondem, to ktoś, z kim w ostatnich latach ojciec bardzo często się spotykał, on miał już sam

powiadomić pozostałych według własnego uznania. Pani Ransome, która zajmowała się domem, przysłała kwiaty. Ładnie z jej strony, prawda? To już chyba wszyscy. Aha, jeszcze niejaka pani Barron. Jej nieżyjąca matka była przyjaciółką naszej rodziny. I Dawid Fielding, dyrektor szkoły, on i ojciec chodzili razem na ryby.”

Na co Don odrzekł: „Tak, rozumiem”, i wrócił do swojej krzyżówki.

Czarny, dostojny, przysadzisty karawan stał w alejce prowadzącej do wejścia do kościoła.

- Jeśli państwo są gotowi, proszę pana - mistrz ceremonii zwrócił się do Dona (robiącego wrażenie mężczyzny odpowiedzialnego, głowy rodziny...) - proszę wprowadzić zgromadzonych za trumną do kościoła.

Don odpowiada skinieniem głowy i mówi do Grahama:

- Sądzę, że wy dwoje powinniście iść przodem.

Anna widzi grupkę przybyłych, skrzepowanych, stojących wokół wejścia - kuzyna Edwarda, inne osoby, Shirley Barron w granatowej sukni i kapeluszu. I Dawida.

- Oczywiście - odpowiada Graham i bierze Annę pod rękę. Razem idą za trumną ścieżką w stronę drzwi kościoła (jak do ślubu, myśli Anna, to absurdalne, to już kiedyś było...). Wchodzą do środka, mijając kuzyna Edwarda i innych, nie patrzą na nich ani nic nie mówią.

Kościół zbudowano w ozdobnym stylu gotyku angielskiego, w północnej nawie bocznej znajduje się okno w stylu późnego gotyku perpendykularnego, w transepcie widać pozostałości normańskiego łuku, ze śladami rekonstrukcji z czasów wiktoriańskich. W trudnym do ustalenia okresie podwyższono nawę główną. Skręcając teraz i idąc środkiem między ławkami, Anna widzi przed sobą prezbiterium z piętnastego wieku ozdobione płaskorzeźbami przedstawiającymi siedem sakramentów, jednak w czasach Cromwella postaciom odłupano twarze. Przygotowany dla niej klęcznik, gdyby zechciała się modlić, został przez którąś z członkiń Koła Matek ozdobiony haftem w raczej niemiłych dla oka kolorach, a ciężka dębowa tęcza, w którą Anna siadając wbiła wzrok, by patrzeć przed siebie, a nie w prawo na ławki, gdzie pozostali uczestnicy pogrzebu w milczeniu zajmowali miejsca, jest kolejnym dziewiętnastowiecznym dodatkiem.

Trumnę ustawiono u szczytu nawy, tuż przed stallami. Wydaje się tam samotna i jakby mniejsza, niż można by się było spodziewać. Na wieku leżą kwiaty.

Każdy z obecnych otrzymał niewielką książeczkę zawierającą modlitwy nabożeństwa żałobnego. Nikt nie musi ich umieć na pamięć, tak jak powinno się znać godzinki czy liturgię nabożeństwa wieczornego. Razem z

Grahamem pełni wątpliwości wybierali hymny, usiłując sobie przypomnieć, które należały do szczególnie przez ojca ulubionych. Nie było to łatwe zadanie, ponieważ, jak zauważył Graham, oboje odsunęli się od wiary w bardzo młodym wieku i nie towarzyszyli ojcu do kościoła, nie dyskutowali też z nim o jego upodobaniach. Ojciec zaakceptował odrzucenie przez nich religii bez komentarza, nie wydawał się tym zmartwiony. Chodził do kościoła sam, mniej więcej regularnie, ot tak, jak chodzi się do biblioteki publicznej czy na spotkania do miejscowego klubu. Nie sposób było odkryć, jaki był jego prawdziwy stosunek do tych spraw. W testamencie wyraził życzenie, by pochowano go na miejscowym cmentarzu.

Wstają, by śpiewać, siadają, żeby słuchać księdza, znowu wstają. Nabożeństwo przebiega sprawnie i spokojnie i chociaż się nie dłuży, trwa sporo czasu. Myśl odrywa się od słów księdza („... którego sąsiedzkiej obecności tutaj w Starbridge wielu z nas będzie brakować, którego wrodzona skromność i powściągliwość kryły przed wieloma jego działalność jako...”) i biegnie ku kaplicy, ku nie pasującemu tu wcale witrażowi poświęconemu pamięci ofiar wojny (bagnety i blaszane hełmy wtopione w szkło koloru khaki), a potem dalej ku nakrytej daliami i chryzantemami trumnie, której zarys, teraz po upływie pół godziny, nie budzi już takiego niepokoju. Nie widać stąd innych, nie należących do rodziny osób, które siedzą po drugiej stronie przejścia, chcąc ich zobaczyć, Anna musiałaby odwrócić głowę, nie patrzy więc w ich stronę.

To wszystko wcale nie jest smutne, myśli, przynajmniej nie w tym akurat momencie. Ani bolesne. To jak gdyby trwanie w zawieszeniu, jak gdyby obecna chwila nie miała początku ani następstw, lecz zaistniała niezależnie, sama dla siebie.

Z góry przez gotyckie okno wpada światło słoneczne (musiało przestać padać), a zgromadzeni nieśmiało - jest ich tak niewielu, że można odróżnić poszczególne głosy - śpiewają i odpowiadają celebransowi, siadają i wstają. Shirley Barron ma całkiem przyjemny kontralt, innych trudno zidentyfikować. Po raz pierwszy rozumiem, myśli Anna, ukojenie płynące z religii, i nie chodzi wcale o to, żeby mnie samej było ono kiedykolwiek potrzebne. Zastanawia się, jak było z ojcem, co on tutaj znajdował, czy tylko zatrzymanie czasu i chwilowe oderwanie od trudu życia, czy coś więcej?

Lecz owo zatrzymanie czasu, jak wszystko inne, jest złudne. Oto ksiądz podchodzi teraz do ołtarza, by odmówić ostatnią modlitwę, a ubrani w kombinezony mężczyźni, którzy do tej pory siedzieli niepostrzeżeni w bocznej ławce, występują do przodu, żeby zabrać trumnę. Graham patrzy na

Annę, sprawdzając, czy jest gotowa, i teraz znów idą środkiem nawy za trumną, podczas gdy Don taktownie trzyma się krok albo dwa za nimi. Wychodzą z kościoła na zalany słońcem dziedziniec. Przez wysoką trawę, omijając groby, idą w głąb cmentarza, gdzie przygotowano nakryty brezentem dół. W trawie przeświecają fioletowe kwiatuszki wyki, za żywoplotem widać białe kłosa bylicy, a w jednym z krzaków śpiewa drozd. Ksiądz zatrzymał się już nad grobem, uśmiechem i gestem ręki wskazuje, gdzie mają stanąć - Anna i Graham z przodu, pozostali wokół. Szkoda, że kopiący grób ostrzem łopaty przecięli kępę niebieskiego geranium obsypanego kwiatami. Ksiądz składa dłonie na komży i odmawia modlitwy, a w tym czasie mężczyźni w kombinezonach czynią swoją powinność. Spokojnie i pewnie operują długimi parcianymi pasami, zanim się można spostrzec, trumna znika z oczu. Słońce grzeje w plecy jak dotyk czulej dłoni, a wiatr poruszający rzędem topoli za cmentarzem powoduje migotanie zieleni i srebra, które omal nie rozprasza uwagi. Teraz mężczyźni wyciągają już swoje pasy, pochylają się, by je zwinąć, a ksiądz sypie garść ziemi na trumnę.

Anna jest zaskoczona. Nigdy przedtem nie widziała pogrzebu, chyba tylko na filmie (zabawne, ale przychodzi jej na myśl Hamlet) i ze zdziwieniem odkrywa, że rzeczywistość tak dalece odpowiada swojemu obrazowi w sztuce. Tak właśnie to się odbywa, dokładnie tak, jak mówili. Ksiądz stoi chwilę pogrążony w cichej modlitwie, a następnie oddala się brodząc wśród trawy, potem wszyscy, również postawszy chwilę, odwracają się i odchodzą za nim. Ukryty w krzaku drozd wciąż śpiewa, a wiatr szeleści liśćmi bluszczu porastającego najstarsze nagrobki, na których nie można już odczytać napisów.

Uroczystość zakończona. Już po wszystkim. Znowu zebrali się przed wejściem do kościoła. Ksiądz każdemu podaje rękę, lecz to właśnie Don, a nie Anna czy Graham, którzy jeszcze nie doszli do siebie, przyciszonym głosem dziękuje i składa wyrazy uznania. Następnie podchodzą miejscowi znajomi, by zanim dyskretnie znikną, zamienić kilka słów i złożyć kondolencje. Oto Shirley Barron. Anna mówi:

- Bardzo uprzejmie z twojej strony, że przyjechałaś. To mój brat Graham.

A Shirley i Graham uśmiechają się do siebie, rozmawiają chwilę, po czym zapada kłopotliwe milczenie. Shirley Barron mówi, że chyba będzie musiała już jechać, i się oddala.

Teraz zostaje tylko Dawid.

- Och - mówi Anna - Don, to jest pan Dawid Fielding, sąsiad ojca. A Grahama już znasz, prawda?

Dawid odpowiada, że tak, spotkali się już kiedyś, i wszyscy czworo stoją chwilę, zgodni, że nabożeństwo było bardzo piękne. Na dziedzińcu przed kościołem jest cicho, zupełnie nieruchomo, tylko kos buszuje wśród liści, widać, że to miejsce pragnie, by je zostawiono w spokoju. Dawid wspomina o jednym z sąsiadów, który przyszedł na pogrzeb, a kiedy podnosi rękę, by osłonić oczy od słońca, Anna widzi bliznę po skaleczeniu przy wycinaniu różanego krzewu. Krzak, jak tydzień przedtem zauważyła, wypuścił dwa bardzo silne pędy - w ziemi musiały zostać korzenie. Nagle czuje się bardzo zmęczona i pragnie, by wszyscy już sobie poszli. Razem podchodzą do bramy, żegnają się i Dawid odjeżdża swoim samochodem. Anna, Don i Graham wsiadają do samochodu Dona, który mówi, że pora zjeść lunch i proponuje restaurację w hotelu w Lichfield.

- Annie, wcale mi nie powiedziałaś, że się przeprowadzacie. To prawda?
- zapytał Graham, kiedy jedli lunch, a ona z poczuciem winy odpowiedziała, że w całym tym zamieszaniu musiała chyba zapomnieć.

- Ładny dom? - dopytywał się Graham i wtedy Don opowiedział mu o przebudowanej wozowni i dwuakrowej posesji, widoku na wyżynę oraz możliwościach rozbudowy, gdyby komuś przysłała ochota.

- Miałem trochę szczęścia - dodał - Anna dostała cynk od znajomego z miejscowego Wydziału Planowania Przestrzennego i udało mi się kupić ten dom, zanim oficjalnie wystawiono go na sprzedaż.

Kiedy Don mówił, Anna przypomniała sobie szarą kopertę, którą wychodząc rano z domu podniosła z wycieraczki. Wyjmując ją teraz z torebki zauważyła stempel Rady Hrabstwa Berkshire i pomyślała, że to chyba telepatia.

- Przepraszam - powiedziała - nie otworzyłam jeszcze listu, który przyszedł ranną pocztą.

Czytając uśmiechnęła się. Och, nie, pomyślała, to absurdalne, co powie Sandra...

- Z czego się śmiesz? - zapytał Don.

- Propozycja pracy. Nie uwierzycie! Od pana Jewkesa. Poszukują doradcy, którego zadaniem byłoby badanie budynków pod kątem ich historii, sprawdzanie, kiedy zostały zbudowane i tym podobne, a także uzupełnianie wiadomości o domach już wpisanych na listę zabytków. Miejscowy Wydział Planowania Przestrzennego chce mieć zawczasu przygotowane informacje o starych budynkach, które nie znajdują się jeszcze na liście, a których byt mógłby być zagrożony przez nowe plany rozbudowy i tak dalej.

- Coś dla ciebie - powiedział Don.

- Masz rację. I list jest sympatyczny.
 - Posada w administracji to bardziej lukratywne zajęcie niż nauczanie.
 - Obiecują trzecią grupę, cokolwiek to znaczy - powiedziała zerkając do listu.

- Nie chodzi o pieniądze - stwierdził Graham. - Liczy się satysfakcja z pracy. Bierz to, a zanim się obejrzysz, będziesz archiwistką.

- Chyba się zdecyduję - powiedziała. - Tak, wezmę tę posadę.

Po wizycie w biurze głównego pośrednika handlu nieruchomościami w Lichfield wrócili do Starbridge. Kiedy wychodzili z hotelu, Graham kolejny raz zapytał:

- Pewna jesteś, że nie powinniśmy poczekać ze sprzedażą kilka miesięcy?

Odpowiedziała, że nie, równie dobrze mogą to mieć z głowy, nie ma sensu, żeby dom stał pusty przez zimę. A jeśli nie poczują noża na gardle, nigdy nie skończą porządkowania domu, prawda?

- Lepiej jedźmy tam od razu, jeśli masz czas, i zdecydujemy, co ty chcesz zabrać. Don i ja wyjeżdżamy dopiero później.

Poczuła się lepiej. Obie sprawy miała z głowy - pogrzeb i spotkanie z Dawidem. Życie toczyło się dalej. Będzie dobrze, myślała, oby tylko nie gorzej niż teraz. Chodźmy i weźmy się do roboty. I pomyśleć, że mam też pracę, no, no.

Obeszli cały dom.

- Boże - westchnął Graham bezradnie - co my z tym wszystkim zrobimy?

- Zobaczymy, co zechcemy zatrzymać - odpowiedziała - a resztę oddamy, na przykład, na dobroczynność.

Graham otworzył szafę i wszyscy zamilkli widząc rząd garniturów, butów, koszul.

- Wiecie - odezwał się Don - jeśli się zgodzicie, załaduję to w pudła i zawiozę do sklepu Oxfam czy gdzieś indziej, wy zajmijcie się porcelaną i innymi takimi rzeczami.

Jak to taktownie z jego strony, pomyślała, jak delikatnie. Wszyscy staramy się dziś zachowywać jak najlepiej. Może to za sprawą naszego ubrania?

Rozdzielanie przedmiotów nie zabrało wiele czasu - to dla Grahama, to dla mnie.

- Ale ja niczego nie potrzebuję - powtarzał Graham - i bez tego mieszkanie mam zawałone gratami, których nie używam.

- Nie chodzi o to, czy coś ci jest potrzebne, czy nie. Słuchaj, uważam, że powinienes wziąć biurko. Pamiętasz, jak te wszystkie szufladki nas fascynowały, kiedy byliśmy mali?

- Ta plama z atramentu to twoja sprawka, prawda? Co to była za awantura.

Stali obok siebie przyglądając się przez okno Donowi wysiadającemu z samochodu po wyprawie do Oxfam. Wszedłszy do domu pierwsze kroki skierował do schowka.

- Lepiej kończmy z tym - została jeszcze cała porcelana.

- Przyszło mi do głowy - powiedział Don wchodząc do pokoju z wędką w ręce - że można by ją oddać temu facetowi, z którym rozmawialiśmy dziś rano. Mówiłaś, że chodził z ojcem na ryby, tak? Chyba żadnemu z nas się nie przyda.

Biurko ojca, już dawniej kojarzone z przyprowadzającym o mdłości pocuciem wina, wznosi się i opada, zanim Anna jest w stanie odpowiedzieć, cały pokój wiruje przez kilka sekund.

- Och, doprawdy nie wiem... Może, ale on pewnie ma swoją, a ta jest sporo warta.

- Jak uważasz - odpowiada Don, stawiając wędkę w rogu, a Graham wtrąca:

- Zrobię herbatę, chcecie?

- Wspaniale - mówi Anna z wdzięcznością, tego nam właśnie potrzeba.

- Tak.

- Nie byliśmy już tu kiedyś przedtem? - zapytała wchodząc do hotelu. - a może te wszystkie Czerwone Lwy i Czarne Łabędzie, czy jak im tam, wszędzie wyglądają tak samo?

Sufit w barze był gęsto belkowany, lśniący od ozdób z mosiądzu i miedzi, z zawieszonych na ścianach rycin przedstawiających dziewiętnastowieczne sceny polowań i wyścigów biła energia, na kamiennym gzymsie nad kominkiem ustawiono donicę z niespotykanymi o tej porze roku kwiatami.

- Zdaje się - przyznał Don - że masz rację. Przypominam sobie jakiś wypad do Stratfordu bardzo dawno temu. Jednak tu nie jedliśmy. Chcieliśmy, ale wszystkie stoliki były zajęte. W końcu kupiliśmy coś na wynos i przekąsiliśmy nad rzeką. Napijesz się sherry?

- Rzeczywiście - powiedziała, kiedy Don wrócił z baru. - Pojechaliśmy zobaczyć Wiele hałasu o nic. I zgadza się, nie wpuszczono nas i urządziliśmy sobie piknik.

- W takim razie dobrze, że w końcu nam się udało. Głodna?

- Tak sobie. To wtedy zdecydowaliśmy, że urodzę Judy.
- Tego sobie nie przypominam. Nie mam twojego daru zapamiętywania wszystkiego w najdrobniejszych szczegółach, jeśli idzie o pewne sprawy. Zjesz rybę? Pstrąga z migdałami?
- Dobrze - odpowiedziała. - A wyobraź sobie, że zdecydowalibyśmy odwrotnie. Wtedy nie byłoby Judy.
- Ale tak nie zrobiliśmy, prawda? Mamy Judy i już wszystko jedno. Chyba spróbuję, jaką podają tu kaczkę.
- Nigdy nie zastanawiasz się - spytała - że coś może albo mogłoby być inaczej?
- Uważam, że to bezproduktywne.
- Dobrze, bezproduktywne, ale ciekawe. W każdym razie cieszę się, że postanowiliśmy, żeby Judy przyszła na świat. A ty?
- Oczywiście. Ogólnie biorąc to dobry dzieciak. Byłbym zapomniiał, zgodzimy się kupić jej kucyka? Pstrąg - Don mówił teraz do kelnera - i kaczka. Przekąska, Anno?
- Melon albo cokolwiek. Kucyk, mówisz. Chyba tak. Pamiętaj jednak, że będę pracować.
- A więc przyjmiesz tę posadę? Czy mógłby pan - zwracał się znowu do kelnera - poprosić o pośpiech? Czeką nas jeszcze długa droga.
- Czy to nie miło ze strony pana Jewkesa - powiedziała jedząc melon - że pomyślał o mnie? A ja sądziłam, że na początku doszło między nami do małego spięcia.
- Tak, bardzo miło.
- Chciałabym traktować to jak nowy etap w życiu. Jak nasz nowy dom. Kochanie, ja naprawdę się cieszę. Nie wiem, dlaczego zapomniałam powiedzieć o tym Grahamowi. Początek nowego życia. Wiem, uznasz, że to brzmi głupio, ale mnie się wydaje, że to dobry pomysł. Jakoś pasuje do całości, teraz po śmierci ojca. I nadchodzi jesień.
- Już raczej wiosna - wtrącił Don - jest tradycyjnym okresem zaczynania od nowa. Ale masz rację. Zmiany jeszcze nikomu nie zaszkodziły.
- W twoim życiu też się coś zmienia. Wchodzisz na miejsce Jima Thwaitesa.
- Na to wygląda. A propos Jima - umilkł przyglądając się rozłożonym sztuccom - właśnie, a propos. Spotkałem tego młodego księgowego, którego poznaliśmy u nich na kolacji. Kelner... i proszę przynieść nam jakieś pieczywo.
- Coś sobie mgliście przypominam.

- On ciebie lepiej zapamiętał. Wybrał się nawet do domu w Starbridge zobaczyć, czy przyjechałaś. Miał nadzieję, że przyda ci się przy jakichś porządkach.

- Musiał mnie nie zastać.

- Zastał. Ale ostatecznie nie zadzwonił do drzwi. Było rano, jechał na cały dzień do Derbyshire na ryby. Mówił, że zobaczył samochód, dokładnie dwa samochody...

Nadejście kelnera niosącego kaczkę i pstrąga przerwało mu na chwilę.

- ...Nie, ryba dla żony. I zdaje się, że zamawialiśmy też sałatkę... Tak, w tym momencie doszło do nieporozumienia, on był najwyraźniej pewien, że ja również przyjechałem, że widział mnie przez okno w łazience, golącego się. Uznał, że za wcześnie na wizyty i...

- Ale - powiedziała bez sensu - to nie byłeś ty.

- Otóż to.

Szok, kamień w żołądku. Jeśli sytuacja w ogóle da się do czegoś porównać, jest jak nagła świadomość, że z za zakrętu wyłania się w pełnym pędzie inny samochód. Wystarczy przyhamować, skrócić gwałtownie i ominąć niebezpieczeństwo, żeby poczuć ulgę. Lecz Anna wciąż ma w gardle zimny kamień. Hotelowa restauracja staje się bardzo wyraźna, jak w sennym przywidzeniu kształty wyostwiają się, głosy innych gości brzmią nienaturalnie głośno. Mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku mówi, że w obecnej sytuacji nie pozostaje mu nic innego, jak chwilowo spuścić z tonu, a kobieta w drugim końcu sali uważa, że nie powinno się sadzić razem dali i michałków. Pstrąg, który czeka, żeby go zjeść, wygląda jak gipsowa atrapa, teatralny rekwizyt na planie zdjęciowym.

- Otóż to - powtórzył Don. - W ten sposób znalazłem się w trochę dziwnej sytuacji. Szczęśliwym trafem właśnie wtedy ktoś się do nas przyłączył - spotkaliśmy się w pubie, któregoś dnia podczas lunchu - i nie podejmowaliśmy więcej tego tematu.

- Don - powiedziała - ja...

- To był, domyślam się, ten nauczyciel. Skinęła głową.

- Smakuje panu? - spytała ciemna postać mająca za prawym ramieniem Dona, a on, kosztując kęs kaczki odpowiedział, że wszystko jest w należytym porządku i podziękował.

- A pani? Skinęła głową.

Niedobrze mi, pomyślała, nie zjem tego. Siedzący naprzeciw niej Don jadł ze spokojem. Mężczyzna przy sąsiednim stoliku wyraził pogląd, że wiele zależy od następnych wyborów, kobieta pod przeciwną ścianą oświadczyła, że nie lubi łwów paszczy.

- Jak długo to trwało - odezwał się Don - jeśli mogę zapytać?
- Od kwietnia.
- On jest - padło następne pytanie - żonaty?
- Tak.
- Ma dzieci?
- Dwoje.
- Aha - powiedział Don. Spojrzał na nią przez stół. - Nie próbujesz sałatki?

Wzięła salaterkę, nałożyła trochę sałatki na talerz, wbiła w nią wzrok.

- Don - powiedziała. - Tak mi przykro.
- Aha... - powtórzył Don.
- Krążący między stolikami kelner zatrzymał się obok nich, porwał ze stolika butelkę wina, napełnił ich kieliszki i pomknął dalej.
- Odkąd - spytała - od kiedy wiesz...? Nie, nie mam prawa pytać.
- Niech obliczę. To chyba w czerwcu spotkałem Sheldona w pubie. Jakos pod koniec czerwca.

Czerwiec. Lipiec. Szkocja. Ani słowa. Cały ten czas.

- Nie jesz - zdziwił się Don - swojego pstrąga? Wzięła do ręki nóż i widelec.
- Sheldon - mówił Don - otrzymuje od nas od czasu do czasu pewne zlecenia, co sprawia, że cała ta historia staje się jeszcze bardziej żenująca.

Żenująca?

W dawnych czasach, w niektórych kulturach, ceną zdrady była śmierć. I chyba słusznie. Żenująca.

- Dlaczego nic nie powiedziałaś? - spytała.
- Powiedziałem?
- Dlaczego nie powiedziałaś, że wiesz?
- Spojrzał na nią nad swoim pustym i jej pełnym talerzem.
- Zakładałem - przyznał - że to samo minie.
- Minie?
- Czyżbym - zapytał po upływie minuty albo dwóch - czyżbym się mylił?
- Nie - odpowiedziała - zgadza się. Minęło. Kelner zbierając talerze spojrzał z wymówką na jej prawie nietkniętego pstrąga.
- Przepraszam - usprawiedliwiła się - nie jestem głodna.
- Może coś słodkiego na deser? Shery?
- Chyba tylko kawę.

Idą do baru, gdzie także podaje się kawę. Anna przodem. Don za nią. Inni goście nie zwracają na nich uwagi, najwyżej obdarzają przelotnym spojrzeniem. Siedzą w barze, wśród ozdób z mosiądzu i miedzi oraz

ujadających psów myśliwskich na litografiach, piją kawę. Don sprawdza rachunek. Jedna z pozycji wzbudza jego wątpliwości, konsultuje się więc z kelnerem, który udziela zadowolających wyjaśnień. Don wyjmuje z portfela dziesięciofuntowy banknot i płaci. To był kosztowny pstrąg.

- Chyba - pyta - będziemy już szli?
- Chcesz jeszcze wracać do tej sprawy?
- Mnie wydaje się to bezcelowe. A ty?
- Ja na twoim miejscu... chciałabym... czułabym...

- Ale nie jesteś na moim miejscu - odparł Don. - Uważam, że najlepiej zrobimy nie mówiąc o tej skądinąd nieprzyjemnej historii. Wierzę ci na słowo, że to już skończone. Nie widzę sensu w rozgrzebywaniu tego, co minęło. Nie twierdzę, że wszystko jest tak samo jak przedtem, jasne, że nie. Uważam - ciągnął - że w tym roku z powodu choroby ojca żyłaś w dużym napięciu, wolałbym, chociaż częściowo, złożyć to na karb tamtych przeżyć i uznać sprawę za zamkniętą. Nie chcę robić wielkiej afery, chociaż niektórzy mężowie na pewno by tak postąpili.

- Tak - przytaknęła - niektórzy.

- Zakładam, że nie weszło ci to w krew. Żartuje? Anna przyglądała się badawczo jego twarzy.

Na ogół żarty nie leżą w charakterze Dona, sarkazm jednak nie jest mu obcy. Nie, on po prostu zadaje pytanie, bo prawdopodobnie chciałby znać odpowiedź. Odpowiada więc, że nie zamierza nabierać takiego zwyczaju. Don kiwa głową i patrzy na nią przez stół, ich spojrzenia spotykają się na moment, potem oboje odwracają wzrok. Kelner przynosi resztę z dziesięciu funtów, Don rzuca okiem na podaną sumę i zanim schowa pieniądze do kieszeni, zostawia na talerzyku stosowny napiwek.

- Jesteś gotowa? - pyta i wstaje.

Idzie w kierunku drzwi, a Anna, zabierając płaszcz, podąża za nim. Uświadamia sobie, że cała drży tak konwulsyjnie, że nie jest w stanie założyć płaszcza. Musi go nieść przewieszony przez ramię.

Droga do Cuxing rozwijała się przed samochodem, światło reflektorów przebijało się przez ciemność skokami - do następnego rogu, do szczytu wzgórza, do ostatniego drzewa w rzędzie. Oświetlone na krótką chwilę drogowskazy zgodnie z oczekiwaniami informowały: Edgell, Aynho, Abingdon. Krajobraz, zawężony do smugi światła przed maską, wciąż zaskakiwał: most, dom, drzewo nie zauważone podczas poprzednich podróży. Noc jednocześnie kryła i ujawniała szczegóły. Anna myślała: znam tę drogę albo tylko wyobrażałam sobie, że ją znam, i teraz wydaje mi się inna - oczywiście nigdy przedtem nie jechałam po zmierzchu. Dreszcze

ustąpiły. Don prowadził w milczeniu. Odezwał się tylko raz: na skrzyżowaniu w Deddington stwierdził, że woli podróżować nocą.

- Tak? - powiedziała bezbarwnie. - A ja nie. Nic nie widać po drodze.

- O to chodzi. Widać tylko szosę. I jest szybciej. Chociaż przyznam, że to dalej, niż sądziłem.

Istotnie, chciała odpowiedzieć, miejsca mają w sobie tę zwodniczość, nie są tak niezmiennie, jak się spodziewamy. Wydaje się, że nad nimi panujemy, a potem okazuje się, że nie. Ale oto z ciemności przypląnął ku nim znak wskazujący wjazd na oksfordzką obwodnicę i Don, zwalniając przed skrzyżowaniem, powiedział:

- Zostało jakieś pięćdziesiąt kilometrów, nareszcie jesteśmy w domu.

- Tak, nie przyjedziemy za późno.

Samochód jechał jak po szynach tramwajowych, a Anna siedziała ze wzrokiem utkwionym przed siebie, nie widząc nic, myślą ogarniając wstecz cały dzień, cały rok.

RS

RS